

Konrad Laguna

# POSAG KLARY

Zysk i S-ka  
Wydawnictwo

# 1

— Cześć — powiedziała dziewczyna.

Lekko zdyszana stała metr od stolika, przy którym samotnie popijałem piwo. Bardzo dobrze mi robiło i powoli odzykiwałem wrodzoną radość życia.

— Cześć — odpowiedziałem odruchowo, a potem dopiero spróbowałem się jej przyjrzeć.

Nie znałem jej, choć może uczciwiej byłoby powiedzieć, że jej nie pamiętałem. Poprzedniego dnia, zanim urwał mi się film, ściszałem — jak mi się wydaje — jakąś brunetkę. Albo może tylko roіło mi się, że kogoś ściskam? I co mogło zdarzyć się później?

Ta była najwyraźniej blondynką. Niewiele więcej mogłem dostrzec. Stała w ostrym czerwcowym słońcu, a ja wczoraj zgubiłem okulary słoneczne. Gdy patrzyłem w jej kierunku, musiałem mrużyć oczy i widziałem tylko wielki słomkowy kapelus, który zasłaniał połowę jej twarzy. Spod kapelusza wymykały się niesforne bardzo jasne włosy. Oczy ukryła za dwoma miodowymi szkłami. Ogromnymi. Każde wydawało mi się prawie tak duże jak blat stolika, przy którym siedziałem.

— Jestem Klara — przedstawiła się i usiadła przy stoliku.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

— Co cię tak rozbawiło? Mój ojciec, gdy się urodziłam, był w teatrze na *Ślubach panieńskich*, wiesz, takiej komedii Fredry, i zostałam nazwana na cześć jednej z bohaterek. Moja

młodsza siostra miała się nazywać Aniela, tak jak druga bohaterka, ale po drodze zamieniła się w brata...

— Nigdy nie śmieję się z imion ani nazwisk — odparłem — zresztą bardzo mi się podoba pani imię.

Teraz ona się uśmiechnęła. Tak mi się przynajmniej zdało, bo niewiele widziałem z tego, co się działo w strefie wielkiego cienia pod kapeluszem.

— Mówmy sobie na ty.

— OK.

— Więc zdradź mi swoje imię, chłopczyku — zażądała.  
— Czy ty też nosisz imię jakiegoś bohatera literackiego?

— Oczywiście. A imię jego czterdzieści i cztery — powiedziałem i od razu się zawstydziłem. „To nie ma sensu — myślałem — romantyczna literatura i ten piwny ogródek w centrum współczesnej Warszawy, gdzie za chwilę ma się zacząć... No właśnie, co ma się zacząć?”

— Więc jak masz na imię?

— Konrad.

Roześmiała się.

— Naprawdę? Na cześć Konrada Wallenroda?

— Nie — odpowiedziałem poważnie. — Raczej bohatera

*Dziadów.*

— Nigdy przez to nie przebrnęłam.

Nie miałem zamiaru przepytwać ją ze znajomości szkolnych lektur. W ogóle nie miałem żadnych zamiarów. Znow nic mi się nie chciało. Piwo, które wypilem, przestało już działać i poczułem ten sam ból istnienia, który towarzyszył mi od rana. Ale oto zjawił się anioł przywracający nadzieję. Miła, korpulentna kelnerka bez słowa postawiła przede mną pełną szklanicę chłodnego napoju. Znała mnie dobrze, bo w ciągu ostatnich trzech tygodni niemal każdy dzień zaczynałem od tego miejsca. Z wyjątkiem kilku, kiedy padał deszcz. Wtedy chowałem się do ciemnej nory zwanej pubem „Słonecznym” trzy domy dalej.

— A dla pani? — zapytał anioł z dużym biustem.

— To samo, tylko małe — zadysponowała Klara.

— Małe kosztuje tu prawie tyle co duże. Nie opłaca się — podzieliłem się z dziewczyną doświadczeniem bywalca.

— Nie zamierzam się upić — powiedział głos spod kape-lusza.

— Ja też nie. Chciałbym raczej wytrzeźwieć...

— Więc co tu robisz?

Nie chciało mi się również odpowiadać na głupie pytania. To przecież widać: siedzę i trzeźwieję. Jeszcze dwa duże piwa i poczuję się jak nowo narodzony. Potem pójdę coś zjeść i wreszcie będę mógł się napić. Tak, porządny drink na pewno dobrze mi zrobi. Rozmarzyłem się. Wypiłem kilka dużych łyków piwa i znów stawałem się radosnym, miłym chłopcem przed czterdziestką.

— Zastanawiam się, jakiego koloru masz oczy — powiedziałem grzecznie, żeby podtrzymać zanikającą rozmowę.

Nie odpowiedziała. Wydało mi się, że odpłynęła myślami gdzieś daleko.

„Nie to nie” — pomyślałem. Przecież to ona przysiadła się do mojego stolika. Jeśli chce tu posiedzieć i wypić swoje małe piwo, proszę bardzo. Nie chce rozmawiać, proszę bardzo. Chce mieć swoje tajemnice, proszę bardzo. I tak już wiedziałem o niej dużo. Gdy nachylała się nad stolikiem, widziałem w wycięciu bluzki kształtne piersi. Nie za duże, nie za małe. Właśnie takie lubiłem najbardziej. Musiała się opalać topless, bo miały kolor miodu. Jakby dobrała je do okularów. „Oj, uważaj, milutki — powiedział mi głos wewnętrzny — nie lubisz przecież kobiet i pamiętasz dobrze, jakie to wredne istoty”. „Nic mi nie grozi, staruszk” — odpowiedziałem i zacząłem beczelnie lustrować długie nogi dziewczyny. Jej sukienka mini, z modnym rozcięciem z przodu, ułatwiała zadanie...

— Czy mam wstać i przejść po wybiegu? — Zauważyła natychmiast moje zainteresowanie.

Roześmiałem się.

- Mój głos wewnętrzny słusznie ostrzega mnie przed tobą.
- Nie słuchaj go, lepiej posłuchaj mnie.
- Chętnie, ale ty nie odpowiadasz na moje pytania.
- Bo zadajesz niewłaściwe. Zapytaj o coś ważnego!
- Kim ty jesteś?
- To nieistotne. Wiesz, że śniłam dziś o tobie. Piłam miód, co oznacza nową przyjaźń, a potem potraçałam pustą już szklanicę i rozbiłam ją na drobny mak.
- To chyba niedobrze?
- Przeciwnie. Szklankę stłuc we śnie zapowiada przyjemne zdarzenie.
- Czy twoje sny się sprawdzają?
- Zawsze. Przyśnił mi się też biskup, a to oznacza happy end...
- End czego — zdziwiłem się — przecież tu jeszcze nie ma początku.

Przypomniała mi się jedna z poprzednich narzeczonych, namiętna badaczka snów. Co rano przepytывała mnie dokładnie z całej nocy i potem, obłożona w łóżku rozmaitymi sennikami, interpretowała moje marzenia senne. Ale ja, zwłaszcza gdy śpię z dziewczyną, sen mam mocny i rano wstaję z zupełnie pustą głową. Zero sennych wspomnień. Więc Agata budziła mnie w środku nocy albo nad ranem, żeby złapać na gorącym uczynku, w trakcie jakiejś sennej przygody. To były nawet przyjemne przebudzenia. Rano, gdy znów zaczynała mnie wypytywać, a ja opowiadałem, co robiłem przez sen, złościła się:

- To było naprawdę, głupi...
- A ja myślałem, że kocham się z jakąś senną zjawą.
- Uważaj, bo rzucę. — Groziła mi poduszką i to w chwili, gdy zbliżałem się ze świeżo zaparzoną kawą.

W czasach mojej awanturycznej młodości autorka popularnego wtedy podręcznika „kochania” proponowała rzucanie po-

duszkami jako element gry wstępnej. Ale Agata takich podręczników nie czytała. Nie były jej wcale potrzebne. Miała w tych sprawach po prostu naturalny instynkt. Tym razem chyba ją zawiódł. Po nocy, w czasie której dwa razy mnie budziła, aby przyłapać w środku sennej akcji, potrzebna mi była regeneracja. Najlepiej za pomocą dużej ilości kawy i ewentualnie porządnego prysznicza. Żadnej gry wstępnej. Nie w tej chwili. Czas byłby raczej na grę kończącą.

Już lepiej porozmawiajmy o snach. Gdy więc drażyła: „Naprawdę nic ci się nie śniło?“, to ja, cóż robić, żeby sprawić Agacie przyjemność, wymyślałem jakieś historyjki. Piłem kawę w jej maleńkiej kuchni, ona siedziała w łóżku ze swoją kawą i sennikami, i dialogowaliśmy na odległość. W letni poranek, gdy okna były pootwierane, hałas dobiegający z ulicy zagłuszał trochę naszą rozmowę. Mnie to nie przeszkadzało.

— Byłeś w ogrodzie, mówisz, ale co w nim rośło? Jeśli kolorowe kwiaty, zapowiada to przyjemności.

— Tak, mój kwiatuszku — wpadłem w ton słodkiego idioty.

— Chociaż kwiaty to mogą też być dzieci. — Skorzystała widocznie z innego sennika. — Chciałbyś takiego rozkosznego bobaska, który kwili „tata, tata“?

— Precz, czarownico! — Byłem nieco przerażony.

— A co robiłeś w ogrodzie? Czy byłeś ogrodnikiem?

Pomyślałem, że wolę być ogrodnikiem niż tatą więc przytaknąłem.

— Niedobrze. To oznacza kłopoty i smutki.

No tak, wiadomo, dziecko to same kłopoty.

— Widziałeś też chmury? Ale jakie, ciemne czy jasne?

Coś mruczałem sobie w kuchni, przeżywając wciąż natrętą wizję wrzeszczącego bachora.

— Pewnie, że to ważne. Ciemne oznaczają życiowe pomysły...

Żeby nie zostać na stałe zafiksowany w roli idioty, przetrzuciłem się teraz na kreację ironicznego cwaniaczka.

— Co mówisz? Skąd osioł w tym ogrodzie?

— Nie osioł, tylko oślica — przerwałem. — Śniła mi się wyjątkowo uparta, wredna oślica, która nie dawała się ujeździć. Jak to tylko osły potrafią.

— Aha, jechałeś na osle. To znaczy, że będziesz się czegoś bardzo wstydził — mówiła spokojnie Agata, a ja w tym momencie zrobiłem się czerwony. Na szczęście nie mogła tego z pokoju zobaczyć.

Innym razem wytłumaczyła mi, że jeśli śni mi się kłótnia między mężczyzną a kobietą, to oznacza to nagłe uczucie. Awantura? Oj, spodziewaj się gości. Magiel? Bardzo dobra senna wróżba. Zapowiada spokój i ład w domu. Kajdany? Znajdziesz dobrą pracę. Ja miałem wtedy dobrą pracę i wcale nie zamierzałem jej zmieniać. Więc najpierw pomyślałem, że coś się nie zgadza, a dopiero potem, że ja przecież wymyślam swoje sny. Gdy miałem dość i mówiłem, że zamordowałem we śnie żywą istotę, Agata, zamiast się wystraszyć, zastanawiała się, czy wróży to przygody (według jednego sennika), czy raczej jest to przestroga, żebym nie unosił się gniewem (według innego).

Tak, to była dziewczyna, przy której człowiek cieszy się, że noc jest tylko raz na dobę, chociaż te przebudzenia nad ranem, to była niezła rzecz...

— Czy śniesz na jawie? Tak dziwnie mrugasz... — Wywrwała mnie z przyjemnych wspomnień Klara.

Wracałem powoli do rzeczywistości.

— Obudź się! Czy ty już jesteś w stadium białych myszek?

— Tylko nie to — przestraszyłem się. — Widzieć białe myszki zapowiada małżeństwo.

— Chyba rzeczywiście masz rację — zdziwiła się Klara.

Usłyszałem w tym zdziwieniu wyraźny ton podziwu. Nie znała przecież mojego wielomiesięcznego treningu w odgadywaniu znaczeń snów.

Zastanowiła się i dodała:

— Chociaż, jeśli dobrze pamiętam, nie zawsze. Białe myszki złapane przez kota oznaczają kłopoty.

— Na pewno masz rację. Małżeństwo i kłopoty to przecież to samo.

Nachyliła się ku mnie z troską, jakbym bredził coś od rzeczy.

— Może zamiast następnego piwa wypijesz mocną kawę? Zmieniłem temat.

— Przypomniała mi się pewna twoja koleżanka.

— Koleżanka? Przecież ty mnie nie znasz! — Klara wydała mi się zaniepokojona.

— Badaczka snów jak ty.

— Aha, to na jej wspomnienie wywracałeś gały jak jakiś deliryk.

— Nigdy w delirce nie wywracam gał, jak byłeś łaskawa określić — powiedziałem z powagą.

Roześmiała się. Rozmawiało się nam coraz lepiej. A mój nastrój też się poprawił i utrzymywał w górnej strefie stanów średnich. W ostatnich dniach zdarzało się to rzadko. Więc wypadało podtrzymać tę słuszną tendencję.

— Jak pojawi się nasz anioł z biustem, zamów dla mnie piwo. Żadnej kawy, tylko po prostu piwo. Oczywiście duże, na małe mnie nie stać. A ja pójdę zrobić dla niego miejsce. Przepraszam na chwilę.

Poszedłem do toalety w pobliskiej restauracji. Po drodze kupiłem od dziewczyny z ulicznego stoiska okulary słoneczne za jedne dziesięć złotych. Tanio, ale i tak robiła na mnie dobry interes, bo kupowałem u niej okulary mniej więcej co trzy dni. „Obejrzę sobie wreszcie tę Klarę” — myślałem, wybierając ciemne szkła, najlepsze na czerwcowe słońce.

Gdy wróciłem najwyżej po kwadransie, na stoliku stało duże piwo, natomiast dziewczyna znikła. W powietrzu unosił się jeszcze delikatny zapach jej perfum. A może tylko tak mi się zdawało. Nie zmartwiłem się specjalnie. Dobrze nam się



rozmawiało, ale najlepiej ostatnio czuję się we własnym towarzystwie. Odpowiada mi moje własne poczucie humoru i stosunek do życia.

Nie lubię też niecierpliwych kobiet, które nie są w stanie poczekać kilkunastu minut. A więc właściwie dobrze, że sobie poszła.

„A jednak to dziwne — pomyślałem — dziewczyna zjawiała się nie wiadomo skąd i nagle też nie wiadomo gdzie się zapodziała. To zanadto literackie”.

Oglądany przez nowe okulary świat pociemniał.

„Zainteresowała cię ta panienka” — powiedział mój głos wewnętrzny.

„Skądże znowu — zaprzeczyłem nieszczercze. — To tylko ciekawe zadanie umysłowe”. Rzeczywiście coś mi się nie zgadzało. Chyba budził się mój, przysypiający ostatnio, śledczy umysł.

„Nie było mnie kilka, może kilkanaście minut — rozważałem. — Ale najpierw kupowałem okulary kilkanaście kroków dalej. Ogródek jest otoczony drewnianym płotkiem z jednym tylko wejściem, które cały czas wtedy widziałem. Nawet gdy przymierzałem okulary i zerkałem do lusterka, które podała mi sprzedawczyni, miałem w polu widzenia to wejście. Nikt nie wychodził, a już na pewno nie mógłbym przegapić wielkiego kapelusza Klary. W toalecie spędziłem trzy, cztery minuty. A potem, gdy wyszedłem z restauracji, ruszyłem najpierw w kierunku ulicy Nowy Świat. Po prostu z przyzwyczajenia. Pracowałem do niedawna w tej okolicy i często tędy przechodziłem. Dopiero po kilku krokach zreflektowałem się i zawróciłem w stronę ogródka. Ale dzięki mojej pomyłce widziałem ulicę w jednym i drugim kierunku. Oddalająca się dziewczyna w słomkowym kapeluszu zwróciłaby moją uwagę. Nasz ogródek piwny znajduje się mniej więcej w połowie drogi między Nowym Światem a Bracką. W jedną i drugą stronę kilkaset metrów do przejścia. Czyli Klara, aby znik-

nać, musiała wyjść dokładnie w tym momencie, w którym ja wchodziłem do restauracji. I iść bardzo szybko”...

„Oto do czego służą pięknym dziewczynom długie nogi. Żeby zwiewać od nudnych, starych facetów — zaśmiał się ironicznie mój głos wewnętrzny. I mnie podsumował: — A ty się napalałeś, naiwniaku”.

„Ale to przecież piramidalna bzdura. Klara sama się do mnie przysiadła i w każdej chwili mogła odejść. Nie musiała uciekać i to w taki sposób, jakby chciała, żebym niczego nie zauważył”.

Piłem piwo i zastanawiałem się. Dziewczyna z tak długimi nogami mogła bez trudu przeskoczyć niski płótek gdzieś z tyłu. Od strony stoiska z okularami zasłania go duży bufet, spora tablica reklamowa i parasole nad stolikami. Miałaby wtedy więcej czasu, aby się oddalić niepostrzeżenie w jednym albo drugim kierunku. Jednak jej ucieczka przez płótek na pewno została zauważona przez kelnerki. Właśnie, kelnerka. Pomachałem do mojego anioła. Zjawił się natychmiast.

— Wie pani dobrze, że jestem nieszczęśliwym człowiekiem, który topi zgryzoty w piwie — powiedziałem — a tu jeszcze uciekła mi dziewczyna. Nie można jej na chwilę spuścić z oka, bo zaraz daje nogę.

— Może pan za dużo pije?

Spojrzałem zaskoczony. I to mówi osoba, która żyje z podawania piwa? Przed chwilą niemal to samo powiedziała Klara. A więc jednak nawet tak wspaniały zawód, ba, co ja mówię, posłannictwo polegające na podawaniu znękanym życiem mężczyznom ożywczego nektaru, nie jest w stanie pokonać kobiecej natury.

Mój głos wewnętrzny — j a k wyczułem — chciał już ironicznie skomentować to piękne długie zdanie, ale nie dopuściłem go do... głosu. Musiałem przecież uzyskać od stojącego w wyczekującej pozie mojego anioła konkretne informacje.

— Czy pani może widziała, kiedy dziewczyna w słomkowym kapeluszu się ulotniła?

— Przyszedł po nią jakiś mężczyzna i razem odeszli. To było trochę dziwne, bo wydawało mi się, że ona wcale nie chciała iść. Wolała chyba poczekać na pana.

— Na pewno wolała zostać ze mną — oświadczyłem z przekonaniem. — Proszę mi wszystko opowiedzieć po kolei. Co się działo od chwili, gdy odszedłem od stolika?

— Nie widziałam, kiedy pan wychodził. Zauważyłam, że pana nie ma, gdy ta pana dziewczyna zamówiła piwo i poszłam po nie do bufetu. Gdy spojrzałam przelotnie w stronę stolika, zdawało mi się, że pan już wrócił i dopiero po chwili zauważyłam, że to jakiś inny mężczyzna siedzi na pana miejscu. To mnie nawet zdziwiło i chciałam mu się przyjrzeć. Ale wtedy zawołano mnie do stolika tam w kącie. Sporą chwilę zabrało mi przyjęcie zamówienia. Potem dopiero wróciłam po piwo dla pana. Kazałam jeszcze trochę dolać, bo piana zaczęła znikać i wydawało mi się, że piwa jest trochę za mało...

— Bóg to pani wynagrodzi, mój aniele.

— Więc wreszcie odwracam się z pełną szklanką i widzę, że pańska dziewczyna w kapeluszu właśnie wychodzi z tym mężczyzną. Zdawało mi się, że on trzymał ją mocno pod rękę.

— W którą stronę poszli?

— Chyba w tę — pokazała na zachód — ale nie jestem pewna. Niech pan zapyta te panie, które siedzą przy stoliku od tamtej strony. Może coś widziały?

— Dobry pomysł.

— Czy to można zabrać? — Wskazała na prawie pełną szklankę z małym piwem Klary. — Bo ta pani już chyba nie wróci?

— Wróci, nie wróci, naprawdę nie wiem, ale nalane piwo ktoś musi wypić — powiedziałem i przelałem złocisty napój do mojej prawie pustej już szklanicy.

— Tu coś jest... Karta bankowa.

Zauważyliśmy ją równocześnie. Pod szklanką Klary leżała, niby wizytówka dziewczyny, kolorowa karta. Szybko sięgnąłem po nią.

„Chciała za nas zapłacić”. — To była pierwsza myśl, która przysłała mi do głowy.

— Ale u nas nie można płacić kartą — powiedziała kelnerka.

— O tym Klara oczywiście nie wiedziała, była tu chyba pierwszy raz — wyjaśniłem. I dodałem: — Oddam jej kartę, gdy się zobaczymy.

No tak, teraz rzeczywiście muszę ją odnaleźć.

„Dawniej panna gubiła chusteczkę, gdy chciała, żeby zwrócił na nią uwagę kawaler, a dzisiaj zostawia kartę bankową. Co za czasy!” — powiedział mój głos wewnętrzny.

„Spadaj, staruchu — skarciłem go — nic nie rozumiesz z dwudziestego pierwszego wieku”.

„Klara Zameczek” — przeczytałem na karcie imię i nazwisko. Od razu zrozumiałem: takie nazwisko wyrabia w posiadaczu ogólną drażliwość w kwestii imion własnych. Obok tych podstawowych danych umieszczono — jak to praktykowały niektóre banki — małe zdjęcie właścicielki. Oczywiście bez kapelusza. Dzięki temu, chociaż fotografia była niewielka, mogłem wreszcie zobaczyć, jak wygląda Klara. Wyobrażałem sobie ją inaczej. A tu zobaczyłem zaciśnięte usta i jakiś dziwny grymas na twarzy. Zimna blondynka ze szklanym spojrzeniem.

„Lalka Barbie” — wtrącił się mój głos wewnętrzny.

Nie odpowiedziałem, ale określenie wydało mi się trafne. A takie sympatyczne wrażenie na mnie zrobiła. Lecz przecież rzadko kto jest w rzeczywistości tak paskudny jak na zdjęciu w paszporcie albo jakiejś innej legitymacji — pocieszyłem się nieszczerze.

Dzień był jasny i słoneczny, zapowiadano upały, a ja po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, to znaczy mniej więcej od trzech tygodni, obudziłem się bez żadnych objawów kaca. Postawiłem na gazie mój ulubiony włoski ekspres do kawy i czułem, że dziś rozwiążę zagadkę Klary Zameczek. Przeszkadzał mi tylko mój rozsądny głos wewnętrzny, który od rana powtarzał:

„Ta historia śmierdzi, po co się w nią pchasz! Odeślij kartę do banku i zapomnij o długonogiej blondynce w słomkowym kapeluszu. Zwłaszcza że jak zdejmie kapelusz, wygląda niczym lalka i ma spojrzenie cielęcía. To tylko fotografia o powierzchni dwóch centymetrów kwadratowych. Dwa centymetry kwadratowe to chyba za mało, żeby ocenić urodę dziewczyny. Myślisz, że jej skrzywione usta, powiększone nawet sto razy, byłyby mniej skrzywione? Byłyby skrzywione sto razy bardziej. Na wielkim billboardzie, trzy metry na sześć, twoja panienka mogłaby reklamować specyfik odstraszający komary albo trutkę na robaki”.

„Nie wysilaj się” — powiedziałem tylko, ale pomyślałem, że Leonarda da Vinci pociągał chyba grymas ust Giocondy, skoro z jej portretem nie rozstawał się podobno do końca życia.

„Nie porównuj Mona Lizy do tej współczesnej lalki. Barbie zawsze pozostanie lalką Barbie”.

Nikt nie przegada tego obrzydliwca (cóż, moja krew), więc zaproponowałem:

„Lepiej zastanówmy się, co naprawdę się wczoraj zdarzyło? Bo wyglądało to na porwanie”.

„Mówię przecież, że coś tu śmierdzi” — zaśmiał się ironicznie (napisać chciałem „sardonicznie”, ale kto jeszcze dzisiaj wie, co to znaczy) mój głos wewnętrzny i umilkł. Zawsze milknie, kiedy trzeba rzeczowo pomyśleć, a nie tylko kpić czy krytykować.

Próbowałem poprzedniego dnia na gorąco przeprowadzić małe śledztwo. Rozpocząłem od dwóch starszych pań, które siedziały tuż przy drewnianym płotku. Jedna z nich była Niemką. Bardzo słabo mówiła po polsku, bo „Polnisch ist schwer”, czyli trudny. Dla mnie z kolei niemiecki jest trudny, czyli „schwer”, więc czuliśmy się dobrze w swoim towarzystwie jako ludzie o podobnym poziomie wykształcenia. Miła pani okazała się za to znawczynią samochodów (co miało — j a k się okaże — duże znaczenie), a także wielką amatorką piwa. To ona podobno zaciągnęła przyjaciółkę do ogródka, bo chciała koniecznie napić się beczkowego żywca, za którym przepadała.

— Ich trinke żywiec sehr gern — to chyba brzmiało jakoś tak.

Jej bardzo gadatliwa przyjaciółka, Polka ze Szczecina, mówiła za siebie i tłumaczyła z niemieckiego na polski i z polskiego na niemiecki. Oczywiście po drodze coś dodawała, komentowała, a nawet — zdawało mi się — zmieniała sens wypowiedzi pani Helgi.

Trochę później, gdy panie wypity po dwa duże piwa, nie bardzo już odróżniałem, która mówi po polsku, a która po niemiecku.

Nasza rozmowa była więc nieco chaotyczna. Kobiety zmęczyły się (i chyba znudziły) zwiedzaniem Starówki, Wilanowa, ogrodu na dachu Biblioteki Uniwersyteckiej i innych obowiązkowych stołecznych atrakcji. Spotkanie ze mną bardzo przystojnym (już słyszę śmiech mego głosu wewnętrznego) trzydziestoparolatkiem, potraktowały jak największą warszawską

przygodę. Uznały ją za obiecujący początek ciekawej znajomości. Nie wiem, co sobie wyobraziły i za kogo mnie wzięły, ale bardzo się ożywiły. I wyraźnie ubyło im lat. Zarzuciły mnie pytaniami i miłymi słówkami. Rozmawialiśmy o gatunkach piwa polskiego i niemieckiego, narodowych potrawach i dobrych warszawskich restauracjach.

— Können Sie mir irgendein gutes Restaurant empfehlen?

— Proszę wybrać jakąś dobrą restaurację.

Panie planowały już kolację, na którą natychmiast mnie zaprosiły (to tak między pierwszym a drugim piwem). Widziały mnie też w roli przewodnika, który pokaże im Warszawę w nocy (zaproszenie po drugim piwie).

— Wann können wir uns treffen?

— Wo treffen wir uns?

— Gdzie i kiedy się spotkamy?

— In der Gaststätte.

— W restauracji, tylko niech pan powie, której. Dziewiąta, to dobra godzina? A potem... miasto nocą. Czy jest tu jakaś rewia?

Potrzebowałem całego swojego kunsztu (a naprawdę umiem przeprowadzać wywiady), żeby niczego nie obiecując, wyciągnąć z nich to, co mnie interesowało.

Po godzinie już co nieco wiedziałem. Pani Helga zauważyła samochód, do którego wciągnięto Klarę. Był to jej zdaniem stary Chevrolet, dość rzadki w Europie. Wyglądał jak karawan, przetłumaczyła pani Marysia po dłuższym poszukiwaniu właściwego słowa. Kolor? Schwarz. Miał przyciemnione szyby. Obie panie oceniły, że Klara wsiadła pod przymusem, chociaż twierdziły też, że dziewczyna nie opierała się specjalnie. Podobno nawet skomentowały na gorąco wydarzenie, że to mąż albo narzeczony wyciąga swoją kobietę z siedliska pijaństwa i wszelakiego zła, jakim miał być nasz miły ogródek. Wyobraziły sobie jakąś miłosną historię, z zazdrosnym mężem, który nakrył żonę spotykającą się ukradkiem z kochankiem w piw-

nym ogródku. Moje zainteresowanie Klarą pasowało znakomicie do wymyślonej fabułki. Bo gdy tylko mnie poznały, natychmiast obsadziły mnie w tym romansie w roli kochanka.

Panie były pewne, że mężczyzna, który ciągnął Klarę, wsiadł razem z nią na tylne siedzenie i zaraz potem samochód ruszył. A więc w wozie musiała być jeszcze przynajmniej jedna osoba — kierowca.

Zakończyłem rozmowę i nie umówiłem się na nocną eskapadę.

- Schade, ich habe mich schon auf ein Abenteuer gefreut — powiedziała pani Helga, a jej przyjaciółka przetłumaczyła:
- Cieszyła się jakąś przygodę. Ja też, panie Konradzie.
- Jeszcze się spotkamy. Na pewno — obiecałem.

W pobliżu ogródka, wzdłuż całej ulicy, nie wolno parkować. Przy jedynym wjeździe od strony Brackiej zrobiono nawet specjalną zaporę — wysuwane z ziemi żelastwo — i postawiono ochroniarza. Zaplanowano elegancki deptak, wyłącznie dla pieszych. Idea była piękna: knajpki, luksusowe sklepy, ławeczki, zieleń. Mało z tego zostało. Sklepy najczęściej zamiast atrakcyjnych towarów wystawiają w witrynach anons: „Lokal do wynajęcia”. Spacerowiczów niewiele.

Natomiast zawsze stoi tu kilka albo nawet kilkanaście samochodów. Jak to w Warszawie, żaden zakaz, a zwłaszcza dotyczący parkowania nie jest przestrzegany. Żelastwa broniącego wjazdu nikt już nie wysuwa. Może się zepsuło? Albo uszkodził je jakiś zdenerwowany kierowca? Pozostał jednak ochroniarz.

Podszedłem do niego i opowiedziałem mu prostą historyjkę. Byłem umówiony ze znajomym, lecz, niestety, spóźniłem się. Czy może go widział? Łatwo go rozpoznać po rzadkim w Warszawie samochodzie, czarnym chevrolecie.



— Był taki, ale już chyba z godzinę temu pojechał — stwierdził młody ochroniarz.

— Czy długo czekał?

— Bo ja wiem, może godzinę.

Chłopak nie miał nic specjalnego do roboty i chętnie udzielał informacji. W końcu to jakieś urozmaicenie w nudnej pracy.

— Czy coś mówił?

— Wie pan, on tylko zapytał, czy może wjechać, a gdy wyjeżdżał, nawet nie odkręcił szyby.

— A więc nie przyjrzał mu się pan dokładnie?

Ochroniarz spojrział zdziwiony:

— Przecież to pana znajomy.

— Powiem panu szczerze — powiedziałem, wiedząc, że po takim wstępie przejdzie każde niemal kłamstwo — to był mój szef. Ale nieraz przysyła asystenta. Jeśli był asystent, to pół biedy, ale jeśli sam szef, to nieźle wpadłem.

Zdaje się, że chłopak uwierzył w tę bajeczkę, a przynajmniej udało mi się wzbudzić w nim odrobinę współczucia. Każdy ma jakiegoś szefa i wie, co to znaczy spóźnić się na umówione z nim spotkanie.

— To był chyba asystent... Młody taki, wygolony...

— Aha, pan mówi o kierowcy. Ale jak wyglądał ten, który siedział z tyłu?

— Tego to ja wcale nie widziałem.

Cóż, nie dowiedziałem się zbyt dużo.

„Żebyś ty wiedziała, długonoga Klaro, jak usilnie cię poszukuję i próbuję wyratować z jakiejś nieznannej opresji” — pomyślałem.

„Sentymentalny głupiec. Dziesięć minut z dziewczyną która nawet nie raczyła zdjąć okularów i już się zakochał”... — głos wewnętrzny nie oszczędzał mnie nic a nic.

Miałem trochę danych. Dość rzadka marka samochodu, imię i nazwisko, mama podobizna i bank, w którym Klara miała konto. Oczywiście, w banku niczego mi nie ujawnią ale

od czego ma się przyjaciół. Usiadłem na ławce i wyciągnąłem komórkę. Gdy ją włączyłem po raz pierwszy od kilkunastu dni, zapiszczała i odmówiła współpracy. No tak, bateria rozładowana.

I wtedy zrozumiałem: nadeszła przełomowa chwila. Czas do domu, trzeba odstawić piwo i mocniejsze trunki, zakończyć odyseję po warszawskich barach i pubach. Wstałem i energicznym krokiem ruszyłem w stronę domu.

— Czy dziś jest czwartek? — zapytałem kelnerkę anioła, przechodząc obok ogródka.

— Zaraz, zaskoczył mnie pan — zatrzymała się zdziwiona — tak, oczywiście dziś jest czwartek.

— A więc niech pani zapamięta, to ważny dzień. Dzień, w którym rzucam picie piwa. Koniec z tym i szlus.

— Gratulacje, bardzo się cieszę!

— Tego to już nie rozumiem. Traci pani przecież dobrego klienta.

— Naprawdę się cieszę — powtórzyła.

Czy cieszyłaby się mniej, gdybym powiedział, że jeśli dziś jest rzeczywiście czwartek, to ostatni raz postanowiłem rzucić picie dwa dni temu? Bo pamiętam, że było to o siedemnastej we wtorek. Wytrwałem do środy, do godziny zero dwadzieścia, kiedy to postanowiłem pójść do najbliższych nocnych delikatesów. Ale że wołę bliźnim sprawiać radość aniżeli ich smucić, więc nic jej nie powiedziałem.

Po drodze kupiłem pieczonego kurczaka, bagietkę i mnóstwo zieleniny. Postanowiłem zrobić grecką sałatkę, moje ulubione danie. Do kurczaka miło byłoby wypić choć kieliszek czerwonego młodego wina, mogłoby być beaujolais, a do sałatki najlepsza jest zimna retsina smakująca żywicą ale zamiast tego kupiłem wielką butlę niegazowanej wody mineralnej.

„O gdybyś jeno widziała, dziewczyno w słomkowym kapeluszu, moje wyrzeczenia... Wszystko to w intencji odnalezienia ciebie i wyrwania z rąk porywaczy”.

W moim ulubionym małym, ale bardzo wygodnym mieszkanku udając, że nie widzę ogólnego zapuszczenia, czyli tak zwanego syfu totalnego, rzuciłem przyniesione wiktuały na stół w kuchni i postanowiłem zacząć od pewnego tajnego telefonu. Na kucharzenie, a tym bardziej sprzątanie, przyjdzie czas później. Na mój indywidualny przepis na grecką sałatkę — j e s z c z e później. Ale oczywiście przepis będzie — bo jak się powiedziało „a”, czyli przyznałem się, że to moje ulubione i popisowe danie, to trzeba też powiedzieć „b”. Więc przepis będzie, obiecuję.

Na razie dzwonię. Niestety, odpowiada mi głucha cisza. A umowa jest prosta: żadnych pośredników, szukania przez kolegów, zostawiania informacji u sekretarek. Tylko kontakt bezpośredni. I przez telefon niewiele. Reszta w czasie bezpośredniego spotkania w znanym miejscu. Dzwonię więc na komórkę. Też, niestety, wyłączona. Ale tu mam prawo zostawić wiadomość w poczcie głosowej. Zostawiam i — cóż robić — trzeba się uzbroidź w cierpliwość.

I tak minął dzień wczorajszy, a dziś mamy już dzień dzisiejszy. Słońce za oknem i w pokoju (odrobinę wysprzątanym), w łazience hałasuje pralka, a ja pijam mocną gorzką kawę bez cukru i bez nawet jednej kropli alkoholu. I jest we mnie spokój, to słodkie rozleniwienie, które u człowieka czyni poprzedza działanie. Bo przecież trzeba działać. Ponawiam mój tajny telefon. Odpowiada od razu.

— A, witam redaktora — powiada mój rozmówca. — Miło słyszeć, bo docierały tu niepokojące wieści, że poszliśmy w tango.

— To długa historia i opowiem ci przy okazji z najdrobniejszych szczegółami, a teraz potrzebuję twojej pomocy.

— Przecież zrezygnowałeś z pracy, czy też oni z ciebie zrezygnowali.

— To część tej długiej historii, Jacku, ale właśnie wracam. Wracam do siebie, wracam do pracy. Po prostu wielki powrót.

— Cieszę się ogromnie. Czym zatem może służyć skromny glina znakomitemu dziennikarzowi?

— Szukam pewnej dziewczyny i szukam pewnego samochodu.

— Każdy z nas szuka dziewczyny, a samochód bardzo się przydaje do takich poszukiwań.

— Jacku — powiedziałem z wyrzutem.

— No dobrze, cóż to za dziewczyna?

— Nazywa się Klara Zameczek...

Przerwał mi wybuch gromkiego śmiechu.

— No tak, to rzeczywiście powrót w wielkim stylu.

— Nie rozumiem.

— To chyba najbardziej dziś poszukiwana dziewczyna w Polsce. Znikła kilkanaście dni temu i od tej pory szuka jej wielu ludzi. Dwa gangi i kilku moich kolegów. Choć oni na razie nieoficjalnie, co ci zdradzam także nieoficjalnie.

— To ja ci powiem, oczywiście również nieoficjalnie, że rozmawiałem z nią wczoraj.

— Gdzie?

— Tu, w stołecznym mieście, Warszawie.

— No to dlaczego jej szukasz?

— Bo gdy wyszedłem na chwilę, ona przepadła. Wiem tylko tyle, że wciągnięto ją do czarnego chevroleta.

— Ta dziewczyna to szefowa gangu z twojego rodzinnego miasta. Ale moi koledzy podejrzewają że to się już bardzo rozrosło i że urocza Klara kontroluje pół Mazowsza. Nie zajmuję się tym, ale mogę trochę popytać.

— Zrób to, najdroższy — powiedziałem słodko.

— Robię to dlatego, że cieszysz mnie twój powrót do pracy. W przyszłości już nie będę taki łatwy.

Nie wyprowadzałem Jacka z błędu, że moje poszukiwania mają na razie aspekt wyłącznie prywatny. Ale kto wie, może jeszcze powstanie przy okazji jakiś porządny reportaż?

Ponieważ Jacek planował wyjazd z rodziną na weekend

(„Glina też ma prawo do życia rodzinnego, ale tylko prawo, bo rzadko je realizuje, więc raz chciałbym” — powiedział), umówiliśmy się jeszcze dziś po południu, niedaleko jego domu, w jednym z naszych supertajnych miejsc.

Pojechałem tam wcześniej, żeby obejrzeć teren. Tak zachowują się agenci w trakcie tego rodzaju spotkań, jak czytałem w powieściach. Barek z kawą i ciastkami na świeżym powietrzu, obok wejścia do dużego centrum handlowego. W piątkowe popołudnie sporo ludzi tędy przechodzi. Usiadłem pod ścianą mając dobry widok na uliczkę, którą powinien nadejść Jacek. Spóźnił się, co zdarzało mu się bardzo rzadko. „Ludzie zapracowani jak ja nie mogą sobie pozwalać na spóźnienia. Ale nie cierpię też spóźnień u innych” — mawiał.

Zobaczyłem go dość nagle, bo spodziewałem się, że przyjdzie z drugiej strony. Szedł swoim zdecydowanym, szybkim krokiem na przełaj przez niewielki placyk, na którym zawsze odbywał się targ. I teraz wokół straganów kłębił się niezły tłumek. Skręcił w moim kierunku. Chciałem mu pomachać, ale przypomniałem sobie, że nasze spotkanie jest tajne. W tej chwili młodzieniec z brodą i w jasnej bejsbolówce, który szedł chyba za Jackiem, zrównał się z nim i — j a k mi się wydawało — coś do niego powiedział. Jacek nagle złapał się za brzuch i upadł.

Wpatrywałem się w nich i widziałem całą scenę dokładnie. Młody człowiek schował do zwykłej reklamówki długi pistolet i spokojnie się odwrócił. Wszedł między ludzi wypełniających targowy placyk. Rozpłynął się. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Nie usłyszałem żadnych wystrzałów. Dopiero po chwili ktoś zaczął krzyżeć. Nad Jackiem kotłował się tłumek. Jakiś mężczyzna dzwonił z telefonu komórkowego.

Siedziałem jak skamieniały. Nie mogłem się ruszyć, wstać, podejść. Wciąż widziałem, jakby stop-klatkę, ten moment, w którym Jacek pada, a zabójca chowa broń. Młody człowiek, jakich tysiące na ulicach. Średniego wzrostu, ani gruby, ani

chudy, po prostu przeciętny. Nigdy bym go zapewne nie rozpoznał, nawet gdybym się o niego otarł w tramwaju czy w sklepie. Czapka z długim daszkiem zasłaniała mu pół twarzy, broda była zapewne sztuczna. Spodnie, koszulka, w jakich chodzą wszyscy mężczyźni w te gorące dni. Zresztą już ich nie pamiętałem.

Rozległ się jęk syreny, a potem drugi i trzeci. Karetka niemal wjechała w tłumek otaczający leżącego w kałuży krwi mężczyznę. Tuż za nią nadjechały dwa samochody policyjne. Policjanci zaczęli odsuwać gapiów.

Wciąż byłem w szoku. Nie mogłem się ruszyć, podejść. Nawet mój głos wewnętrzny milczał, choć teraz zapewne posłuchałbym każdej jego rady.

Oczywiście, zamach na Jacka nie miał zapewne nic wspólnego z naszym spotkaniem. Przecież on prowadził wiele trudnych spraw, o których nawet nie miałem pojęcia.

Nagle, gdzieś z boku, coś się poruszyło. To z bocznej uliczki wyjechał powoli Chevrolet z przyciemnionymi szybami. Dokładnie taki jak opisany przez panią Helgę. Czarny karawan. Przejechał wolno uliczką obok zbiegowiska, karetki, wozów policyjnych, jakby ukryci wewnątrz pasażerowie chcieli dokładnie wszystko obejrzeć.

Usłyszałem gwar, wiele głosów. Uświadomiłem sobie, że przez dłuższy czas słyszałem je wszystkie mocno przytłumione. Tak jak po wyjściu z samolotu, po ostrym schodzeniu na lotnisko z dużej wysokości, gdy mamy „zatkane” uszy.

Przebudził się też mój głos wewnętrzny. „To ostatnia chwila, żeby spłynąć. Zaraz zaczną spisywać świadków, wypytywać. Przecież byłeś z nim umówiony. Nie przyznasz się, ale wyjdzie to na jaw i będziesz bardzo podejrzany. Tylko ty wiedziałeś, że on tu będzie o tej porze. Nie wytłumaczysz się z tego”.

Wstałem więc, położyłem monety za kawę na stoliku i wmieszałem się w tłumek wchodzący do centrum handlowe-

go. Ponownie zawyła syrena. W odległości kilkudziesięciu kroków leżał w ruszającej właśnie karetce jeden z najbardziej życzliwych mi ludzi. Uczciwy, dzielny, pełen życia. Po prostu prawdziwy glina, jak lubił siebie nazywać. A tu, w klimatyzowanych wnętrzach, warszawiacy spokojnie robili weekendowe zakupy. Nikt nie wiedział, co się przed chwilą wydarzyło na zewnątrz.

Przeszedłem przez centrum i postanowiłem wyjść z drugiej strony. Zbliżając się do drzwi, w wielkiej witrynie sklepu z elegancką porcelaną zauważyłem odbicie mężczyzny. Draǵal, metr dziewięćdziesiąt albo więcej, z bujnym jasnym wąsem. Zbyt charakterystyczna postać, żeby jej nie zapamiętać. Gdzieś go już widziałem. Ale gdzie?

Wyszedłem na zewnątrz i zatrzymałem się przy kiosku. Obejrzałem się dyskretnie. Koszykarz podążał za mną. Gdzie ja go widziałem?

Trzeba mu się urwać.

Znam kilka starych przepisów na gubienie ogona, jeszcze z czasów stanu wojennego, gdy jako szczeniak rozwoziłem bibułę. Ale w czasach nowoczesnej techniki są lepsze. Stałem za kioskiem. Draǵal pilnie studiował afisze na słupie ogłoszeniowym nieopodal. Wyciągnąłem naładowany już telefon i zadzwoniłem po taksówkę. Umówiłem się na bocznej pustej uliczce w odległości pięciu minut. Dyspozytorka poinformowała mnie, że za tyle mniej więcej przyjedzie taksówka.

Chodziło o dobre zgranie w czasie. Po prostu idę sobie powoli uliczką. Za mną gdzieś tam skrada się draǵal. Aż tu obok mnie staje taksówka. Wskakuję i odjeżdżam. W takim miejscu szansa na złapanie wolnej taksówki jest niewiele większa od szansy na wygraną w lotto.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Draǵal został na ulicy z rozdziawioną gębą (jak sobie wyobrażam, bo wcale się nie oglądałem). A ja, cały jeszcze wewnątrz rozdygotany, jechałem do domu.

„Jeżeli przeżyję dzisiejszy wieczór bez kropli alkoholu — pomyślałem — to chyba zostanę świętym, patronem abstynentów”.

I nagle sobie przypomniałem. Widziałem dragała wczoraj. Siedział spokojnie na ławeczce nieopodal piwnego ogródka, w którym spotkałem Klarę, i czytał jakiś kolorowy tygodnik.



„A więc jest już trup — odezwał się mój głos wewnętrzny. — Zastanawiałeś się, flirtując z tą lalunią, jak się okazuje, szefową gangu, co tu się zaczyna? Teraz już wiesz. Zaczęła się ponura historia kryminalna”.

„Skąd wiesz, że trup? Może Jacek jest tylko ranny, ale żyje?”

„Sam w to nie wierzysz”.

Od godziny siedziałem na wysokim barowym stołku w ciemnej mordowni niedaleko mojego mieszkania. To była moja nora, do której się chowałem w trudnych chwilach. Nie chciało mi się wracać do domu. Są momenty, kiedy samotność, którą zazwyczaj sobie chwale i cenię, trochę mi doskwiera. Dziś przydałaby się ciepła, przyjazna pierś kobieca, żebym mógł się na niej wypłakać.

„Posłuchaj wreszcie mojej rady i zostaw tę historię” — odezwał się mój głos wewnętrzny.

Nic mu nie odpowiedziałem.

„Lepiej wróć do pijaństwa. Od alkoholu się nie umiera albo przynajmniej umiera dość długo. I może to być nawet przyjemne umieranie. Są tacy, co dożywają setki, choć za kołnierz nie wylewali. A od kulki natychmiast. Ja zaś, wiesz, kochany, chciałbym jeszcze trochę pożyć”.

„Nie wrócę do alkoholu” — stwierdziłem stanowczo, wychylając kieliszek.

Napić się musiałem. Jednak zamiast kupić butelkę do do-

mu, z premedytacją wszedłem do tej drogiej speluny. Zamówiłem podwójną brandy i koniec, szlus. Zresztą przepijałem właśnie ostatnie grosze.

„A ty — zwróciłem się do głosu wewnętrznego — co jesteś jak wampir, który karmi się cudzym życiem, mógłbyś uszanować mój smutek. Znajdź sobie inny cel i zostaw to ciągle komentowanie mojej poplątanej egzystencji”.

Nie odpowiedział, zapewne obrażony. Ale ja znam jego stale powtarzaną odpowiedź na podobne zarzuty.

„Zamiast kota albo psa już lepiej mieć głos wewnętrzny, bo nie trzeba go karmić ani wyprowadzać na spacer”.

Trochę racji w tym jest, tyle tylko, że kota albo psa można zostawić w domu, a głos wewnętrzny jest z tobą stale. I odzywa się nieproszony w najmniej odpowiednim momencie.

Już nie trząsałem się cały w środku. Bojaźń i drzenie ustąpiły. Mocna brandy jednak pomogła. „Więc chodźmy do domu — pomyślałem — zamknijemy się tam z mym głosem wewnętrznym i będziemy sobie spokojnie cierpieć”.

Idąc, próbowałem po raz kolejny uporządkować wydarzenia dwóch ostatnich dni. Przysiadła się do mnie dziewczyna. W czasach równouprawnienia to rzecz normalna. Dziewczyny zdobyły sobie takie samo prawo wybierania i podrywania mężczyzn, jakie do tej pory przysługiwały nam, mężczyznom. Całym sercem jestem za (słuchajcie feministki: jestem za!). Nawet jestem z tego zadowolony. Ja po prostu kocham być podrywany, zdobywany, ciągnięty do łóżka. Zwłaszcza gdy robi to długonoga blondynka. Niechby z grymasem Mona Lizy.

Jednak co za przyjemność być podrywanym, gdy dziewczyna nagle znika. Tak się nie robi. To jest w złym stylu. Co gorsza; dziewczyna znika nie z własnej woli. I zostawia mnie w roli, z której — zdawało mi się — równouprawnienie mnie wybawiło, rycerza, obrońcy. Ale tu pojawia się poważna wątpliwość. Czy mam bronić dziewczyny, jeżeli ona okazuje się szefową gangu? (Czy równouprawnienie nie poszło za dale-

ko? Szefowanie w gangach zastrzeżone było do tej pory dla mężczyzn). To raczej ja potrzebuję ochrony przed nią.

Oczywiście była też sprawa Jacka. Wciąż się zastanawiałem, dlaczego do niego strzelano. Był zaangażowany w wiele spraw, prowadził różne śledztwa i na pewno miał wielu wrogów. Może jednak to zabójstwo nie miało związku ze mną i sprawą Klary? Czarny Chevrolet przyjechał za mną tak samo jak mnie śledził drągal. Przypadkowo wszyscy znaleźliśmy się w miejscu egzekucji.

Czułem, że za dużo tych przypadków. To się jednak jakoś ze sobą musi łączyć: Klara i jej porwanie przez ludzi z chevroleta, zabójstwo Jacka, śledzący mnie wysoki wąsacz. Tylko jak?

Gdy szukałem w torbie klucza do mieszkania, uchyliły się drzwi obok i wyjrzała główka Jadzi, mej sąsiadki. Malutka brzydka brunetka, z włosami związanymi z tyłu w śmieszny ni to kucyk, ni to warkoczyk, bardzo sympatyczna i samotnica, jakja. Mieszkamy sobie dwie samotne istoty na tej samej klatce schodowej i nieraz pomagamy wzajemnie w rozmaitych biedach.

— Dziś znów wracasz o przyzwoitej porze — przywitała mnie jakby pretensją.

— To chyba dobrze?

Nie odpowiedziała, tylko oznajmiła:

— Szukała cię jakaś wysoka blondynka.

— O! — zdziwiłem się i zamilkłem. Bo jeśli chcesz, żeby Jadzia coś powiedziała, jest jeden tylko sposób: nie pytać, nie okazać ciekawości, a nawet wręcz przeciwnie, udać, że wcale cię to nie interesuje. Więc szybko dodałem:

— Jestem trochę zmęczony, chyba pójdę się położyć.

— Nie interesuje cię, co to za dziewczyna?

— Niespecjalnie. Ja codziennie spotykam jakieś blondynki, brunetki...

— Ale ta była bardzo tajemnicza. W wielkim słomkowym

kapeluszu, z twarzą zasłoniętą okularami słonecznymi... Wyobraź sobie, nie zdjęła tych okularów nawet tu, na naszej ciemnej klatce schodowej...

— No dobrze, powiedz już, jak musisz, bo padam z nóg...

Spojrzała na mnie, jakby przeniknęła moją grę i dostrzegła, ile wysiłku wymaga ode mnie powstrzymanie się od zasypania jej pytaniami.

— Naprawdę nie interesuje cię ta dziewczyna? A może już spotkaliście się?

— Nie interesuje mnie nic a nic — rzekłem ze znużoną twarzą.

— Wiesz, to było wczoraj, może godzinę po twoim wyjściu.

Tu trzeba wyjaśnić, że nasza kamienica ma przedziwną akustykę. Ja, na przykład, gdy jestem w kuchni, nie słyszę radia z własnego pokoju, ale za to słyszę telewizor Jadzi, a nawet jej stukanie w klawiaturę komputera. Ona zaś słyszy wszystko, co się dzieje u mnie, zarówno w pokoju, jak i w kuchni. Wie, kiedy wychodzę i kiedy wracam, czy wziąłem prysznic po powrocie, czy też od razu zwałem się do łóżka. Nauczyłem się już tym nie przejmować.

— Mam nadzieję, że ocaliłaś moją prywatność i nic jej nie powiedziałaś?

— Wiesz, ona zadzwoniła do mnie i pyta, czy tu mieszka redaktor taki to a taki? Więc ja powiedziałam tylko tyle, że nie, że obok. Bo odkąd zdjęto na dole listę lokatorów, wiesz, ta ustawa o ochronie naszego czegoś tam, często się zdarza, że ludzie się mylą. A ona na to, że obok już dzwoniła i tam nikt nie ma. Naprawdę najpierw dzwoniła do ciebie, słyszałam.

— A więc złamałaś ustawę o ochronie danych osobowych — rzekłem surowo — i co jeszcze jej powiedziałaś?

— Ponieważ ona mówiła, że musi cię jak najszybciej zobaczyć i że skądś przyjechała specjalnie i wyglądała na zdenerwowaną, powiedziałam jej, że jak jest pogoda, to jesteś w ogródku piwnym na Chmielnej...

— Co? A skąd ty to wiesz?

Zrobiła skromną minę.

— Ty jesteś słynnym dziennikarzem śledczym, a ja zwykłą maszynistką komputerową ale też coś niecoś potrafię zauważyć.

— To ci detektyw w spódnicy... A dziennikarzem raczej byłem niż jestem.

— I co, odnalazła się ta blondynka?

— Naprawdę padam z nóg — powiedziałem szybko — dobranoc.

I zamknąłem za sobą drzwi.

„Ładne kwiatki — pomyślałem — więc śliczna Klarunia przysiadła się do mnie, wiedząc doskonale, kim jestem, gdzie mieszkam, jak się nazywam, czym się zajmuję i jak wyglądam. Bo przecież w ogródku podeszła wprost do mnie. Pytała mnie o imię, a znała w szczegółach niemal cały mój życiorys”.

Czułem się rzeczywiście skonany. W jednej chwili, w której na moich oczach zastrzelono Jacka, uszła ze mnie energia, która jeszcze rano wydawała mi się niewyczerpana. Pękł balonik, który nadmuchała Klara. I coraz mniej wiedziałem, co należy teraz zrobić. Czy iść na policję? I co im powiem? Przecież to wszystko razem kupy się nie trzyma. A może trochę poszperać w archiwach kilku redakcji, do których miałem wciąż dostęp?

Umiem czytać drobne, niewiele znaczące notatki w gazetach, łączyć opisane w nich zdarzenia ze sobą wyprowadzać wnioski. To od takiej uważnej lektury zaczynały się moje reportaże. Dopiero potem szukałem ludzi, powiązań, ukrytych faktów. Mam też swoich informatorów i to nawet w świecie przestępczym. Jednak informacja kosztuje, a ja miałem jeszcze jeden problem. Właśnie skończyły mi się pieniądze. Przez kilka tygodni przepijałem codziennie fortunę i proszę, finanse się wyczerpały właśnie wtedy, gdy podjąłem heroiczną decyzję uszatowania się i spędzenia reszty moich dni w stanie bezalkoholowym. Czy nie była to zbyt pochopna decyzja?

Może gdybym dalej sobie popijał, w ogóle nie zauważyłbym braku forsy?

Stan bezalkoholowy (czy prawie bezalkoholowy: podwójną brandy traktowałem przede wszystkim jako lekarstwo na moją trzęsączkę; pomogło znakomicie) wymagał ode mnie trzeźwych decyzji. Przebrałem się więc w stare sztruksowe spodnie i zaparzyłem czajniczek mocnej czarnej herbaty. Wygodny strój dla ciała, herbata dla umysłu. I dopiero gdy pomaszerowałem z kubkiem do pokoju, zauważyłem migające światełko na sekretarce. Przez ostatnie kilka tygodni nikt nie zostawiał mi wiadomości, więc odzwyczaiłem się od sprawdzania telefonu zaraz po przyjsciu do domu.

— Konrad, spóźnię się jakiś kwadrans. Dzieje się coś dziwnego. A gdybyś potrzebował pomocy, na przykład w czasie weekendu, gdy mnie nie będzie w Warszawie, wtajemniczyłem trochę w sprawę komisarza Bartka Zbierskiego. To mój najbliższy współpracownik, możesz mu zaufać. Chyba go kiedyś poznałeś, bo on cię pamięta. Dam ci jego telefony, gdy się spotkamy. No to do zobaczenia za dwie godziny.

To był głos Jacka. Stałem jak skamieniały do chwili, gdy taśma zaczęła się cofać. Ale już było za późno. W mojej sekretarce, gdy się chce zachować nagrany wiadomość, trzeba od razu po jej odsłuchaniu nacisnąć „stop”. Ostatnia wiadomość od Jacka skasowana. „Tak jak on sam — pomyślałem. — I to wszystko z mojej winy. Po co pytałem go o Klarę? Dlaczego po jej zniknięciu nie zachowałem się tak jak zawsze, gdy opuszczały mnie kobiety? Należało zamówić kolejne duże piwo, nawet cały tuzin dużych piw i cieszyć się, że sobie poszła”.

Wydawało mi się, że wciąż słyszę głos przyjaciela. Nagrał wiadomość tuż po moim wyjściu z domu, skoro mówił o spotkaniu za dwie godziny. Ale dlaczego nie zadzwonił do mnie na komórkę? Telefonu komórkowego nie lubił, to prawda. Powiedział mi kiedyś, że dzięki telefonom komórkowym postępów praca operacyjna policji jest łatwiejsza.

„Im się wydaje — mówił — że niebezpieczne są telefony stacjonarne. Łatwo rozmówców namierzyć. A przy dzisiejszej technice elektronicznej tak samo można namierzyć komórkę. Poza tym to właśnie rozmowy z telefonu komórkowego zostawiają więcej śladów. Gdy jej właściciel dużo i często rozmawia, można też śledzić jego marszrute”.

Kiedyś wymyślił prosty sposób na likwidację przestępczości w Polsce. Najpierw wszystkim przestępcom — w ramach specjalnej promocji — rozdać po komórce i potem tylko monitorować (ładne słówko, co?) ich telefony.

„Zamiast całej policji kryminalnej wystarczyłby jeden silny komputer” — śmiał się. Od czasu do czasu komputer wypływałby komunikat: komórka numer taki to a taki spotkała się z komórką numer taki a taki w pubie przy ulicy takiej. Pierwsza komórka odjechała, druga została i nie przemieszcza się. Należy udać się do pubu i zabrać trupa gangstera. Zabójca jedzie teraz z szybkością sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę drogą szybkiego ruchu w kierunku Katowic i o godzinie  $x$  znajdzie się w punkcie  $y$ . Wysłać oddział antyterrorystów w celu zatrzymania.

Albo: cztery komórki z listy podejrzanych o kradzież tirów zlokalizowano na szosie w miejscu, w którym już dwukrotnie doszło do napadu. Prawdopodobieństwo podobnego zdarzenia wynosi obecnie 98 procent. Ustawić blokady w pobliskiej miejscowości  $a$ . Następnie wysłać policjantów w celu uwolnienia kierowcy tira przywiązanego do drzewa w lesie, trzydzieści metrów na północny zachód od szosy. Na wszelki wypadek obstać dziuplę w miejscowości  $b$ , gdzie już kilkakrotnie namierzono dwie z podejrzanych komórek. Tam przestępcy przywiozą towary ukradzione z tira, jeśli uda im się ominąć blokadę.

Prawda, że proste jak wysłanie SMS-a?

Jacek był więc prawdziwym wizjonerem. Ale jako glina był też ostrożny i wszystko robił z rozmysłem. Jeżeli wybrał

telefon u mnie w domu, to uczynił to świadomie. Może się obawiał, że ktoś namierzy naszą rozmowę przez komórkę? Tylko kto prócz policji ma takie możliwości?

A może nie chodziło o przekazanie informacji, że się spóźni? On wcale nie chciał ze mną rozmawiać, ale zostawić na wszelki wypadek nagrany wiadomość. „Dzieje się coś dziwnego” — powiedział. Dlaczego wtajemniczył w sprawę tego komisarza? Przecież miał się tylko dyskretnie rozejrzeć, a nasze kontakty w ogóle utrzymywał w tajemnicy. Czy to nie był błąd? Wspomniał o komisarzu Zbierskim, a potem dodał, że jego telefony poda mi podczas spotkania. W takim razie mógł mi w ogóle o nim powiedzieć podczas spotkania.

Mnóstwo pytań, mnóstwo wątpliwości. Nie mogłem, niestety, posłuchać jego słów jeszcze raz. Może odkryłbym jakąś wskazówkę w tonie głosu, może dostrzegłbym jakąś znaczącą pauzę.

Poszedłem do kuchni, żeby nalać kolejny kubek herbaty i usłyszałem przez ścianę sygnał z telewizora Jadzi. Zaczynało się wieczorne wydanie Panoramy. Szybko wróciłem do pokoju i włączyłem telewizor.

Pokazywano właśnie targowy placyk, na którym strzelano do Jacka. A więc zrobiono z jego zabójstwa wiadomość dnia. Po rutynowych obrazkach — karetka, plama krwi na ziemi, radiowozy z migającymi światłami — nadano komentarz autora materiału. Zastrzelony był policjantem, pracownikiem Centralnego Biura Śledczego — usłyszałem to, co sam wiedziałem. Miał wiele osiągnięć, przyczynił się do ujęcia groźnych bandytów.

Dziennikarz (poznałem go niegdyś) stwierdził, że to prawdopodobnie zemsta świata przestępczego. Padały okrągłe zdania jak zawsze przy tego typu wydarzeniu. Bandyci są coraz bardziej zuchwali, strzelają w biały dzień, w tłumie. Mogli zginąć niewinni ludzie (a Jacek był winny?). Policja jest bezradna. Padło też pytanie: Który to już policjant zabity w ostat-



nim czasie? A potem był jeszcze komentarz znanego polityka — zwolennika przywrócenia kary śmierci — i krótka wypowiedź oficera policji, odwróconego tyłem do kamery. Świecąc łąsającą czaszką powiedział, że dla policji sprawą honoru musi być szybkie wyjaśnienie zabójstwa kolegi.

Znałem to wszystko doskonale. Każdy z bohaterów przedstawienia odegrał swoją rolę, niektórzy powtarzali ją już wielokrotnie.

Pomyślałem, że również ja, niestety, mam tu swoją rolę do odegrania. Tak jak w greckiej tragedii: zostałem wciągnięty do gry, która musi się źle dla mnie skończyć, ale już nie mogę się z niej wycofać. Jestem jak ćma, która leci do ognia. Przystrogi głosu wewnętrznego niczego nie zmieniają. To nie sprawa honoru — dla mnie za duże słowo. To po prostu rachunek do spłacenia. Nie mogę pozwolić, żeby przyjaciel, którego zamordowano z zimną krwią, bo chciał mi pomóc, zginął na darmo. Ale żeby działać, trzeba mieć pieniądze.

Wyciągnąłem elektroniczny notes i zacząłem przeglądać listę B. W moim casio adresy i telefony można zapisywać w dwóch zbiorach. Kiedyś uporządkowałem je według prostego podziału: lista A, czyli związki sentymentalne i lista B — kontakty zawodowe. Osobno uczucia i osobno interesy.

Na liście A znalazły się były albo potencjalne narzeczone, przyjaciele ze szkoły i studiów, ktoś z harcerstwa, ciotki, kuzynki... Drugi zbiór jest znacznie obszerniejszy i na pewno są w nim wielokrotnie większe pieniądze. Prócz szefów i kolegów z kolejnych redakcji, w których pracowałem, bardzo ważnych pań z księgowości (honoraria!), rzeczników prasowych wielu instytucji, jest tu mnóstwo nazwisk, które nie zawsze już kojarzą mi się z jakąś konkretną osobą. W swojej pracy spotykałem rozmaitych ludzi: biznesmenów, policjantów, prokuratorów, a także gangsterów i oszustów. Niektórzy z tych ostatnich już siedzieli, ale większość miała się dobrze.

Znalazłem telefony do kilku osób wymienianych w rozma-

itych rankingach najbogatszych Polaków. I to wcale nie telefony oficjalne, łączone przez sekretarki i asystentki, które bronią dostępu do swych szefów jak dziewiętnastowieczne panienki cnoty. Ja mam zanotowane prywatne komórki.

Wyobraźmy sobie, że dzwonię do takiego pana, obliczanego na dwadzieścia milionów dolarów, i przypominam mu się:

— Pamięta pan naszą rozmowę o wyłudzeniu podatku VAT od fiskusa?

Rozmawialiśmy oczywiście, jak robią to koledzy owego pana, ale jego orientacja w szczegółach wskazywała na praktyczną znajomość przedmiotu. Nie krył się ze swą wiedzą nawet sprawiało mu przyjemność, że może komuś nią zaimponować, a ja, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej, udawałem podziw większy, niż naprawdę odczuwałem. Rozstaliśmy się obydwaj bardzo z siebie zadowoleni. Ale co z tego? Wyobraźmy sobie dalej, że poproszę go o pożyczkę.

— Ile? — zapyta.

— Pięć, dziesięć tysięcy...

— Złotych? — Wielkie zdziwienie. — Tyle to ja wydaję na kolację w większym gronie. Gdyby pan chciał, redaktorze, pożyczyć pół miliona zielonych, możemy się spotkać i porozmawiać. Wezmę od pana, po starej znajomości, korzystny procent. Jakies siedem miesięcznie.

W tym momencie moja bujna wyobraźnia zawiodła i nie umiałem wymyślić dalszego ciągu tej rozmowy. Wróciłem zatem do listy A. Odrzuciłem szybko ciotki i były narzeczone oraz narzeczone potencjalne.

W końcu, mimo późnej pory, zadzwoniłem do Pawła. To mój dawny kolega z akademika, świetny matematyk, z rewelacyjnym podobno doktoratem, z którego nie byłem w stanie zrozumieć nic oprócz przecinków i kropek. Przepowiadano mu świetną karierę, zapraszano do różnych Oksfordów, ale on się uparł pracować na Uniwersytecie Warszawskim. Któregoś dnia zatelefonował, że właśnie urodziły mu się bliźniaki.

— We wszystkim, co robisz, wyrabiasz dwieście procent normy — powiedziałem. — Szczere gratulacje. Ale jak wy się pomieścicie w czwórkę w waszej dwudziestometrowej kawalerce?

— Przeprowadziliśmy się, zaraz podyktuję ci nowy adres. Mamy teraz prawie osiemdziesiąt metrów. Musisz wpaść do nas, jak tylko trochę opanujemy sytuację. Wiesz, tyle rzeczy naraz: nowe mieszkanie, nowe meble, dzieci.

— Też nowe. Bo dzieci chyba jeszcze nie miałeś? Wygrałeś to wszystko w toto-lotka? Z dziećmi jako nagrodą dodatkową.

— Nie, zmieniłem pracę — powiedział z udawanym entuzjazmem — teraz sprzedaję ubezpieczenia.

Ponieważ było to w czasach również mojej finansowej prosperity, kupiłem od Pawła jakieś niedrogie ubezpieczenie z funduszem emerytalnym. Wpłacałem raz do roku coraz wyższą składkę i chyba coś niecoś zebrałem. A więc wycofam teraz te pieniądze — postanowiłem. Jeżeli ma mnie trafić szlag, i to niebawem, to dodatkowa emerytura nie będzie mi już potrzebna.

Paweł odebrał od razu i chyba nawet się ucieszył, słysząc mój głos.

— Nie, nie śpię. Właśnie wróciłem z pracy — oznajmił. — Koniecznie musimy się spotkać, bo już zapominam, jak wyglądają normalni ludzie. Może w drugiej połowie sierpnia?

— Paweł, jest czerwiec — powiedziałem. Jako wybitny matematyk miał prawo do roztargnienia i bujania w obłokach, ale teraz chyba musiał stanąć na twardym gruncie.

— Wiem, Kondziu, ale odkąd zrobili mnie dyrektorem na Polskę centralną nie mam nawet czasu, żeby zobaczyć, jak moje córki rosną. Widuję je tylko, gdy śpią. Podobno wołają „tata” na co drugiego faceta w krawacie i garniturze. Obawiam się, że na ulicy czy w parku bym ich nie poznał ani one mnie.

— Ale ich matkę jeszcze rozpoznajesz?

Paweł zamilkł na chwilę. Zapewne próbował sobie przypomnieć, jak wygląda jego żona.

— Ja tak. Ale nie wiem, czy ona mnie jeszcze pamięta.

— To już nie wiem, czy mam ci gratulować, czy zapłakać nad twym losem?

— Płacz nic nie pomoże — powiedział z filozoficznym spokojem. I dodał trochę mętnie: — To jest droga jednokierunkowa, nie można się wycofać.

Cóż, jeśli ktoś pracuje do dwudziestej trzeciej, trudno od niego wymagać w nocy jasnych myśli.

— Jako ważny dyrektor nie zajmujesz się już chyba pojedynczymi klientami takimi jak ja?

— Ty nie jesteś zwykłym klientem, ale moim kolegą z akademika.

— Bo wiesz, przycisnęło mnie i chciałbym wycofać pieniądze.

— Ale to ci się zupełnie nie opłaca. Masz ubezpieczenie dopiero trzy lata, więc mniej dostaniesz, niż wpłaciłeś. Powinieneś jeszcze poczekać co najmniej z pięć, osiem lat.

Wszystko pamięta, to naprawdę dyrektorski łeb. I jak ładnie mnie nazwał. „Kolega z akademika”. To brzmi prawie tak samo jak „kolega z wojska”. W Polsce koleżeństwo z wojska to niemal związek krwi. Ale czy nocne polowanie na pluskwy w pokojach akademika na Kicu to nie samo co nocny marszobieg z pełnym obciążeniem?

— Ale mnie pieniądze są potrzebne teraz, a nie za pięć lat.

— Ile potrzebujesz?

— Kilka tysięcy.

— Osiem wystarczy?

— To nawet za dużo.

— Na kiedy?

— Jak najszybciej.

— W domu nie mam tyle gotówki, ale spróbuję coś jesz-

cze powyciągać z bankomatów. Tyle że o siódmej rano wyjeżdżam. Czy ty wstajesz tak rano? Mógłbym ci podrzucić pieniądze do domu, ale o wpół do siódmej.

Tego od niego wymagać nie mogłem. Więc umówiliśmy się pod Dworcem Centralnym, obok którego miał przejeżdżać.

Zapukałem jeszcze do Jadzi i pożyczyłem od niej stówę. Do jutra. Oddam z pieniędzy, które pożyczę od Pawła.

## 4

O szóstej trzydzieści, w sobotni rano, stałem przed Dworcem Centralnym. Poranek chłodził moje rozpalone czoło. Spoglądałem na prawie puste Aleje Jerozolimskie, ale duszą tkwiłem jeszcze w sieci. Noc spędziłem bowiem w pobliskiej kawiarence internetowej czynnej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłem najstarszy wśród otaczającej mnie smarkaterii.

Nie wiem, co robili ci wszyscy tłukący przez całą noc w klawisze chłopcy, czy grali w jakieś gry, czy surfowali po sieci, czy wysyłali e-maile albo SMS-y, czy też rozmawiali sobie w jakimś gadu-gadu.

Ja szukałem informacji. Wolę to robić w Internecie niż w czytelnicy albo redakcyjnym archiwum. Polubiłem Internet, ba, zakochałem się w nim. Sieć to moja późna namiętność, wielkie odkrycie, nieustająca fascynacja. To moja lolitka. Nie zawsze rozumiem jej język i zachowanie, zapewne oczywiste dla nastolatków. Widzę jej niedojrzałość, która troszkę irytuje, ale też niezwykle pociąga starszego pana. Mógłbym pisać o niej poematy. Ach, ta jej świeżość, ta jej nonszalancja, ten uroczy brak jakichkolwiek manier! Jakaż to pokusa! Internet wciąga jak prawdziwa sieć pajęczna, która może omotać, uwięzić wędrowca.

Dopiero nad ranem wyrwałem się — rozgorączkowany — z sieci. Plon nocnego polowania okazał się obfity. Wytropiłem kilkanaście artykułów o gangach działających na połu-

dniu Mazowsza, ale w żadnym nie trafiłem nawet na wzmiankę o kobiecie szefie, nie mówiąc już o konkretnej sympatycznej blondynce w słomkowym kapeluszu, tak czułej na punkcie swego imienia, Klarze Z.

Dwa najlepsze artykuły napisała ze znajomością rzeczy niejaka Dorota Szopa. Ukazały się w lokalnej gazecie w mieście, w którym działa — według Jacka — Klara Zameczek, a ja spędziłem anielskie dzieciństwo i moją chmurną młodość. Co to za miasto — dopóki będzie można, a mam nadzieję, że do końca — nie zdradzę. Dla ułatwienia niech więc będzie Miasto. Dużą literą.

Wpisałem Dorotę Szopę do internetowej wyszukiwarki i dowiedziałem się, że jest również autorką programu telewizyjnego nadawanego przez lokalną stację. A więc gwiazda miejscowej żurnalistyki. Zdawało mi się, że znam jej nazwisko, ale nie potrafiłem dopasować go do żadnej osoby.

Już pod koniec poszukiwań chyba przysnąłem na sekundę przed monitorem. I obudziłem się z gotową wiedzą. Wszystko mi się przypomniało, ułożyło. Dorota to przecież Kasia, a Szopa to nazwisko jej męża. Panieńskiego nie pamiętam. Byliśmy razem w liceum, w równoległych klasach, w tym samym roku zdawaliśmy maturę. Ona studiowała w Krakowie i potem wróciła do rodzinnego miasta, ja w Warszawie i tu zostałem.

Nie pamiętam dlaczego, ale zawsze nazywaliśmy ją Kasią. W liceum była niezwykle chuda, nigdy nie zwróciłem na nią uwagi. Potem słyszałem o niej wiele dobrego. Podobno wciąż robi mi publicity w mieście naszego sielskiego dzieciństwa. Głośny w świecie filozof, ładna aktorka, grająca jedną z głównych ról w najpopularniejszym serialu telewizyjnym, i ja, stołeczny dziennikarz, to — według Kasi — najwybitniejsze dzieci (dwaj synowie i córka) Miasta. Te, które poszły w świat i zrobiły kariery. I rozsławiają Miasto. Wciąż o nas wspomina na tak zwanych łamach i na tak zwanych falach. Oczywiście lokalnych.

Jestem na dworcu, właściwie za dwie godziny mogę być w Mieście. Pogadam sobie z Kasią, a przy okazji obejrzę, jak się to chucherko rozwinęło. Jeżeli jej nie zastanę, sam spróbuję powęszyć. Co prawda, trochę się zmęczyłem w czasie nocnych poszukiwań w Internecie, ale prześpię się w pociągu i będę do rzeczy.

„Przydałby się jakiś koniaczek” — odezwał się przymilnie głos wewnętrzny.

„A idźże, szatanie” — odpowiedziałem i rozmarzyłem się, bo wizja bombiastego kieliszka z odrobiną courvoisiera na dnie stanęła mi jak żywa przed oczami. Ba, nie tylko przed oczami. Odczułem wręcz smak i zapach tego trunku nad trunki.

Te słodkie, a raczej wytrawne marzenia przerwał mi Paweł. Wychylał się z czarnego forda mondeo i wołał mnie od chwili. Wsiadłem i odebrałem plik banknotów.

— Tylko sześć, mam za małe limity na karty — zaczął się tłumaczyć — muszę je pozmienić.

— Paweł, to jest i tak za dużo... Oddam ci, jak tylko będę...

— Oddasz, jak będziesz..., oczywiście. Więcej zarabiam, niż mogę wydać, więc się nie przejmuj. Ja robię tylko dwie rzeczy: pracuję i niekiedy śpię. Więc po co mi pieniądze.

— A żona, dzieci? Może oni mogliby ci pomóc wydawać?

— Trochę to robią. Ale dzieci jeszcze małe, to i trudno za dużo od nich wymagać, a żona trafiła mi się jakaś oszczędna. Lepiej powiedz w telegraficznym skrócie, co z tobą? Bo zaraz muszę jechać: o dziewiątej zaczynam szkolenie naszych agentów w ośrodku w Górach Świętokrzyskich, a jeszcze w nim nie byłem i muszę znaleźć...

— To świetnie, pojedę z tobą — podjąłem natychmiast decyzję. — Wsiadę w Mieście, to po drodze, a w czasie podróży sobie pogadamy. I dzięki temu zwolnię termin w drugiej połowie sierpnia. Na pewno ci się przyda.



Nie zareagował na moje okrucieństwo, tylko spokojnie zapytał:

- Nie masz żadnego bagażu?
- Nie planowałem wyjazdu.

Wciąż niczego nie planowałem. Zupełnie inaczej niż pan dyrektor od ubezpieczeń na Polskę centralną który miał już zaplanowaną każdą godzinę do końca sierpnia. Zdawałem się na przypadek, na intuicję. I właśnie teraz intuicja mi podpowiedziała, że dobrze wybrałem i że w Mieście odnajdę Klarę Z., i że mi się uda wyjść bez szwanku z wszelkich opresji. Podobno w takich przebłyskach intuicji u ludzi znajdujących się w ostatecznej sytuacji, kiedy rozstrzyga się ich los, zawsze ujawnia się prawda. Tyle tylko, że wspominają je wyłącznie ci, którym przepowiednia się sprawdziła. Inni — milczą jak grób, w którym się znajdują.

## 5

Dorota czyli Kasia nadstawiła mi policzki do wyciąłowania. Wstawiła różę, którą jej wręczyłem, do wazonu w kształcie wysokiej przezroczystej tulejki. Zrobiła kawę. A gdy wreszcie usiedliśmy, zapytała:

— Co tam w stolicy? Podobno prezydent mocno się odchudził?

— Prezydenta, tak jak ty, widuję w telewizji. Ale rzeczywiście trzyma linię i ślicznie opalony. Czytałem nawet w jakiejś gazecie rozważania, dla kogo to prezydent tak się odchudza. Czy aby na pewno dla Polski?

— Pewnie dla Joli.

— No tak, dla Joli też. Ale chodziło, zdaje się, o to, że kończy się już druga i ostatnia kadencja prezydenta i marzy mu się jakieś poważne stanowisko międzynarodowe. Więc czy przypadkiem nie odchudza się po to, żeby ładniej pokazać się światu.

— A co sądzisz o słynnej diecie prezydenta?

— Kasiu, Kasienko droga, jesteś smukła i młoda, po prostu śliczna dziewczyna, żadne diety nie są ci potrzebne.

Prawie pokraśniała z zadowolenia. Wprawiłem ją w tak dobry nastrój, że zdobyła się nawet na wyznanie:

— Jesteśmy chyba w tym samym wieku.

— Więc ja też jestem młody i śliczny. Tyle że mniej dbam o siebie. Po prostu brak mi kobiecej opieki.

— Czyli jesteś do wzięcia?

— Żadna mnie nie chce — powiedziałem z autentycznym żalem.

Gdy tak sobie gwarzyliśmy, Dorota czyli Kasia przyglądała mi się bacznie.

— Coś mizernie wyglądasz. Oczy podkrążone, cera blada...

— Nie spałem dziś w nocy, a poza tym jestem na diecie, nie piję. Ale w ogóle to jestem w świetnej formie.

Już wiedziałem, że jest sama, bo mąż, pan Szopa, gdzieś się zapodział (w szczegóły nie wchodziliśmy), zostawiając jej jedynie nazwisko, które sobie wyrobiła (choć mężowskie) w pisaniu i nie chciała teraz zaczynać pod innym. Bo to byłoby prawie jak debiut. Zapytała o moją żonę, też mocno była lecz szybko się wycofała, gdy zauważyła, że to temat tabu. O żonie więc nic nie będzie. To temat tabu, temat pomyłka.

Piliśmy już drugą kawę, ta była nawet z wlewką („Nie za wcześnie na odrobinę koniaku? Chyba nie. Nie, na pewno nie. Jest właściwa pora. Najwłaściwsza”). Dieta bezalkoholowa — dieta, ale w moim wieku trzeba już sobie pozwolić na realizację marzeń. Skoro więc rankiem zamarzył mi się koniaczek, a tu nadarzyła się okazja, warto było skorzystać.

Kasia, którą zdaje się, obudziłem, dzwoniąc z samochodu Pawła przed ósmą gdy już dojeżdżaliśmy do Miasta (Paweł jedynie stary most na Pilicy przejechał poniżej setki, a poza tym gnał z taką szybkością jakby na horyzoncie widział posiadę generalnego dyrektora od ubezpieczeń na całą Polskę), i zapowiadając swoją wizytę, zachowywała się w stosunku do mnie tak, jak ja zachowuję się w stosunku do Jadzi. Czekwała cierpliwie, niczym nie zdradzając swojej ciekawości, aż wyjawię powód odwiedzin. A ja kluczyłem, uprawiałem trele-morele, nie chciało mi się przejść do rzeczy. Kasia bardzo mi się podobała. Z chucherka wyrosła na piękną kobietę, miała już troszkę ciątka, ale właśnie tyle, ile trzeba, była zgrabna, świeża, z jakimś światełkiem w oku. Zdażyła się umalować, wskoczyć w dzinsy, które ładnie podkreślały kształt nóg i pupy.

„Ten Szopa musiał być ślepcem, że nie dostrzegł tych wspa-  
niałości” — pomyślałem.

Kasia, jak to kobieta, natychmiast zauważyła mój podziw, więc to wprawiło ją w świetny humor, jeszcze dodało błysku w spojrzeniu, co z kolei mnie uwodziło niezmiernie... I tak napędzaliśmy się wzajemnie, co mogło nas zaprowadzić na prawdziwe wyżyny.

— No to jeszcze po maleńkim koniaku, jeśli można — powiedziałem, żeby otrząsnąć się z transu — i trzeba przejść do konkretów.

— Mów, mów, bo umieram z ciekawości, co słynnego warszawskiego dziennikarza przywiódło w moje progi.

Jak zacząć? Nie chciałem opowiadać o Klarze. Przynajmniej nie od razu. Oczywiście pochwaliłem szczerze obydwie artykuły Kasi czy raczej Doroty Szopy, które czytałem. Powiedziałem, że czuję w nich prawdziwą znajomość rzeczy i że wydaje mi się, że Kasia wie znacznie więcej, niż napisała. A ja — troszkę zacząłem konfabulować — trafiłem w pewnych warszawskich sprawach, które sobie spokojnie obserwuję (bo niedługo coś zapewne się z nich wykluje większego), na jakieś związki z Miastem. Ponieważ więc właśnie mój kolega jechał w tę stronę, to przyszło mi do głowy, że może wpadnę i pogadam, może czegoś się dowiem, co pomoże mi w rozwiązaniu łamigłówki. Poza tym chciałem oczywiście ją zobaczyć i w ogóle bardzo jestem zadowolony z naszego spotkania.

Kasia obserwowała mnie z lekkim uśmiechem i widziałem doskonale, że nie wierzy w żadne moje słowo. Gdy już miałem w celu ratowania sytuacji poprosić o trzeci kieliszek koniaku, licząc na dobroczynny wpływ alkoholu na moją inwencję, przerwała mi zdecydowanie:

— Konrad, proponuję uczciwą umowę. Dzielimy się tym, co wiemy, wspólnie badamy sprawę, którą chcesz wyjaśnić i wspólnie o niej piszemy. Obowiązuje absolutna szczerłość. Mamy być prawdziwymi partnerami. Oczywiście obydwójce

podpiszemy artykuł albo cykl artykułów. A ty znajdziesz dla niego miejsce w którymś z warszawskich pism.

— Co wolisz, „Newsweeka”, „Politykę” czy „Wprost”?  
— zapytałem, a ona spokojnie odpowiedziała:

— To, co wspólnie napiszemy, weźmie z pocałowaniem ręki każdy z tych tygodników. Urządzimy przetarg: sprzedamy temu, kto da więcej.

— Kasiu, ty mi się coraz bardziej podobasz — powiedziałem z podziwem.

— Więc co, umowa stoi?

Pomyślałem chwilę. Czułem się nie w porządku, bo nie powiedziałem Kasi, że w zasadzie wycofałem się z zawodu. A poza tym czy mam prawo wciągać ją w sprawę, w której została porwana szefowa groźnego gangu i zabity policjant, i którą rozpocząłem z powodu przelotnego zainteresowania tajemniczą blondynką w słomkowym kapeluszu?

— Kasiu — rozpocząłem ostrożnie — to, co robię w tej chwili, jest szalenie niebezpieczne. Wczoraj został zastrzelony policjant, mój bardzo dobry kolega, którego zaledwie kilka godzin wcześniej poprosiłem o sprawdzenie paru faktów. I wszystko wskazuje na to, że zginął z powodu zainteresowania tą właśnie sprawą.

Popatrzyła na mnie, jakby wcale mi nie uwierzyła i nic nie powiedziała.

— Ja wcale nie jestem bohaterem... Boję się śmierci, nie znoszę przemocy. Do tej pory pisałem o przekrętach. Małych, średnich i całkiem dużych. Robili je ludzie, którzy nie byli aniołami, ale nie byli to gangsterzy.

— Nie?

— Oczywiście, mieli jakieś powiązania, może nawet raz czy drugi przycisnęli kogoś trochę za mocno... i zrobili mu krzywdę.

— Konrad, ja czytam wszystko, co piszesz. I widzę, jak skaczesz sobie z jednego tematu na drugi, bardzo zręcznie,

przyznaję, bo nigdy nawet nie ubłocisz sobie bucików. Jesteś bezpieczny i czyściutki. To dlatego, że ty wybierasz suche miejsca, twarde wysepki. Ale obok i pod nimi jest bagno. A szanowni bohaterowie twoich reportaży często tkwią po uszy w błocie.

Takiej Kasi nie znałem. Ale przecież ja w ogóle jej nie znałem. Coś tam słyszałem o niej w szkole, i to wszystko. Zawsze była poza moim zainteresowaniem.

„A to baba” — wtrącił się mój głos wewnętrzny. Chyba wreszcie się obudził. Czy on reaguje na alkohol? Jak tylko wypiję, choćby nawet kroplę, on już jest i już gada swoje.

Nie umiałem jej rozgryźć. Jaka ta Kasia jest naprawdę? To gaworzy coś o diecie prezydenta i zachowuje się jak rasowa czytelniczka kobiecych magazynów, to za chwilę wali mi prosto w oczy bolesne prawdy. I nagle ze słodkiego kobieciątka, w którym rozpoznaję grzeczną dziewczynkę, koleżankę z liceum, zmienia się w drapieżnicę z pazurami. Jednak ona ma rację. Jako dziennikarz tylko się kręciłem (bardzo umiejętnie, przyznaję) po tym brzydkim świątku tak zwanej III Rzeczypospolitej. Nieraz porównywałem swą pracę do roboty asenizatora. Bo ja fedrowałem ostrożnie w kupie — wybaczcie słowo — gówna, wyciągając jakieś odpadki i pokazywałem je czytelnikom. Przedtem oczywiście czyściłem je z tego, co najbardziej śmierdziało. Dlaczego nie zapuszczałem się głębiej? Czy z powodu zbyt subtelnego powonienia, czy też z obawy, że smród mnie zabije? Czy może dlatego, że właściwie nikt nie chciał ode mnie innych tekstów?

Popatrzyłem na kobietę, która siedziała niewinnie naprzeciw mnie i znów wyglądała jak wcielenie łagodności.

— Widzisz, Kasiu, nie mam czym się z tobą podzielić, bo nic nie wiem. Rozmawiałem przez kwadrans z dziewczyną która nazywa się Klara Zameczek i gdy na chwilę wyszedłem, ona znikła. Być może ją porwano. A potem zastrzelono mojego przyjaciela z Centralnego Biura Śledczego, którego popro-

siłem o informację. Więc żaden ze mnie partner dla ciebie. I pewnie najlepsze, co możemy teraz zrobić, to wypić do końca tego stocka, a potem, gdy już odzyskam swoją radość życia, ugotujemy sobie obiadek, może nawet zrobię grecką sałatkę i skoczę po jakąś następną butelczynę. Jest sobota, zaczyna się weekend, za oknem świeci słońce, dlaczego mamy zajmować się brudami? Powspominajmy lepiej naszą budę, kolegów, nauczycieli. Wznieśmy toast za nasze sielskie-anielskie dzieciństwo i drugi za piękną choć durną młodość. Po prostu cieszymy się chwilą.

— Teraz jesteś chyba szczerzy — nie zabrzmiało to jak komplement. — Więc dobrze, powiem ci, co wiem o Klarze Zameczek. Co z tą wiedzą zrobisz, to już twoja sprawa. Moja propozycja współpracy jest nadal aktualna.

I rozpoczęła długą opowieść. Piliśmy włoską brandy, bardzo trzeźwi, mimo kolejnych kieliszków, bo temat działał jak zimny tusz, a Kasia mówiła.

Więc to było tak. W Mieście od kilkunastu lat rządzi grupa Starucha zwanego też ze względu na wielki kałdun Brzuchatym albo ciepło Brzusiem. Dawny cinkciarz, za PRL-u podobno współpracował z ubecją której donosił na kolegów, chroniąc w ten sposób własną skórę. W latach dziewięćdziesiątych rozwinął skrzydła i stopniowo podporządkował sobie niemal wszystkich gangsterów. Zaczął od północnych dzielnic Miasta, raczej biednych, a potem wkroczył do śródmieścia. Tych, którzy się stawiali, po prostu likwidował, choć nigdy mu tego nie udowodniono. Zresztą nie udowodniono mu nigdy niczego. Zajmował się tym, co było w danej chwili modne: ściągał haracze, kradł samochody, obrabiał hurtownie, kontrolował narkotykowych dealerów. Szczególnie lubił agencje towarzyskie, które — wszystkie w Mieście — podporządkował sobie całkowicie. Żadnej oryginalności. Robił to, co wszyscy gangsterzy w Polsce. Tyle że był wyjątkowo bezwzględny i stale

rósł w potęgę, powiększał obszar wpływów. Ostatnio zaczął wchodzić w duże biznesy, na pozór legalne. A to kupił od Miasta za śmiesznie małe pieniądze teren, który zaraz sprzedawał z kilkunastokrotnym przebicciem pod budowę supermarketu, a to wybudował hotel, bardzo Miastu potrzebny, tyle tylko że nie zapłacił wykonawcom, a to założył kilka komisów samochodowych, do których klienci wstawili kilkadziesiąt dość nowych jeszcze i drogich samochodów, bo tylko takie w nich przyjmowano. Ale komisje którejs nocy znikły, jak gdyby nigdy nie istniały, a wraz z nimi samochody. I oczywiście właścicielom aut nigdy nie zapłacono. Jeśli nawet rozpoczęto śledztwo, jak w przypadku hotelu i komisów samochodowych, to odnajdywano długi łańcuch firm, przeważnie istniejących tylko na papierze. I w żadnej nie było oficjalnie Brzuchatego. Gdy zaczął prowadzić te swoje niby-legalne interesy, na drugie miejsce w gangu wysunął się człowiek zwany Profesorem. Wiadomo o nim jeszcze mniej aniżeli o szefie bandy. Krąży legenda, że niegdyś zapowiadał się na wybitnego szachistę, ale w latach osiemdziesiątych złamano mu kręgosłup: za paszport, umożliwiający wyjazdy na zagraniczne zawody, miał szpiegować kręgi polskiej emigracji. Donosił na tych, którzy gościli go podczas wyjazdów, fetowali jego sukcesy i okazywali mu bezinteresowną przyjaźń. Podobno zna języki, skończył jakieś studia, i wciąż ma znakomitą głowę. On jest od strategii, a Staruch był od roboty.

Słuchałem opowieści Kasi zafascynowany. Skąd ona to wszystko wie?

— Skąd ja to wiem? — zapytała, jakby czytała w moich myślach. — Widzisz, to jest moje miasto. O wiele bardziej niż było kiedykolwiek twoje. Znam tu mnóstwo ludzi. Bardzo ważne, że jestem stąd. Że zawsze tu mieszkalam i nadal mieszkam. I również ważne, że jestem kobietą. Bandyci też mają żony i matki. One żyją w ciągłym strachu o swoich męż-



czynn, bo życie gangstera jest krótkie. To są moje koleżanki z podwórka, z podstawówki albo koleżanki koleżanek. A ja umiem słuchać zwierzeń, pocieszać, współczuć. — Po chwili dodała: — To jest praca dla kobiety, takie wolniutkie dzierganie. Wymaga cierpliwości, zbierania drobnych puzzli i potem dopasowywania do innych... I jeszcze jedno ci powiem, czego się już dawno nauczyłam.

Umilkła, a ja czekałem naprawdę zaciekawiony.

— Tu nie wolno nastawiać się na dziennikarski sukces... Taki w warszawskim wydaniu. — Ujęła to możliwie delikatnie, ale przecież musiała myśleć o mnie.

— Nie oszczędzaj mojej żurnalistycznej pychy...

— Naprawdę nie chodzi mi o twoje artykuły. To może znów jest sprawa różnicy między męskim a kobiecym podejściem...

— No tak, mamy inne mózgi...

— Przestań. Wam, mężczyznom, często ambicja każe od razu iść na całość. Chcecie natychmiast sukcesu, rozgłosu... Jeśli jednak mieszkasz w Mieście i chcesz nadal w nim mieszkać i uprawiać swój zawód, ba, jeśli nie chcesz zniknąć któregoś dnia bez śladu, jak wielu wrogów Starucha, to musisz często się przyciąć, przeczekać, coś przemilczeć, czegoś nie ujawnić. Ja zawsze piszę mniej, niż wiem. O wiele mniej. Moi informatorzy muszą być pewni, że stawiam wyżej ich bezpieczeństwo niż dziennikarską frajdę, że oto ogłoszę światu jakąś nadzwyczajną prawdę.

— Ale czy wolno nam ukrywać to, czego się dowiedzieliśmy? Czy w ten sposób nie wprowadzamy...

— Autocenzury? To chciałeś powiedzieć?

Rozmowa przybrała poważny ton. Przyjechałem do Kasi, bo liczyłem, że wskaże mi jakiś trop, który zawiedzie mnie do Klary Zameczek. Blondynki, która mi się spodobała. I tyle. A tu przechodziłem szybki kurs etyki dziennikarza śledczego. „Nie pozostaje mi więc nic innego — pomyślałem — niż wygłosić swoje ulubione krótkie przemówienie, że choć na

imię dano mi Konrad, to do niczego się nie poczuwam i nie jestem bohaterem romantycznym ani nawet"...

— Czy ty mnie słuchasz?

— Oczywiście. Słucham bardzo uważnie. — Szybko zdecydowałem, że przy innej okazji wygłoszę programowe przemówienie, a teraz wracajmy do konkretów.

— Powiedziałaś o Brzuchatym „był”.

— Tak, bo Brzusio kilka tygodni temu wyleciał z okna apartamentu na najwyższym piętrze tego nowego hotelu, który wybudował. Miał tam swoje stałe miejsce spotkań...

— Z kobietami?

— Może wcześniej bywały tam również kobiety, ale na pewno nie ostatnio. Przynajmniej od czasu, gdy poznał Klarę. Tak, tę twoją Klarę Zameczek. Staruch po prostu oszalał na jej punkcie. Natychmiast postanowił się rozwieść ze swoją żoną, a gdy ta zaczęła się stawiać, któregoś dnia jej samochód wyleciał w powietrze. Więc kobieta, nie sprawdzając, czy było to tylko ostrzeżenie, czy też miała zginąć, a uratowało ją to, że zasiedziała się u pewnej znajomej, przed którą wylewała żale, jeszcze tego dnia spakowała się i najszybciej, jak to było możliwe, poleciała do swojej siostry, do Francji.

— A co na to Brzuchaty?

— Tego dnia nie było go w Mieście, bo zazwyczaj, gdy coś się dzieje, on jest daleko. A potem, gdy dowiedział się o wyjeździe żony, był nawet zadowolony. Zdaje się Profesor go przekonał, że to najlepsze rozwiązanie. Bo Staruch wcześniej przepisał sporą część swojego majątku, jakieś domy, firmy, farmy, na żonę... Ale miał oczywiście pełnomocnictwa do zarządzania nimi.

— Kasiu, czy ty jesteś niewidzialnym człowiekiem? Zaglądasz sobie, kiedy chcesz, do apartamentu szefa gangu, wiesz, co robi jego żona w chwili, gdy wybucha bomba w jej samochodzie...

— To akurat wiem dokładnie. Gdy wybuchła bomba, ona

siedziała na tej kanapie, na której siedzisz teraz ty. Tyle że trochę bliżej okna. No i piłyśmy co innego. Campari, jej ulubiony trunk, który ze sobą przyniosła.

Milczałem z rozdziawioną — oczywiście w metaforycznym sensie — gębą.

— W kilku mieszkaniach moich sąsiadów wyleciały szyby, ale u mnie nie.

— Kasiu, jesteś niesamowita. — Tyle tylko byłem zdolny wykrztusić.

— Gdy zobaczyłyśmy, co się stało, pomogłam jej się pozbierać i potem, jeszcze tego samego dnia, odwiozłam ją do Warszawy, na Okęcie. Niemal musiałam ją wsadzić do samolotu, bo wciąż trzęsła się jak galareta.

— I co dalej?

— Dwa dni spędziłam na policji. Nie, nie rób takiej miny, nie aresztowali mnie, na noc wróciłam do domu, ale maglowali zdrowo. Na szczęście ja tu znam również przynajmniej połowę policji i prawie wszystkich prokuratorów.

— To właściwie kto rządzi Miastem? Gang Starucha czy ty?

Nie zareagowała na to pytanie i mówiła dalej.

— Po wyjeździe żony Klara wprowadziła się do willi Starucha. Mówiło się, że ma na niego ogromny wpływ i często to ona decyduje w gangu. To oczywiście nie podobało się Profesorowi, bo Klara zaczęła go spychać w cień.

— I któregoś dnia Brzusio wyfrunął sobie przez okno...

— Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków. Kilka dni wcześniej pojawiła się w Mieście żona Starucha. Podobno pokręciła się trochę i znów wyjechała. Jak wiesz, ona formalnie była właścicielką prawie całego majątku, ale zbyt się bała Starucha, żeby upominać się o cokolwiek. Wraz ze śmiercią męża wygasły jego pełnomocnictwa. Słyszałam, że jacyś adwokaci kręcą się już wokół tej sprawy, bo wdowa chce jak najszybciej przejąć kontrolę nad czym się tylko da. A wiesz,

jak jest w powieściach kryminalnych? Mordercą jest ten, kto ma motyw.

— Czyli wdowa...

— Tyle że w tym samym dniu, w którym Staruch spadał, i to dosłownie, ze swej pozycji króla podziemia, dokonano jeszcze kilku zamachów. Strzelano do Profesora, ale ten wywinął się bez jednego zadraśnięcia. Niedawno go widziałam, jest w dobrej formie. Zginęło dwóch mniej chyba ważnych członków gangu. No i znikła... — Kasia zrobiła efektowną pauzę — Klara Zameczek.

— Ta dziewczyna to akurat potrafi robić znakomicie — powiedziałem z przekonaniem.

— Są tacy, którzy twierdzili, że i ona zginęła, ale jej ciała nigdy nie znaleziono. Niedawno podobno Klarę widziano żywą. Twoje spotkanie z nią potwierdza więc wersję, że ona żyje i tylko się ukryła, żeby przeczekać najgorszą burzę.

— Może wdowa stała za wszystkimi tymi zamachami? Chciała się pozbyć męża i Profesora, który mógłby jej przeszkadzać w przejęciu majątku, no a na Klarze chciała się zemścić.

— Może, ale jeden z moich informatorów, bardzo łebski chłopak, twierdzi, że to Profesor pociągał za sznurki. Być może w porozumieniu z wdową.

— Przecież strzelano również do Profesora.

— Ale w taki sposób, że kula nawet go nie drasnęła.

— Więc jaka była rola Klary Zameczek w tym całym zamieszaniu?

— Nie wiem. Nie znam jej i trudno mi sobie wyobrazić jej zachowanie... Próbowałam wypytywać o Klarę jej bliską przyjaciółkę, Joasię. Kiedyś to były prawdziwe papużki-nierozłączki. Dwie śliczne blondynki. Niektórzy uważali je za siostry, tak były sobie bliskie. Ale przyjaciółki chyba się poróżniły od czasu, gdy Klara została kochanką Starucha. Ostatnio, gdy znów próbowałam się z nią spotkać, okazało się, że znikła również Joasia. Może wyjechała na urlop? Chociaż

jako nauczycielka powinna w czerwcu wystawiać uczniom końcowe oceny.

— Nie możemy zajmować się każdą znikającą dziewczyną — powiedziałem. — Jak dla mnie wystarczy zamieszanie wokół Klary.

— Jest jeszcze jedna wersja zdarzeń, którą najczęściej przedstawia policja. Walka gangów.

— Znam to dobrze: porachunki świata przestępczego. Tak zawsze twierdzi policja, gdy nie wie, co się zdarzyło naprawdę.

— W Mieście rzeczywiście pojawiła się dwa lata temu grupa wyjątkowo brutalnych bandytów, zwana Bandą Młodych. Robią wrażenie psychopatów, którzy nie dbają o życie cudze ani własne. Brzuchaty zabijał bez wahania, gdy ktoś mu przeszkadzał. Ci, jak się wydaje, zabijają dla przyjemności. Także obcinają ofiarom członki albo podryniają gardła. Niedawno porwali dla okupu właściciela hurtowni, którego odnaleziono bez rąk, nóg i głowy, chociaż rodzina zapłaciła tyle, ile żądali. Potem, co prawda, odnalazła się również głowa hurtownika, ale w zupełnie innym miejscu. Natomiast ręce i nogi zaginęły na dobre. Ci, co robią takie rzeczy, to już nowe pokolenie, którego zupełnie nie rozumiem.

— A rozumiesz ludzi pokroju Starucha?

— Z nim samym rozmawiałam kilka razy. Prawie przyjaźnię się z jego żoną. Poznałam też Profesora. I jeszcze kilku facetów z gangu. Wiesz, gdy się siedzi z nimi w knajpie przy kawce, to wydają się zupełnie normalnymi ludźmi. Jeden jest diablo inteligentny, drugi wygląda na durnia, jeden ma poczucie humoru, a drugi to sztywniak. Jeden chętnie coś opowie, bo przecież wie, że ja też wiem, kim on jest i co robi, a drugi mimo wszystko milczy. Ten błaznuje, a tamten próbuje ze mną flirtować. Taki zwyczajny przekrój społeczny.

— Może powinnaś napisać polskiego *Ojca chrzestnego!*

— Nie ironizuj, bo ja naprawdę znam ich tak dobrze, że mogłabym napisać romans ze sfer gangsterskich.

Po barwnej opowieści Kasi wierzyłem, że naprawdę by mogła. Jednak przyjechałem do niej z powodu innego roman-su-jeszcze-nie-romansu, czyli zauroczenia pewną blondynką w słomkowym kapeluszu, która przysiadła się do mnie, gdy jako człek wolny popijałem sobie piwo. I niestety, utraciłem sporo ze swojej wolności, wciągnięty w mętłą historię kryminalną z trupami i zniknięciami. Co dalej? Dorota czyli Kasia też mnie kusiła swą dojrzałą a zarazem świeżą kobiecością. Zwłaszcza że choć spędziliśmy razem już kilka godzin, wydawała mi się wciąż tajemniczą wyspą, a nawet, im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej — żeby tak powiedzieć — tajemniczała. Nie mogłem rozgryźć, co ukrywa się w zielonej toni jej oczu, jaką grę prowadzi ze mną, przybyszem z Warszawy. Chętnie dałbym się wciągnąć do gry, pozwolił się poprowadzić, nawet uwieść. Tak, dobrze mnie zrozumieliście. Niech mnie uwiedzie ta kobieta. Jestem gotów i nic a nic nie przeszkadza mi moja męska duma. Ale czy jej o to chodzi? Chwilami wydawało mi się, że tak, jednak zaraz mocno w to wątpiłem. „Ona mnie chce uwieść — myślałem — ale tylko zawodowo. Chce wykorzystać moje kontakty warszawskie, które wyobraża sobie w skali 10:1, a ja przecież nic prawie nie mogę, jestem raczej out”. Poza tym nie chce mi się. Im dłużej grzebałem się w tych wszystkich brudach, tym bardziej mi się nie chciało. I nie chce mi się nadal. Co mnie obchodzą gangsterzy i nieuczciwi biznesmeni, skorumpowani politycy i nieudolni policjanci. Zainteresowała mnie blondynka i tyle. Wkurzyło morderstwo przyjaciela — to drugie i tyle, ale na tym koniec.

Odnajdę blondynkę, zdejmę jej wielki kapelusz i równie ogromne okulary, a potem popatrzę w oczy i powiem „bye, bye”, po prostu „żegnaj”. Wytropię chłopaka, który zastrzelił Jacka i wskażę go komisarzowi Zbierskiemu. To wszystko. A potem wrócę do ogródka na Chmielnej i poproszę mojego anioła o duże piwo.

„Za dużo wypiełeś i bredzisz — odezwał się głos wewnętrzny. — To tylko tak ci się wydaje, że możesz pić i pić, i wciąż pozostajesz trzeźwy. Jednak na razie zostawmy to. Popytaj ją jeszcze o Klarę. Przecież po to przyjechaliśmy”.

Więc miałem to zrobić, ale w tej chwili odezwała się moja komórka. Dzwonił Paweł. Już wraca i za godzinę będzie przejeżdżał przez Miasto, więc gdybym chciał, może mnie zabrać do Warszawy. „To chyba dobry pomysł” — pomyślałem.

Kasia postanowiła, że nie wypuści mnie głodnego. Szybko coś upitrasiała, a ja zrobiłem grecką sałatkę. Przyrzekliśmy sobie stały kontakt.

Gdy byliśmy z Pawłem w drodze (znów ze średnią stu czterdziestu kilometrów na godzinę), zadzwoniła Kasia.

— Nie wspomniałam ci w tym zamieszaniu o posagu Klary — powiedziała.

— A to co takiego?

— Nie wiem. Słyszałam, że podobno Staruch zostawił Klarze jakiś posąg. I teraz wszyscy szukają naprawdę nie Klary, ale tego posagu. To chyba musi być coś bardzo cennego.

## 6

Zastukałem do Jadzi, żeby oddać jej pożyczoną wczoraj stówę.

— Szuka cię policja — oznajmiła na przywitanie.

— Tak? Skąd wiesz?

— Byli tu. Najpierw dzwonili do ciebie, a potem przyszli do mnie. Pytali, czy nie wiem, gdzie jesteś. Interesowało ich, czy jesteś w Warszawie...

— I co? Jako porządna obywatelka...

— Jako porządna obywatelka oczywiście powiedziałam im, że nic o tobie nie wiem. My się prawie nie znamy, a ty mi nie mówisz, gdzie chodzisz, ani gdzie i kiedy wyjeżdżasz.

— A więc postanowiłaś kryć moje zbrodnie. Jestem wielce zobowiązany. Ale niepotrzebnie. Ja nic złego nie zrobiłem.

— Kto cię tam wie — powiedziała Jadzia, a ja zrozumiałem, że naprawdę ma mnie za wielkiego przestępcę. Co gorsza, gotowa jest pomóc w ukryciu mych zbrodni przed wymiarem sprawiedliwości, a może nawet dać się razem ze mną zesłać na galery.

— Czy ty wiesz, co grozi za pomoc poszukiwanemu przez prawo?

— Mniej więcej.

— Rozumiem, że w razie czego mogę na ciebie liczyć? Gdyby coś, to zapewnisz mi alibi? Na przykład powiesz, że spędziliśmy razem noc.



Jadzia splotnęła, wbiła oczy w podłogę, ale szybko się opamiętała i cicho powiedziała:

— Sąsiedztwo zobowiązuje.

„Nie ma jak dobra sąsiadka” — pomyślałem, ale głośno tego nie powiedziałem.

A więc nasza policja, dość powszechnie uważana za niedołężną, tym razem stanęła na wysokości zadania. Znaleźli mnie szybko. Bez wątplenia przyszli w związku z Jackiem. No ale łatwo było mnie namierzyć, przecież nagrałem się w poczcie głosowej mego przyjaciela. Słusznie Jacek przestrzegał przed komórkami.

Wróciłem do siebie i zacząłem się zastanawiać, co powinienem teraz zrobić.

„Dorotę czyli Kasię maglowali dwa dni tylko z tego powodu, że pod jej oknem wysadzono samochód. I to pusty, bez właścicielki, która popijała sobie w tym czasie campari — odezwał się mój głos wewnętrzny. — A ty uciekłeś z miejsca zbrodni, gdzie byłeś umówiony z ofiarą. Zamkną cię, jak amen w pacierzu”.

„Uciekłem za twoją radą matki. A w ogóle mógłbyś mi raz dodać otuchy, a nie pograżać”...

Nasz słodki dialog przerwał telefon.

— Mówi komisarz Bartłomiej Zbierski — usłyszałem — poszukuję pana od rana.

— Wyjeżdżałem — odrzekłem — ale cały czas miałem ze sobą telefon komórkowy.

— Rzadko używam komórki.

— No tak, szkoła Jacka.

— Słucham?

— Czego pan ode mnie oczekuje, panie komisarzu?

— Jestem niedaleko, chciałbym z panem porozmawiać, redaktorze.

— OK. Niech pan przychodzi.

Zbierski wolał kawiarnię. Zaproponował moją ulubioną ciemną norę w pobliżu. Stwierdził, że pozna mnie bez trudu.

Rzeczywiście, gdy tylko wszedłem, mężczyzna w sportowej koszuli i kurteczce pomachał mi z głębi. Jacek twierdził, że Zbierski mnie zna. Ja nie widziałem go nigdy w życiu. Zapominam często cudze nazwiska albo nie umiem ich dopasować do osób. Do twarzy jednak mam znakomitą pamięć. Choć wolał zapamiętywać buzie żeńskie. Bank ładnych twarzączek w pamięci to prawdziwy skarb. Zwłaszcza w samotne zimowe wieczory.

Zamówiłem sok z czarnej porzeczki (tak!), choć przed komisarzem stała szklanka z czymś mocniejszym. Czy to tylko w powieściach policjanci nie piją na służbie?

W knajpie panował półmrok, a pod ścianą gdzie siedział Zbierski, było wyjątkowo ciemno. Miałem wrażenie, że pograżam się w jakąś piekielną czeluść, w której tylko jarzą się diabelskie, lekko wyłupiaste oczy komisarza.

„Skup się — przywołał mnie do rzeczywistości głos wewnętrzny — bo rzeczywiście pograżysz się zupełnie”.

„Zamknij się, nieczuły na atmosferę chwili realisto” — odrzekłem.

„A wszystko przez to, że nie pijesz już od kilku godzin”.

Tu istotnie mógł mieć rację. Więc już nie przejmując się tym, co pomyśli o mnie policjant, zamówiłem u przechodzącej kelnerki podwójny winiak.

— Miałem ciężki dzień — wyjaśniłem Zbierskiemu.

— Widzę, że pan jakiś rozkojarzony...

Facet mi się nie podobał. Siedzieliśmy już dłuższą chwilę, a on czekał nie wiadomo na co. Jakby nie wiedział, o co mnie spytać. Może to tylko pozory. Jacek go cenił i mu ufał, a to dużo znaczy.

— W jakiej sprawie dzwonił pan do nadkomisarza? — zapytał wreszcie.

„Czy on mnie sprawdza? — pomyślałem. — A może jednak Jacek, ten ostrożny i nieufny człowiek, nic mu nie powie-dział? To pobawmy się chwilę”.

— Przecież pan doskonale wie.

— Zna pan zasady. W rozmowie z policjantem należy od-powiadać i już.

A toś ty taki. Zupełne przeciwieństwo Jacka. Zimny typ. Na dystans.

— Słyszał pan o gangu piaseczyńskim? Ja zasadniczo zaj-muję się przestępstwami gospodarczymi, ale przypadkowo tra-fiłem...

I zacząłem konfabulować, a ponieważ w porannej rozmo-wie z Kasią przećwiczyłem całą historię, szło mi znakomicie.

„Co ty robisz najlepszego, wprowadzasz w błąd policję!” — zawołał do mnie przestraszony głos wewnętrzny.

„Skądże, ja tylko sprawdzam wiedzę i inteligencję tej zimnej glisty” — odpowiedziałem, kontynuując równocześnie swoją opowieść.

Kasia rozgryzła mnie od razu, ale ten wydawał się brać za dobrą monetę wymyśloną fabułę. Może to tylko gra? Śliczna buzia Kasi natychmiast ujawniała wszystkie emocje, a komisarz miał twarz pokerzysty: chłodną i beznamietną. Żadnych uczuć.

Na razie gaworzyłem sobie gładko bez żadnego sprzeciwu słuchacza. Nawet wyjął notes i coś zanotował. Wysłuchał ca-łej historii, a ja zupełnie już bezczelnie dodałem:

— Jacek obiecał mi pomoc. Miał mi coś opowiedzieć o tym gangu z Piaseczna. Niestety, nie zdążył. Może pan mógłby go zastąpić?

— W tej chwili cała nasza uwaga jest skupiona na wyja-śnieniu sprawy zabójstwa nadkomisarza, a i tak musiałbym mieć zgodę moich przełożonych.

— Oczywiście, rozumiem. Czy w przyszłości mogę się do pana zwrócić?

Nie odpowiedział.

— Niech mi pan jeszcze powie, gdzie pan był dzisiaj. Szukaliśmy pana cały dzień.

— W Mieście. U mojej koleżanki ze szkoły, dziennikarki jak ja. Piękna kobieta.

Nie podjął wątku, czyli pozostajemy na płaszczyźnie oficjalnej.

I zaraz potem sobie poszedł, a ja nadal siedziałem nad resztką winiaku.

Gdy odchodził, spojrzałem nań przelotnie. „Może jednak kiedyś go widziałem” — pomyślałem. W jego sylwetce, sposobie stawiania kroków mignęło mi coś znajomego.

Potem, już w drodze powrotnej, pomyślałem o pewnej dziwnej rzeczy. Zbierski pytał mnie, gdzie byłem dzisiaj, a nie zapytał, gdzie byłem wczoraj. Czy widziałem strzelaninę? Przecież byłem świadkiem zbrodni, którą komisarz próbował wyjaśnić. Czyżby Jacek nie powiedział mu również o planowanym spotkaniu ze mną?

Zanim doszedłem do domu, mój telefon w kieszeni zapisał dwa razy. Dostałem wiadomość od Kasi. Była dość dziwna: „Zadzwoń z automatu na telefon — tu numer — czekam wiadomość skasuj”.

Łatwo powiedzieć „zadzwoń z automatu”. Wprawdzie najbliższy był niedaleko, na skrzyżowaniu, ale wszystkie uliczne telefony działają obecnie na karty. Jest sobotni późny wieczór, kioski i sklepy pozamykane. Gdzie kupić kartę? W tym miejscu i o tej porze niemożliwe. Trzeba pojechać do śródmieścia.

Przechodziła jakaś rozbawiona para.

— Bardzo państwa przepraszam. Czy nie macie państwo może karty telefonicznej? Muszę natychmiast zadzwonić! Niepokoję się strasznie o pewną miłą dziewczynę!

Chcieli mi natychmiast oddać dwie. Wziąłem oczywiście tylko jedną. Pieniądzy mimo nalegań nie przyjęli. Takie rzeczy są możliwe tylko w tym miejscu i o tej porze. W sobotni wieczór w Warszawie.

- To ja, Kasiu — powiedziałem.
- Co tak długo? Sterczę przy tym telefonie i odganiem chętnych od piętnastu minut.
- Nie miałem karty telefonicznej. Co się dzieje?
- Byłeś śledzony. Gdy wyszedłeś ode mnie... Podejrzewam, że podsłuchują twoją komórkę...  
Niemal usłyszałem, jak Jacek śmieje się w zaświatach.
- A teraz wydaje mi się, że i mnie, więc dlatego dzwonię z automatu. Próbowałam ustalić, czy ktoś z miejscowych zlecił podsłuch u mnie, ale wszyscy się wypierają. W ogóle to wszystko jest dziwne. I dzieje się za szybko.
- Ktoś już mówił, że zauważył coś dziwnego — powiedziałem — i teraz jest martwy. Kasiu, boję się o ciebie.
- Dam sobie radę.
- Czy możesz przenocować poza domem? A ja jutro przyjadę...
- Poważnie? — Chyba się ucieszyła.
- Jak najpoważniej.

## 7

W niedzielę rano zapukałem do Jadzi i powiedziałem jej, że jadę do Miasta. To taka magiczna wiara: jeśli ktoś wie, gdzie jesteś, czujesz się bezpieczniejszy. Potem wyszedłem na gorącą już mimo wczesnej pory ulicę. Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Wczoraj podobno było ponad trzydzieści stopni Celsjusza, ale ani w klimatyzowanym samochodzie Pawła, ani w przewiewnym mieszkanku Kasi tego nie odczułem. Dziś, gdy tylko wsiadłem do pociągu, od razu zrozumiałem, co to są skutki efektu cieplarnianego. Pociąg był raczej pusty. Mądrzy mieszkańcy stolicy gorący weekend spędzali w domu albo wybierali bardziej cywilizowane środki lokomocji. Mimo pootwieranych szeroko okien w wagonie stało nagrzane i stęchłe powietrze. Miałem wrażenie, jakby koleje państwowe w ramach niemałej opłaty za bilet zamierzały mnie ugotować i uwędzić, a potem zapewne sprzedać jakiemuś plemieniu ludożerców. Może w ten sposób udałoby się zmniejszyć straty, jakie wciąż przynoszą PKP? Na dodatek pociąg się spóźnił. Jak wiadomo, pociągi spóźniają się zimą z powodu mrozów i opadów śniegu, latem zaś ze względu na upały, a nigdy odwrotnie, czyli w zimie z powodu upału, a w lecie nagłych opadów śniegu. Było lato, był upał, i to niemały, więc wszystko się zgadzało i spóźnienie musiałem uznać za usprawiedliwione.

Moja miła szkolna koleżanka czekała grzecznie w umówionym miejscu, tuż przy głównej ulicy i naprzeciw reprezentacyjnego gmachu Miasta. Dziś włożyła krótką jasną sukienkę

na cienkich ramiączkach, odsłaniającą ramiona i plecy. Właściwie łatwiej byłoby powiedzieć, co sukienka zakrywała, bo było tego zdecydowanie mniej. Kasia wyglądała olśniewająco i przez chwilę zdawało mi się, że jest wciąż panienką z liceum, które skończyliśmy jednak już parę lat temu. Poczuję się jak na randce i właściwie nie miałbym nic a nic przeciw temu, żeby była to tylko randka. Czy może aż randka?! Jako mężczyzna doświadczony i z natury miły dla bliźnich (szczególnie, gdy są nimi piękne kobiety) natychmiast wyraziłem swój szczerzy podziw dla urody Kasi. Uśmiechnęła się z wdziękiem, ale nic nie powiedziała. Wydawała się jakby nieobecna duchem.

Poprowadziła mnie w głąb starego parku. Usiedliśmy blisko siebie na ławce pod rozłożystym kasztanem. Panował tu miły cień, ale grasowały komary i małe meszki, które wykazywały szczególnie upodobanie do płci męskiej, ponieważ cięły głównie mnie. W tych sympatycznych okolicznościach otaczającej przyrody cicho sobie rozmawialiśmy.

— Co się dzieje? — spytałem.

— Sama bym chciała wiedzieć. Ja od dawna jestem wyuczona na wszystko, co odstaje od normy... I może dzięki temu jeszcze żyję.

— No więc co odstało od normy?

— Spojrzałam wczoraj przez okno, gdy wychodziłeś ode mnie. Od czasu wielkiego bum, o którym ci wczoraj opowiedziałam, lubię zobaczyć, co się dzieje w okolicy. Więc gdy wyszedłeś, z samochodu, który stał niedaleko, zrobiono ci zdjęcie. Spostrzegłam długi teleobiektyw, nie widziałam jednak tego amatora fotek z tobą w roli głównej. Jesteś gwiazdą, ale dziennikarstwa, nie kina czy show-biznesu, więc nie sądzę, żeby to był paparazzi.

— Jestem bardzo fotogeniczny, więc to raczej normalne, że mnie fotografują gdzie się tylko pokażę.

— Nie błaznuj, Konrad, bo wygląda to bardzo poważnie.

Niestety, z okna mojego mieszkania nie mogłam dostrzec numeru rejestracyjnego samochodu. Wiem tylko, że był to...

— Chyba nie chevrolet?

— Nie. Ciemny mercedes, ale nie najnowszy, raczej starszego typu.

— Pojechali za mną?

— Właśnie nie, co mnie jeszcze bardziej zaniepokoiło.

— Dlaczego?

— Bo wygląda na to, że mogą cię bez kłopotu w każdej chwili odnaleźć.

— Jak tak dobrze mnie znają to po co im moje zdjęcie? Do albumu mamusi?

— Może chcieli komuś pokazać ciebie sfotografowanego przed moim domem?

— A może fotografują wszystkich twoich gości?

— Wiedziałabym o tym — powiedziała z takim przekonaniem, że nie próbowałam nawet dyskutować.

— Dobrze, ale kto mógł być tym fotoamatorem, jeżeli wykluczemy oczywiście moje wielbicielki? Kto zrobił to zdjęcie? Policja, UOP czy mafia?

— Nie wiem, ale policja chyba nie. Na pewno nie miejscowa.

— Nie wydaje mi się, żeby ktoś jechał za samochodem Pawła, gdy wracaliśmy do Warszawy.

— Wygląda na to, że zainteresowało ich przede wszystkim nasze spotkanie. Ja się zajmuję od dawna tutejszymi gangami, ty rozpoczęłaś poszukiwania Klary Zameczek, nietrudno więc zgadnąć, o czym rozmawialiśmy.

— Co za ich? Kogo, na miłość boską, zainteresowało?

— Najpierw myślałam, że gang Brzuchatego czy obecnie Profesora, ale się dowiedziałam, że podobno założono mi podsłuch telefonu.

— Jak to się dowiedziałas? Coś brzęczy, stuka, burczy? Może masz zepsuty aparat?



— Mam znajomego prokuratora, który darzy mnie nieustającą sympatią...

— Nie dziwię mu się...

— A ja w obrzydliwy sposób to wykorzystuję, niczego w zamian nie obiecując. On mi oczywiście nic oficjalnie nie powiedział, ale dał do zrozumienia...

— Na podsłuch trzeba zgody sądu.

— Formalnie tak... Ale zanim zadzwonił mój prokurator...

— Jak to ładnie brzmi „mój prokurator”.

— To skrót myślowy. Mój znajomy prokurator. Nie przerywaj, bo nic ci już nie powiem.

Umilkła. Klękawszy przed zgrabną gołą łydką ślicznie opaloną i równie zgrabnym gołym kolaniem, które także zaznało skutecznie kąpieli słonecznej, złożyłem harcerskie przyrzeczenie, że więcej przerywać nie będę. W nagrodę poznałem dalszy ciąg wydarzeń sobotniego wieczoru.

Prokurator zadzwonił i zaprosił ją na kawę. I zrobił to w taki sposób, że od razu się zgodziła, choć stara się — tak przynajmniej powiedziała — utrzymać dystans w stosunkach z tą częścią władzy sądowniczej. Gdy się spotkali, prokurator prosił ją o ostrożność. Nawet powiedział, że taki piękny czerwiec to znakomita pora na urlop. Że powinna wykorzystać świetną pogodę i wyskoczyć gdzieś na tydzień albo dwa.

Kasia zrozumiała, że sprawa jest poważna, gdy prokurator od razu uprzedził, że on, niestety, teraz na urlop pojechać nie może. Potem jeszcze powiedział, że gdyby chciała się z nim kontaktować, to najlepiej z automatu i na telefon prywatny. Jest kawalerem, mieszka sam, więc tylko on odbiera telefony. Niestety, zanim spotkała się z prokuratorem, dzwonili do niej jej informatorzy. Ma oczywiście z każdym z nich cały system szyfrów, różnych skrótów, żaden nigdy nie przedstawia się w telefonicznej rozmowie prawdziwym imieniem ani tym bardziej nazwiskiem, ale teraz pełna jest obaw, że jeśli już wtedy telefon był podsłuchiwany, to mogła ich spalić...

— Nic a nic z tego, Kasiu, nie rozumiem. Jeżeli założono ci podsłuch ze względu na spotkanie ze mną, to odbyło się to strasznie szybko. Zazwyczaj to trwa, są jakieś procedury...

— No właśnie, ja też mam wrażenie, jak byśmy dotknęły czegoś horrendalnie niebezpiecznego, co wywołało natychmiastowe skutki.

— A może to wszystko nie ma nic wspólnego ze mną i z Klarą Zameczek? Może już wcześniej nadepnęłaś komuś na odcisk...

— Zastanawiałam się nad tym, ale ja nic poważnego w tej chwili nie robię. Myślałam raczej, że to ty zajmujesz się jakąś inną sprawą o której mi nie powiedziałaś, i komuś się naraziłaś.

— Ostatnio mogłem jedynie narazić się jakiemuś browarowi tym, że wybieram produkty konkurencji.

— Nie powiedziałaś ci jeszcze, dlaczego dzwonili moi informatorzy. Oni wszyscy mnie bardzo lubią...

— No, no, ale ty masz wielbicieli, prokurator, ludzie z mafii...

— Czy ja powiedziałam, że oni są z mafii? Może to policjanci...

— Wiem, że nawet na torturach nie zdradzisz ich tożsamości. Więc dlaczego dzwonili?

— Wszyscy ostrzegali przed niebezpieczeństwem, choć żaden nie umiał powiedzieć, co naprawdę mi grozi. Radzi-li dokładnie to samo co prokurator. Wyjechać, schować się, przeczekać...

Popatrzyłem na Kasię. Męska część ludzkości naprawdę sporo by straciła, gdyby śliczna pani redaktor znikła któregoś dnia jak Klara Zameczek, i nie odnalazła się więcej albo, co gorsza, odnalazła się, ale tak jak miejscowy hurtownik niekompletna. Poruszony tą wizją rzekłem:

— Znasz powiedzenie, że jeśli dwóch ci mówi, żeś pijany, to masz się położyć do łóżka? Może więc, jeśli ci mówią z prawa i z lewa, żebyś wyjechała, to powinnaś to zrobić? Pro-

kurator, niestety, jechać nie może... Jeśli wśród twoich przyjaciół gangsterów nie ma nikogo, z kim chciałabyś spędzić urlop, to ewentualnie ja mógłbym...

— A Klara Zameczek? Chcesz przecież odnaleźć dziewczynę, która cię zauroczyła!

— Jeśli chciałaś powiedzieć „rzuciła urok”, to masz rację. Mój głos wewnętrzny dobrze gadał: ta dziewczyna ma krzywe usta. Jak czarownica. Ale wydaje mi się, że urok już zdjęty.

— Blondynka czarownicą? Czarną magią zajmują się raczej rude, jak ja.

— Ty masz najpiękniejsze rude włosy, jakie widziałem w swoim jakże bogatym w rozmaite doświadczenia życiu — powiedziałem trochę bez sensu. Czy jednak zawsze muszę mówić z sensem? — Czarownicą rzeczywiście możesz być. To pasuje.

— Nie, Konrad, nie wyjadę, nawet z tobą.

„Ho, ho, ho, »nawet z tobą«” — powtórzył z ironią głos wewnętrzny.

Po co go wspominałem? Wywołałem wilka z lasu.

„Nie przedrzeźniaj — powiedziałem mu tylko — to prawdę nieładnie”.

— Nie wyjadę — powtórzyła Kasia — właśnie dlatego, że wszyscy mnie do tego namawiają. Może o to chodzi, żebym się usunęła?

— A mnie chodzi o to, żeby nie usunęli ciebie. Nie chciałbym oglądać cię w postaci kadłubka pozbawionego głowy i kończyn.

„Kadłubek wcale niezły... A te wypukłości z przodu i z tyłu, palce lizać” — znów wtrącił się głos wewnętrzny.

„Przestań się ślinić — powiedziałem mu tylko — to wszystko nie dla ciebie”.

„Dla ciebie też nie” — rzekł okrutnik.

— Czemu milczysz? — zapytała Kasia.

— Boję się o ciebie. Poprosiłem o pomoc policjanta, nie

żyje. Teraz wciągamy w to ciebie. I od razu jesteś w niebezpieczeństwie.

— Wiesz, to że policja kontroluje moje telefony, to może nawet dobrze. Wiedzą, co robię i w razie czego mnie ochronią.

— Nie wierzę w to. Właściwie, jakim prawem nas podsłuchują? Czy ja nie mogę mieć prywatnego życia? Czy to państwo musi nam zaglądać — chciałem rzec „pod kołdrę”, ale mogło to zabrzmieć dwuznacznie, więc powiedziałem — do duszy?

— No wiesz, oni prowadzą śledztwo w sprawie śmierci policjanta.

— Ale ja jestem po tej samej stronie co oni. To był mój przyjaciel.

— Może oni o tym nie wiedzą?

— Oczywiście, dlaczego policja miałaby coś wiedzieć? Chociaż jak posłuchają trochę naszych rozmów, to czegoś się dowiedzą. A może powinniśmy jak najczęściej rozmawiać przez telefon, żeby pomóc w dochodzeniu i naprowadzić ich na jakiś ślad?

I tak rozmawialiśmy sobie w cieniu pod starym kasztanem. Rozważyliśmy jeszcze dwa moje pomysły. Pierwszy — niech Kasia jedzie ze mną do Warszawy i stamtąd będziemy próbowali prowadzić to nasze, pożałuj Boże, śledztwo. Pomysł został odrzucony.

— Tu jest centrum wydarzeń i przynajmniej jedno z nas powinno być w Mieście — stwierdziła Kasia.

Nie mogłem nie przyznać jej racji. Zaproponowałem więc, że ja przeprowadzę się na jakiś czas do Miasta. Oczekiwałem, że Kasia powie coś w rodzaju: „Mógłbyś spać na kanapie w dziennym pokoju. Czułabym się o wiele bezpieczniej, gdybyś był stale obok”. Nic takiego nie powiedziała. Zacząłem się głośno zastanawiać, czy mógłbym poprosić o gościnę jedną z dwóch moich ciotek mieszkających w Mieście. Właściwie to nie są ciotki, czyli siostry mojej mamy, ale tak je zawsze nazywałem.

Adelajda jest moją cioteczną babcią i ma co najmniej osiemdziesiąt lat. Od ponad dwudziestu lat na emeryturze, ale ciągle bardzo aktywna. Prowadzi urozmaicone życie towarzyskie w gronie podobnych starsuszków. Niejeden młody mógłby pozazdrościć im energii i znakomitej kondycji. Wciąż spotykają się, chodzą na długie spacery, urządzają zbiorowe wyjazdy do lasu i przyjęcia na działkach. Oczywiście odchodzą wtedy tańce i wszelakie zbytki. Bywam u niej raz do roku i kupuję zazwyczaj w prezencie niskoprocentowy alkohol, zwany nalewką babuni. Ciocia go uwielbia, co nie przeszkadza, że zawsze powtarza się ten sam dialog:

- No tak, jak dla babuni, to przywozi się owocowy soczek.
- Ależ, ciociu, w tym jest sporo procentów.
- Procenty to my pijali z twoim dziadkiem (czyli jej bratem). Wy, smarkacze, pod stołem by dawno leżeli. Dziś nie znajdziesz już takiej głowy.
- A ja myślę, że coś tam na pewno odziedziczyłem po dziadku. Może właśnie głowę?

Gdybym odwiedził ciocię w upał taki jak dziś, na pewno opowiedziałyby, jak to dziadek letnim rankiem wypijał zawsze miarkę czystego spirytusu, żeby się nie pocić. Podpatrzył ten sposób u litewskich chłopów, którzy stosowali go w okresie żniw przed wyjściem w pole.

Ciocia Adelajda ma duże trzypokojowe mieszkanie, a w nim mnóstwo wersalek i rozkładanych tapczanów, trzymanyh z myślą o potencjalnych gościach. Gość w dom, Bóg w dom — u niej nadal panuje ta staropolska zasada. Na pewno przyjęłyby mnie z wielką radością. Jednak gdyby, nie daj Boże, dowiedziała się o poszukiwaniach Klary, o mafii w Mieście, strzelaninie w Warszawie, natychmiast włączyłyby się energicznie do śledztwa. To jest największe niebezpieczeństwo związane z zamieszkaniem u niej. Musiałbym chronić drugą już kobietę.

- A któraż to jest ta pierwsza? — Niewinnie spytała czujna Dorota zwana Kasią.

— Nie wiesz? Oczywiście ty. Naraziłem cię na niebezpieczeństwo, więc teraz mam obowiązek bronić cię i chronić.

— O swoje bezpieczeństwo zadbam sama. A ty uważaj przede wszystkim na siebie — rozłościła się Kasia.

Muszę dodać, że ciocia Adelajda, prócz tysiąca innych spraw, którymi wypełnia swoje zabiegane dni, wciąż ogląda telewizyjne seriale. Bardzo poważnie traktuje ich fabuły oraz bohaterów. Nie zawsze też starsza pani rozróżnia, co się dzieje w serialach, a co naprawdę. Ale czy przypadki, które spotykają mnie od kilku dni, nie przypominają serialu? I to raczej amerykańskiego niż polskiego. Gdybym jej opowiedział o moich ostatnich przygodach, na pewno żałowałaby, że przegapiła jakiś nowy, niezwykle ekscytujący film. Gdy przyjeżdżam ze stolicy, a więc z miejsca, w którym rozgrywa się akcja większości seriali, ciocia mnie pyta, co tam słychać u takiego czy innego bohatera. Dla cioci bowiem to prawdziwi ludzie i na pewno moi dobrzy znajomi. Ciocię-babcię mało interesuje, co już zrobili bohaterowie filmu, bo to może sama zobaczyć w telewizorze, lecz co zrobią w najbliższych odcinkach. Ja zaś — warszawski dziennikarz — powinienem dobrze znać plany ulubionych bohaterów starszej pani i tylko z powodu wrednego charakteru nie chcę ich jej ujawnić. A ja nie znoszę seriali i prawie nigdy ich nie oglądam. Nie mam pojęcia, co wyczytniał ostatnio taki czy inny bohater „Klanu” albo tej łzawej historii szpitalnej, w której występuje najsztywniejsza aktorka wywodząca się z Miasta.

Przy okazji zapytałem Kasię:

— Słyszałem, że rozsławiasz moje imię wśród mieszkańców Miasta. Słynny filozof, piękna aktorka i ja, pierwsze dziennikarskie pióro Rzeczpospolitej, to według ciebie najzdolniejsze dzieci Miasta.

Kasia zarumieniła się.

— Nie wiem, czy nie ograniczę listy naszych sław po bliższym poznaniu ciebie.

— Oto kobieca logika. Co ja, prywatna jednostka, mam wspólnego z artykułami, które tak wysoko oceniłaś? Pewnie, że wolałbym, żebyś i mnie podziwiła, ale doskonale rozumiem, że to może być niełatwe.

Z Anusią, moją drugą „ciotką”, znamy się od wczesnego dzieciństwa. Jako dzieci bawiliśmy się razem w doktora i podobno była pierwszą dziewczyną którą pocałowałem. Taka legenda krąży w rodzinie. Miałem wtedy cztery albo pięć lat i nic nie zapamiętałem.

Jesteśmy jakoś spokrewnieni, ale jak, nie udało mi się ustalić. Może potrafiłaby to zrobić ciocia-babcia Adelajda, która pamięta wszelkie rodzinne koligacje, daty urodzin, ślubów, nazwiska panieńskie kobiet, które weszły do naszej rozgałęzionej rodziny, a także mnóstwo imion dzieci i wnuków, czyli całego rodzinnego pogłowa.

Anusi od dawna z upodobaniem mówię „ciociu”, chociaż jest najwyżej dwa lata starsza ode mnie. Nie znalazła do tej pory mężczyzny swego życia — jak mawia — i od czasu mojego rozwodu żartujemy sobie nieraz, że w końcu jesteśmy tak odległymi krewnymi, że może nawet dyspensa z Watykanu nie byłaby potrzebna do ślubu. Anusia, gdy przyjeżdża na kilka dni do Warszawy, nocuje nieraz u mnie. Na pewno chętnie by się zrewanżowała, tyle że mieszka w ciasnej kawalerce. Spać bym musiał chyba w wannie. Poza tym zapewne nie ma jej w Mieście, bo w czerwcu zazwyczaj wyjeżdża na urlop. Zatem chyba nie wystąpi w tej historii. Może znajdzie się dla niej rola w jakiejś innej, która rozegra się w dogodniejszej dla niej porze?

Kasia wysłuchiwała mej długiej opowieści i podsumowała:

— Masz, jak słyszę, niezwykle ciekawe ciotki.

Nie wiem, czy spowodowało to przybliżenie charakteru moich cioteczek, które wykonałem, czy też trzeźwa ocena sytuacji, ale postanowiliśmy ostatecznie, że ja wracam do Warszawy, Kasia zostaje w Mieście, i próbujemy zdobywać infor-

macje. Działanie na własną rękę będzie chyba bezpieczniejsze i dla mnie, i dla niej.

Kasia wyciągnęła z torby nowy telefon komórkowy.

— Jeszcze jej nie używałam. Nigdzie niezarejestrowana. W poniedziałek kupię drugą i podam ci numer.

Umówiliśmy się, że używamy wyłącznie tych nowych telefonów komórkowych, a poza tym codziennie o ósmej wieczorem dzwonimy do siebie z automatu. W Mieście jest już kilka automatów, na które można dzwonić. Kasia wyciągnęła kartkę z ich numerami.

— Dzwonź według takiej kolejności jak na tej kartce. Codziennie będę o ósmej czekać przy innym telefonie. Gdyby był zajęty, dzwonisz pół godziny później na kolejny.

— Kto cię tego wszystkiego nauczył? Mosad czy CIA? — zapytałem pełen podziwu.

— Życie. Nauczyło mnie życie — powiedziała jakoś wyjątkowo poważnie Dorota zwana Kasią.

Potem jeszcze dodała, że chodzi jej po głowie pewien pomysł, ale coś musi najpierw sprawdzić. Spojrzałem na nią. Rzeczywiście wyglądała na osobę, której coś chodzi po głowie. Mógł to być nawet nowy pomysł.

\* \* \*

Gdy wróciłem do Warszawy, pod moim domem nikt nie czekał z kamerą, żeby nakręcić o mnie film. To tylko w Mieście jestem gwiazdą której robią zdjęcia z ukrycia. Spotkałem natomiast Jadzię.

— Konrad, coś ty przeskrobał? Znow niedawno szukał cię policjant.

— To widzę, że już wszystkie moje zbrodnie wyszły na jaw. Niczego nie uda się ukryć przed okiem sprawiedliwości.

— Nie wiedziałam, że mieszkam pod jednym dachem ze zbrodniarzem.



— W najbliższym czasie dowiesz się jeszcze o mnie straszniejszych rzeczy — powiedziałem głosem, który podsłuchałem w horrorach, takim, wiecie, który idzie z głębi duszy, czyli gdzieś tam spod przepony brzusznej.

Jadzia zamilkła przerażona albo może zadziwiona moimi możliwościami aktorskimi.

— Czego chciał ten policjant? — zapytałem takim samym głosem.

— Jak nie zaczniesz mówić zwyczajnie, to nic ci nie powiem.

— Ach powiedz, powiedz, ma duszko, bo zaboli mnie serduszko, więc nie dręcz dłużej mnie — starałem się mówić normalnie, ale wyszedł mi jakiś dziwny śpiew.

— Wariat, po prostu wariat. I twoje szczęście, bo zamiast do więzienia, pójdziesz do szpitala dla psychicznych.

— Jeśli mi nie powiesz, to zamorduję cię w szale i rzeczywiście wyląduję u czubków.

To nie była dobra taktyka na Jadzię. Gróźb wyraźnie się nie bała, a moje zainteresowanie powodowało u niej blokadę mowy. Zacisnęła mocno usta, co znaczyło „nie powiem i już”. Chwyciłem się więc starych, wypróbowanych metod.

— Zostajesz tu, na ulicy? — zapytałem — bo ja idę do domu.

Jadzia podreptała za mną, opowiadając po drodze, że policjant stukał do niej, znów pytał o mnie, i ona znów nic mu nie powiedziała, chociaż dzisiaj nawet wiedziała, że pojechałem do Miasta. Tym razem był tylko jeden, nawet się przedstawił, komisarz Bartłomiej Zbierski.

— Znam go — powiedziałem. — Poprzednio był u ciebie z kolegą?

— Nie, wczoraj byli jacyś inni.

— Ciekawe. Zbierski mi mówił, że mnie szukał.

— No widzisz, chyba szuka cię cała warszawska policja. Wiesz, oni zawsze najpierw dzwonią do ciebie. Do mnie przy-

chodzą dlatego, że ciebie nigdy nie ma. I teraz, gdy dzwoniли do ciebie, to wydawało mi się, że jeszcze wtedy było ich dwóch. Wiesz, że ja wszystko słyszę, co się u ciebie dzieje i na klatce schodowej. Potem, gdy zapukali do mnie, był już tylko jeden.

— W takim razie zapukał, a nie zapukali.

— Może tylko mi się zdawało? Może od początku był jeden?

— To ja jestem groźnym przestępcą, więc do mnie przychodzą na wszelki wypadek we dwóch, a ciebie się nie boją, więc jeden sobie poszedł. Policji jest za mało, muszą oszczędzać kadry.

Gawędząc, doszliśmy na naszą klatkę i jak zwykle zacząłem szukać klucza w torbie.

— Może wejdiesz do mnie na kawę — spytała Jadzia — i opowiesz mi wreszcie o twoich zbrodniach?

Zanim odpowiedziałem, znalazłem klucz i próbowałem przekręcić go w zamku. Jakoś mi się nie udawało, choć potrafiłem otworzyć drzwi nawet nieświadomie, gdy niekiedy wracałem w stanie wskazującym na duże spożycie, czyli nie wiedząc, jak i skąd.

— Ja tu chyba mieszkam co, Jadziu? Nie wymieniłaś mnie na innego sąsiada?

Widząc, że Jadzia zerka na mnie jakoś niespokojnie, wykonałem gwałtowniejszy ruch i drzwi się otworzyły same.

— To mi się jeszcze nie zdarzyło. Żeby zapomnieć zamknąć drzwi...

— Złodzieje, może są jeszcze w środku! — zapiszczała Jadzia.

— Nie pozostaje nic innego, jak sprawdzić — powiedziałem bardzo odważnie i zacisnąwszy w dłoni klucze niczym sztylet, ruszyłem do boju. — Naprzód, cesarska gwardio!

W przedpokoju nikogo nie było. Nic też nie ubyło, a nawet coś przybyło. Z pokoju wystawała para czarnych męskich

półbutów. Podszedłem i zobaczyłem w pokoju ciąg dalszy leżącego mężczyzny. Był zupełnie nieruchomy, a więc chyba niegroźny. Wokół jego głowy rozlała się niewielka kałuża ciemnej cieczy.

W tej chwili Jadzia, która krok za krokiem szła za mną, wrzasnęła przeraźliwie:

— Krew! Morderstwo!

Zamilkła nagle i usłyszałem za sobą jakieś uderzenie. Zaciśnałem rękę na kluczach, mojej jedynej broni i odwróciłem się. Jadzia leżała na podłodze, ale nie było widać sprawcy kolejnego mordu. Podszedłem do mej ulubionej sąsiadki i spróbowałem ją cucić. Bez rezultatu. Jadzia zemdłała na dobre. Więc choć nie wolno niczego dotykać w mieszkaniu, w którym popełniono zbrodnię, poszedłem do łazienki i przyniosłem pół wiaderka wody. Chlusnąłem na Jadzię i poskutkowało od razu. Otworzyła oczy i coś zaczęła półprzytomnie mamrotać.

— Ktoś mnie walnął w głowę. — Namacała wielki guz.

— Sama się walnęłaś, gdy zemdłałaś.

Szok mijał i Jadzia przypomniała sobie powód, dla którego zemdłała. Choć więc omijała wzrokiem miejsce, w którym leżał mężczyzna w czarnych półbutach, zbladła i zachwiała się znowu.

— Proszę cię, nie mdlej już więcej. Może pójdziesz do siebie i się położysz?

— Nigdzie sama nie pójde.

— Więc wolisz zostać tu z... — Nie wiedziałem, jak nazwać denata, aby nie wywołać u Jadzi ponownego ataku przerażenia.

Na szczęście powoli dochodziła do siebie. Wytarła rękniczką mokrą twarz i próbowała osuszyć włosy. Tylko z tyłu, z jej ogonka, kapały duże krople. Odważyła się nawet spojrzeć w kierunku leżącego mężczyzny.

— Muszę wezwać policję — powiedziałem.

— Policja już tu jest — rzekła Jadzia bez sensu. Wyraźnie

była jeszcze zamroczone. — To jest komisarz Zbierski, który pytał o ciebie. — Wskazała na denata.

Dopiero teraz przyjrzałem się leżącemu mężczyźnie.

— Nie, to nie jest Zbierski. Przecież poznałem go. Kiedy to było? Wczoraj? Tak, wczoraj.

— Na pewno Zbierski.

— Mylisz się. Powinnaś naprawdę się położyć.

— Ty się połóż — rozłościła się Jadzia — ale po policję zadzwoń, bo ta, która jest, wydaje się już zimna jak trup.

— A może on jeszcze żyje?

— Nie podchodź do niego! — wrzasnęła Jadzia.

— Muszę przecież sprawdzić, czy żyje, zanim zadzwonię na policję. Na pewno o to zapytają.

Zbadałem puls mężczyzny. Nic nie wyczułem, chociaż trup nie był jeszcze zupełnie zimny. Więc był to raczej ciepły trup.

— Mówisz, że to policjant? — zapytałem Jadzię.

— U mnie był jako policjant. Przedstawił się, pokazał legitymację...

— Jak to się dzieje, że niemal każdy policjant, który próbuje skontaktować się ze mną natychmiast ginie? A do mnie nikt nie strzela? — zastanawiałem się.

„Żebyś nie powiedział tego w złą godzinę” — zjeżył się mój głos wewnętrzny.

— Amen — powiedziałem i poszedłem do pokoju dzwonić po taką policję, która nie zginie natychmiast po spotkaniu ze mną.

## 8

Usłyszałem jęk syreny.

„Jacy szybcy — pomyślałem i odruchowo spojrzałem na zegarek. Za pięć ósma. Za kilka minut Kasia będzie czekać na mój telefon, a przecież nie powiem policjantom, kiedy się zjawia: »Panowie, zajmijcie się na razie swoim kolegą, bo ja muszę na chwilę wyskoczyć. Za kwadrans będę z powrotem«”.

Pomyślałem też, że jeżeli moją szkolną koleżankę maglowali dwa dni na okoliczność zwykłego bum przed domem, to mnie — po zabójstwie policjanta w moim własnym mieszkaniu — będą trzymać tydzień, a Kasia będzie szaleć z niepokoju, dlaczego nie dają znaku życia.

„Dziewczyna pomyśli sobie, że po jej dzisiejszej opowieści dałeś nogę ze strachu” — uświadomił mi głos wewnętrzny.

„No to co? Nie zależy mi na dobrej opinii” — odpowiedziałem, ale obydwaj wiedzieliśmy, że to nieprawda, bo na opinii Doroty czyli Kasi chyba mi jednak zależało.

Podjąłem szybką decyzję.

— Jadziu, zechcesz mi pomóc? — zapytałem.

— W jakiejś kolejnej zbrodni? — ucieszyła się.

Przed chwilą była jeszcze zamroczona, ale myśl, że weźmie udział w przestępczym procederze, od razu ją odmroczyła. Mogłem się spodziewać, że jeśli potwierdzę, Jadzia nie tylko odzyska pełnię władz umysłowych i fizycznych, lecz wręcz rozsadzi ją radosny entuzjazm.

— To, o co cię poproszę, wygląda rzeczywiście dziwnie. Nie ma czasu, żebym mógł ci dokładnie wszystko opowiedzieć, bo za chwilę będzie tu policja, ale uwierz mi na słowo, że nie chodzi o żadną zbrodnię.

Wręczyłem jej nieużywaną komórkę, którą dała mi Kasia, oraz listę numerów telefonicznych automatów, na które miałem dzwonić. W dwóch zdaniach przedstawiłem system wymyślony przez śliczną rudą dziennikarkę.

— Musisz zadzwonić punktualnie o ósmej na pierwszy numer. Oczywiście z tej komórki, a nie z telefonu domowego. I po prostu powiedz prawdę. Jesteś moją sąsiadką, znaleźliśmy trupa, ja nie mogę zadzwonić, bo rozmawiam z policją. Nie wiesz, kiedy będę mógł.

— Jak kocham mamusię, ty musisz być szpiegiem! — wykrzyknęła zafascynowana Jadzia.

Nie miałem czasu na wyjaśnianie, więc zostawiłem tłumaczenia na późniejszą okazję. Jeśli taka w ogóle będzie, bo zapewne mnie zapudłują a jeśli Jadzia załamie się w krzyżowym ogniu pytań i zezna, że jestem szpiegiem, to wyjdę z ciupy, jak będę łyсы i siwy.

„Albo łyсы, albo siwy” — wtrącił głos wewnętrzny.

„Łысы na głowie, a siwy na brodzie, bo w ciupie zapuszczę brodę. Pasuje, logiku od siedmiu boleści? Nie mam teraz czasu na głupie rozmówki z tobą” — powiedziałem.

— Więc, Jadziu, teraz idź do siebie, zadzwoń z komórki, a potem dobrze schowaj telefon i listę numerów. Pospiesz się, bo jest już ósma.

W tej chwili uświadomiłem sobie, że od usłyszenia syreny minęło kilka minut i żadna policja się nie zjawiała, a więc spokojnie mogłem sam zadzwonić do Kasi. Niepotrzebnie wtajemniczyłem w sprawę moją egzaltowaną sąsiadkę. No cóż, mleko już się rozlało.

Policja okazała się nierychliwa. Zadzwonili do drzwi po dwóch kwadransach, a zajechali w zupełnej ciszy, bez sy-

ren. Była ich cała gromada i od razu rozpełzli się po całym mieszkaniu.

Grubasek z okrągłą rumianą buzią, najważniejszy w ekipie, w stopniu podkomisarza, siedział ze mną w kuchni i rozmawialiśmy. Od razu go uprzedziłem, że kontakty ze mną są niebezpieczne dla policji. Rozmowa ze mną grozi policjantowi śmiercią lub przynajmniej kalectwem. Przyjął to chyba z niedowierzaniem, ale mimo to zaczął mi się przypatrywać czujnym wzrokiem.

Starałem się przedstawić mu całą historię, nie ukrywając żadnych faktów. Pomiąłem jedynie udział Kasi.

Opowiedziałem więc o spotkaniu Klary Zameczek i jej porwaniu przez ludzi z czarnego chevroleta, o telefonie do Jacka i wiadomości, którą mi zostawił. I o tym, że ją niestety skasowałem z pamięci sekretarki. Przyznałem się, że byłem świadkiem morderstwa przed centrum handlowym.

Grubasek słuchał mej opowieści, nie zdradzając, czy mi wierzy. Pewne zainteresowanie wzbudziła w nim dopiero wczorajsza rozmowa w kawiarni z komisarzem Bartłojem Zbierskim.

— A więc wczoraj rozmawiał pan z zamordowanym?

— Nie, z zamordowanym nie.

— Oczywiście, wczoraj on był jeszcze żywy. — Widocznie pomyślał, że źle go zrozumiałem.

— On nadal jest żywy.

Przez rumianą buzią przemknął leciutki cień zdziwienia.

— Jest martwy mniej więcej od godziny. Lekarz to potwierdził.

— Żywy jest ten Zbierski, z którym ja wczoraj rozmawiałem. Chyba że go zamordowano bez mojej wiedzy.

— Z kim pan wczoraj rozmawiał? — Wydawało mi się, że ton głosu grubaska troszeczkę się podniósł.

— Rozmawiałem z człowiekiem, który mi się przedstawił jako komisarz Bartłoj Zbierski. I to nie był ten zamordo-

wany, którego przed chwilą wyniesiono z mojego mieszkania. Mam nadzieję, że przynajmniej tamten żyje.

— Jest pan pewny?

— No nie, bo jak już panu mówiłem, niemal każdy policjant, który się ze mną skontaktuje, zaraz ginie.

Grubaskowi lekko zaczerwieniło się czoło.

— Czy jest pan pewien, że pański rozmówca z kawiarni to nie był mężczyzna zamordowany w pańskim mieszkaniu?

— W kawiarni było mroczno, wie pan, nastrój, a on wybrał miejsce, w którym tego nastroju było szczególnie dużo. Nie mogłem wiele zobaczyć. Pamiętam jedynie, że miał wyłupiaste oczy. Ale jednak to nie był ten Zbierski, którego znalazłem u siebie w mieszkaniu.

— Zbierski jest, a właściwie był tylko jeden, przynajmniej u nas. I to jego, niestety, zastrzelono.

— A więc z kim wczoraj rozmawiałem? — zapytałem.

— Tego to ja nie wiem — powiedział szczerze grubasek.

Oczywiście, trudno wymagać od policjanta, żeby wiedział. Ten jednak robił wrażenie, jakby w ogóle nie chciał wiedzieć. On po prostu nie wierzył w ani jedno moje słowo.

— Oprócz pytania, kim był ten fałszywy Zbierski i dlaczego podał się za policjanta, mam jeszcze drugie — powiedziałem.

— Tak?

Ta krótka odpowiedź nie była oznaką zainteresowania, ale grzeczności. Podkomisarz był najbardziej uprzejmym ze znanych mi policjantów. I najcierpliwszym w rozmowie z podejrzanym.

— W jaki sposób prawdziwy Zbierski znalazł się w moim mieszkaniu? I dlaczego w ogóle wszedł pod moją nieobecność?

— To wykaże dochodzenie. Pan jest pewien, że pana nie było w mieszkaniu w czasie zabójstwa?

Teraz ja musiałem wykrzesać z siebie wrodzoną mi uprzejmość, żeby nie wrzasnąć. Powiedziałem bardzo spokojnie:



— Jestem pewien.

Grubasek przyjął to do wiadomości.

— Zastanawia mnie ta kałuża w przedpokoju. Czy ktoś próbował się bronić, polewając napastnika, czy też próbowano coś wyczyścić, a więc zatrzeć ślady.

Uśmiechnąłem się grzecznie i powiedziałem:

— To ja wylałem pół wiaderka wody.

Podkomisarz lekko uniósł brwi. Już zaczynałem rozumieć miny jego pucołowatej buzi. Podniesienie brwi oznaczało: „Nie wierzę w to, co pan powie, ale proszę bardzo, niech pan przedstawi swoje kolejne zgrabne kłamstewko. W końcu zapłacze się pan tak, że nawet nie będę musiał używać kajdanek, bo będzie pan uwięziony przez własne kłamstwa”.

— Wylałem wodę, żeby ocucić moją sąsiadkę, z którą razem znaleźliśmy ciało.

— I pan mi to mówi dopiero teraz? Gdzie jest ta sąsiadka?

— U siebie. Obawiałem się, że znowu zemdleje, gdy zostanie razem z trupem, więc kazałem jej iść i położyć się.

Przypomniałem sobie, że Jadzia kiedyś mi powiedziała, iż uwielbia trupy, w powieściach kryminalnych. Bez przynajmniej dwóch, trzech nieboszczyków zamordowanych w szczególnie wymyślny sposób, taka powieść nie ma dla Jadzi żadnej wartości. A tu patrzcie, w życiu jednak nie lubi. Jak to życie rozmija się z literaturą.

Nie podzieliłem się swoimi głębokimi refleksjami z podkomisarzem. I tak, zdaje się, brał mnie za idiotę albo przynajmniej kłamcę, który udaje mało rozgarniętego w celu oszukania policji. Gdybym powiedział, że Jadzia lubi trupy, uznałyby nas oboje za parę niezłych wariatów.

Grubasek zostawił mnie pogrążonego w myślach, przykazując czekać na jego powrót, i ruszył do mieszkania Jadzi.

U mnie w dalszym ciągu pracowała grupa policjantów. Ja zaś siedziałem w kuchni i próbowałem coś z tego wszystkiego zrozumieć. Nic dziwnego, że grubasek mi nie wierzył. Sam

nie mogę uwierzyć w to wszystko, co mnie spotyka od kilku dni. Gdyby to była powieść kryminalna, to choć spodobałaby się Jadzi (już dwa trupy), żaden wydawca by jej nie przyjął do druku ze względu na kompletny brak prawdopodobieństwa opisanych wypadków. Bo pomyślcie tylko.

Do dziennikarza, który trochę wypadł z obiegu, przysiada się ni z tego, ni z owego kochanka zabitego szefa gangu. Skądinąd sympatyczna blondynka, z którą miło się gawędzi przy piwku. To ona zapewne kieruje gangiem, czyli przestępczością zorganizowaną w Mieście. Chyba że znudziła się jej rola szefowej i dała nogę, albo ukrywa się przed konkurencją. Zatem naszej uroczej blondynki szuka mafia, czy nawet dwie, nie licząc oczywiście policjantów z Centralnego Biura Śledczego, którzy też rozglądają się za niewiastą. Potem jest porwanie. To w stosunkach mafijnych być może rzecz zwyczajna, ale dlaczego to mnie porywają miłą panienkę, kiedy tylko oddalam się na krótkie siusiu? Dlaczego to wszystko spotyka właśnie mnie?

Dalej robi się jeszcze gorzej. Ginie Jacek. Wystarczyło, że zaczął się interesować sprawą Klary. Kasi, gdy również została wciągnięta do sprawy (niestety, znów przeze mnie), zakładają natychmiast podsłuch. Następnie znajomi z obydwóch stron, i tej dobrej, i tej złej, radzają ukryć się i przeczekać. Przed czym czy przed kim ma się ukrywać? Co przeczekać? Pojawia się facet, o którym teraz się dowiedziałem, że był fałszywym policjantem. Co próbował ode mnie wyciągnąć? I skąd w ogóle wiedział o moim istnieniu? No a teraz mamy drugiego już trupa. I to człowieka mającego zaufanie Jacka. Tenże policjant wszedł do mojego mieszkania pod moją nieobecność. Policja takich rzeczy nie robi. Chyba że wszystko jest na odwrót. Że to wyłupiastooki facet w ciemnej kawiarni był prawdziwym Zbierskim, a ten jest fałszywy. To oznaczałoby jednak, że fałszywy jest również grubasek o rumianym licu i cała przywieziona przez niego ekipa. To wydało mi się jesz-

cze mniej prawdopodobne niż inne nieprawdopodobne zdarzenia, które mnie spotykały od czwartku. Być może w tej historii prawdopodobne jest to, co nieprawdopodobne?

Grubasek wrócił po kilku kwadransach i oznajmił:

— Pana sąsiadka potwierdza wersję, że znaleźliście denata wspólnie.

Był chyba zawiedziony, bo na czole pojawiła mu się niewielka zmarszczka.

— Czy pan myślał, panie komisarzu, że ja układam jakąś kryminalną fabułę? Że sobie wymyśliłem trupa? Przecież trup był, trup jak żywy.

„Co ty pleciesz?! — powstrzymał moje zapędy nieoceniony głos wewnętrzny — trup nie może być żywy. Postaraj się wreszcie porozmawiać z podkomisarzem poważnie”.

— Że wymyśliłem sobie fałszywego Bartłomieja Zbierskiego? Po co miałbym to robić?

— Chyba rozumie pan, że historia, którą mi pan przedstawił, nie robi wrażenia prawdziwej? Pan jest dziennikarzem, czyli powinien opierać się pan w pracy na faktach, a to wygląda na literaturę i to literaturę fantastyczną.

— Przed chwilą o tym myślałem. W ciągu zaledwie czterech dni spotkało mnie tyle dziwnych, trudnych do wytłumaczenia zdarzeń... Ale mam alibi w sprawie morderstwa Zbierskiego. Gdy weszliśmy do mieszkania z moją sąsiadką Jadzią trup był jeszcze świeży...

Głos wewnętrzny zamruczał z naganą. „No ale jak inaczej to wyrazić?” — zapytałem go. Nie odpowiedział, widać nie miał dobrego pomysłu.

— No tak, ma pan alibi — powiedział grubasek.

W jego oczach pojawiła się odrobina żalu. Ach, z jaką radością facet by mnie zapudłował. Nagle się uśmiechnął. We właściwy sobie sposób, czyli prawie niedostrzegalnie. Widać przyszła mu do głowy myśl poprawiająca smutny nastrój.

— Pańskiemu alibi trzeba przyjrzeć się dokładniej. Pana

sąsiadka wykazała nadzwyczajną gorliwość w przekonywaniu mnie, jaki jest pan wspianiały i niewinny. To bardzo podejrzane. Wie pan, jak dzisiaj jest. Ludzie są ostrożni w kontaktach z policją. Mówią tak, żeby nic właściwie nie powiedzieć. Obawiają się wplątania w jakąś sprawę. Myślą, po co im to? A nuż powołają na świadka w sądzie? A tego nikt nie chce.

— Jadzia jest po prostu uczciwą osobą. Tacy ludzie wciąż się zdarzają — powiedziałem i dodałem: — a poza tym mnie lubi.

Grubaskowi zadrżały lekko nozdrza. No nie, tego, żeby można było mnie lubić, to on już naprawdę nie potrafił sobie wyobrazić. Pomyślałem też z rozczuleniem o Jadzi: „Przesadziła sąsiadeczka. Tak jej zależy, żeby chronić mnie — szpiega i kryminalistę — przed wymiarem sprawiedliwości, że doprowadzi do czegoś odwrotnego. I naprawdę wyjdę z ciupy, jak będę stary i z łysą pałą”.

\* \* \*

Późno w nocy, po odjeździe policyjnej ekipy, poszedłem do Jadzi, żeby jej o tym powiedzieć. Prawie nie dopuściła mnie do głosu. Tak była podniecona całą sytuacją.

— Kasia powiedziała, że jutro przyjedzie. Pogadałyśmy sobie jak kobieta z kobietą. To świetna dziewczyna, ta twoja współniczka — oznajmiła.

A więc już się zakolegowały. Było to dziwne, bo Jadzia zazwyczaj słabo tolerowała moje znajome panienki. Może zaakceptowała Kasię jako współniczkę w moim zbrodniczym procederze. Przystępstwo uszlachetnia. Oczywiście w oczach Jadzi.

— Ja też w to wchodzę — dodała.

— W co, Jadziu, w co ty wchodzisz?

— Już ty dobrze wiesz, w co — powiedziała z szelmowskim uśmiechem.

Jedna kobieta może być niebezpieczna, ale dwie działające

razem to niebezpieczeństwo murowane. Na wszelki wypadek odebrałem Jadzi komórkę, którą dostałem od Kasi. Spisek trzeba stłumić w zarodku.

\* \* \*

Długo próbowałem usnąć po wydarzeniach niedzieli. Nie, naprawdę nie zdawało mi się, że trup komisarza Zbierskiego wstał i chodzi po mieszkaniu. Trupa dawno nie było, a w mieszkaniu po pracy ekipy policyjnej został nieporządek taki sam jak zwykle u mnie. Na wszelki wypadek zamknąłem jednak drzwi między moją maleńką sypialnią a trochę większym pokojem dziennym.

Gdy w końcu usnąłem, natychmiast zacząłem śnić, lecz bardzo szybko się obudziłem. Wszystko pamiętałem. Najpierw tonąłem w bardzo zimnej wodzie. W zielonej sadzawce ocienionej przez wielkie drzewo. Pod drzewem stał okrągłolicy podkomisarz i śmiał się. Wodny wir wciąga mnie coraz bardziej, krzyczę „pomocy”, a on przypatruje mi się z głośnym śmiechem. Na jawie prawie nie okazywał emocji, a tu śmieje się pełną puchotawą gębą. Wreszcie jakoś udaje mi się wydostać z topieli. Wypełzam bez pomocy grubasa na brzeg. Leżę na ziemi, trzęsąc się z zimna i przerażenia. Koniec filmu, to znaczy snu.

Była ciepła czerwcową noc, ale przebudziłem się rzeczywiście zmarznięty. Koc leżał obok tapczanu, a ja nagi (tak sypiam latem). Miałem chyba dreszcze. Zapaliłem światło i poszukałem aspiryny, której zapasy mam zawsze przygotowane do leczenia kaca. Była czwarta rano.

„Która to godzina może być teraz w Australii?” — pomyślałem.

I nie zastanawiając się dłużej nad tym zadaniem arytmetyczno-geograficznym, otworzyłem swój elektroniczny notes i w zbiorze A odszukałem telefon Agaty.

Odebrała od razu.

— Cześć — powiedziałem. — Miałem sen.

Roześmiała się.

— To cały ty. Dzwonisz po trzech, nie, chyba po czterech latach, żeby mi opowiedzieć sen?

— Ale to ważne — i opowiedziałem Agacie całą senną fabułę.

— Oj, mój uroczy były kochanku. — W jej głosie brzmiały jakieś nowe tony. Chyba przybyło jej humoru. Wyraźnie się zmieniła. No cóż, w końcu przebywała na antypodach, gdzie ludzie chodzą do góry nogami.

— No więc wytłumacz mi mój sen.

— Naprawdę tego chcesz?

— Agatko, jeżeli dzwonię na koniec świata, to chyba naprawdę mi zależy. Wokół mnie dzieje się tyle dziwnych rzeczy, że zaczynam wierzyć w sny.

— Sen wyjaśni przede wszystkim to, co się dzieje w tobie...

— Więc powiedz mi, co się dzieje we mnie.

— Zimna woda to oczywiste, lubisz samego siebie. Wiem to i bez twojego snu. Ale potem zaczynają się, niestety, złe rzeczy. Zimno to w ogóle troski i nieprzyjemności. Tonać, nietrudno zgadnąć, oznacza trudną sytuację. Sadzawka to też przykrości. Zastanawia mnie ten śmiejący się grubas. Bo widzieć i słyszeć śmiejących się zapowiada również złe rzeczy. Jednym słowem same nieszczęścia. W co ty wdepnąłeś?

— Żebym to ja wiedział!

— A może zwiejesz z tej zimnej sadzawki pełnej nieszczęścia i przylecisz do mnie?

— A co powie na mnie twój nowy mąż?

— Nowy? Właśnie się rozwiodłam. Mój były pozostawił mi na otarcie łez ładny domek z basenem i pół miliona w banku. Tylko że domek pustawy. A są tu cztery sypialnie — zachęcała. — Każda z własną łazienką.

— Ze mną rozwiedziesz się jeszcze szybciej.

— Z tobą w ogóle nie będę brać ślubu, kocieczku.

To była rzeczywiście inna Agata. Oto co robi z człowieka chodzenie na głowie.

Nie powiedziałem Agacie „tak”, nie powiedziałem „nie”. Obiecałem zadzwonić wcześniej niż za cztery lata.

Gdy odłożyłem słuchawkę, pomyślałem, że jeżeli mnie również, tak jak Kasię, podsłuchują, to naprawdę uznany zostanę za szpiega, który nadaje szyfrem do Australii tajne przekazy. I z tą pocieszającą myślą wróciłem do łóżka. Tym razem usnąłem od razu i chyba nic mi się nie śniło.

## 9

Wystukałem numer, który dała mi Kasia i powiedziałem:

— Dobry wieczór. Czy zastałem Klarę? Właśnie przyleciałem ze Stanów i chciałbym jak najszybciej zobaczyć się z siostrą.

— Siostrą? — spytał męski głos.

— Czy pan jest mężem Klary? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie, zgodnie z zaplanowaną taktyką.

— A kim pan jest?

— Jestem bratem Klary. Co prawda przyrodnim. Mieliśmy wspólną mamusię — wyjaśniłem uprzejmie.

Starłem się mówić spokojnie, z odrobiną amerykańskiego akcentu.

— Nie przesadzaj z akcentem — uprzedziła mnie Kasia — on mieszka w Stanach dziesięć lat i podobno wcale nie nauczył się angielskiego.

— Proszę zawołać Klarę!

— Klary nie ma. Niech pan zadzwoni za dwie godziny.

— Za dwie godziny to ja już będę w Mieście — oznajmiłem. — Proszę zapowiedzieć Klarze moją wizytę. — Szybko odłożyłem słuchawkę.

Upał był wciąż upiorny, choć przecież słońce już prawie zaszło, albo to może tylko mnie było tak gorąco, bo pomyśl, z którym przyjechała do Warszawy Kasia, był wariacki. Właśnie zacząłem go realizować.

\* \* \*



Kasia dowiedziała się, że Klara Zameczek ma dwóch braci. Młodszy żyje spokojnie w Mieście, coś próbuje studiować i wydaje się zupełnie normalnym młodym człowiekiem. Z Klarą widuje się rzadko. Natomiast starszy, przyrodni brat, pod którego właśnie się podszyłem, wyjechał jakiś czas temu do Ameryki i słuch po nim zaginął.

— On powinien być mniej więcej w twoim wieku — powiedziała Kasia.

Milczałem.

— Oczywiście Klara pozna, że to ty, nie on. Ale przecież Klara sama cię odszukała. Chciała z tobą porozmawiać, tylko ktoś jej w tym przeszkodził. Więc zakładamy, że Klara cię nie wyda. Natomiast nikt inny z jej otoczenia Wiktora nigdy nie widział.

Nadal milczałem.

— Podoba ci się ten plan? Dotrzesz do Klary i może się dowiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

— Jesteś pewna, że ten Wiktor jest wciąż w Ameryce?

— Tak twierdzi matka obojga, z którą w wielkiej przyjaźni jest moja znajoma. Matka powinna wiedzieć.

— To może przez mamusię moglibyśmy dotrzeć do Klary?

— Pomyślałam o tym, ale od czasu, gdy Klara się ukrywa, matce nigdy nie pozwolono porozmawiać z córką. Albo jej nie ma, albo jest bardzo zajęta i proszą o telefon za godzinę lub dwie. Podobno mamusia w końcu się zdenerwowała i pojechała do willi Starucha, w której za jego życia bywała wielokrotnie. A tu siurpryza: ochroniarz, czy jak go tam nazwać, pilnujący domu, po prostu jej nie wpuścił.

— Mogę zrozumieć, że Klara obawia się konkurencji, tych młodych, co lubują się w obcinaniu członków, ale własnej mamusi? Boi się, że dostanie po pupie za zadawanie się z gangsterami?

— Myślę, że Klara ukrywa się gdzieś poza domem. To

jest oczywiście tajemnica, więc ci, co odbierają telefony, nie mogą po prostu powiedzieć: „Proszę zadzwonić pod numer taki a taki”. Tak samo ochroniarze, którzy pilnują domu, nie powiedzą nikomu, nawet matce, gdzie naprawdę jest Klara.

— Jeśli masz rację, to oni tego nawet nie wiedzą.

— Słusznie.

— Po co mam w takim razie jechać do willi Starucha? Przecież mnie też nie powiedzą gdzie jest Klara.

Kasia i na to miała odpowiedź. Ja, to znaczy Wiktor, nie przyjeżdżam do Polski ot tak sobie. Przyjeżdżam jako emisariusz amerykańskiego podziemia. A to powinno zainteresować gangsterów. Żyjemy przecież w czasach globalizacji i liczą się przede wszystkim kontakty międzynarodowe.

„I ty będziesz udawać wysłannika amerykańskiego gangu” — zaśmiał się szyderczo mój głos wewnętrzny.

„Mówi się »amerykańskiego łącznika«, gapo” — odpowiedziałem.

„Nie masz pojęcia o mafii w Ameryce, nigdy nie byłeś za oceanem”...

„Sądysz, że ci bandyci od Starucha mają pojęcie?”

Kontra głosu wewnętrznego, zamiast mnie wystraszyć i odwieść od wariackiego planu Kasi, spowodowała skutek odwrotny. Przypomniałem sobie, że Mario Puzo nie znał wcale mafii. A przecież wizja, którą wykreował w *Ojcu chrzestnym*, zawładnęła milionami czytelników, a potem również widzów filmów Coppoli. Dziś nikt nie wyobraża sobie włoskiej mafii w Stanach inaczej. Podobno nawet polscy gangsterzy naśladowują filmowe wzorce.

Oto co znaczy siła artysty. Więc ja mam być raczej artystą niż gangsterem. A to na pewno potrafię — przekonywałem sam siebie.

Kasia spokojnie obserwowała moją walkę wewnętrzną. Takie są kobiety. Wysyłają mężczyznę do obozu wroga, być

może na śmierć, i robią to bez mrugnięcia okiem. Z zimną krwią. Choćby jedno ciepłe słowo...

— Wiem, że plan jest ryzykowny — w końcu przerwała moje rozterki.

— O tym nie myślę — powiedziałem głosem męznego rycerza — zastanawiam się, co dzięki niemu zyskamy. Chyba że rzeczywiście zamierzasz w drugim etapie nawiązać współpracę z gangsterami. Jaki biznes wybierasz: narkotyki czy może kontrolę agencji towarzyskich w Mieście, a potem w stolicy? Mnie interesuje raczej to drugie.

— Konrad — Kasia nie odpowiedziała na moje pytanie, tylko kontynuowała własny wywód — wiem, że to ty masz zaryzykować, nie ja. Ale Klara nie ma przyrodniej siostry w Ameryce, tylko brata.

— Szkoda. Zdecydowanie wolę siostry.

— Bez ryzyka nie posuniemy się naprzód. Gang Klary okopał się i czeka na rozwój wypadków. Żaden z informatorów nie umiał mi powiedzieć, o co w tej chwili chodzi. Czy rządzi Klara czy Profesor? Czy Klara ukrywa się przed Bandą Młodych, czy może przed swoimi gangsterami? A może przed jednymi i drugimi? I jest jeszcze ten tajemniczy posag Klary. Zdobył go podobno Profesor. A przecież, jeśli nazwa jest trafna, to Staruch zostawił go swej kochance. Więc może Klarze Zameczek chodzi o odzyskanie tego skarbu?

— Więc mam odnaleźć Klarę, dowiedzieć się, o co chodzi gangsterom, a potem odzyskać dla niej posag? Tylko tyle? Łatwizna. Czy nie masz dla mnie jakiegoś poważniejszego zadania?

— W Mieście nikt cię nie zna. Brata muszą dopuścić do siostry, zwłaszcza że ten brat ma coś cennego do zaoferowania gangowi, współpracę z największą mafią świata.

Tak mniej więcej wyglądały nasze przedpołudniowe rozmowy. Siedzieliśmy z Kasią w piwnym ogródku, w którym poznałem Klarę (bo gdzieżby indziej), mój anioł z biustem donosił kolejne szklance i było bardzo przyjemnie. Oczywiście

do chwili, w której przyszło skończyć teoretyzowanie i przystąpić do czynu.

Musieliśmy się rozstać. Nie mogliśmy przecież przyjechać do Miasta razem, corsą Kasi. Dziennikarka jest postacią znaną w Mieście, być może znajduje się pod obserwacją policji. Postanowiłem zainwestować z pieniędzy pożyczonych od Pawła i pojechać taksówką. To taki pomysł w stylu bogatego faceta z Ameryki, dla którego wszystko w Polsce jest tanie.

Wiedziałem o Wiktorze dużo. Że lubił pierogi w każdej postaci. Że miał silną głowę, choć oczywiście przed wyjazdem z Polski pijał głównie nasz narodowy trunek, ale w Ameryce mógł się przestawić na bourbona, którego zdecydowanie wolę od żytniej czy wyborowej, chociaż jeszcze wyżej stawiam szkocką, choćby Jasia Wędrawniczka, najlepiej w czarnym wydaniu. Że próbował trochę boksować w miejscowym klubie. Że wyrzucili go z liceum (niestety, Kasi nie udało się dowiedzieć, za co) i że skończył technikum samochodowe.

Pierogi mogę jeść, nawet lubię, co do alkoholu — j u ż wiecie, natomiast boks i konstrukcja samochodu to dla mnie dziedziny zupełnie obce. Mam prawo jazdy i kiedyś byłem — co prawda krótko — dumnym posiadaczem czterokołowego pojazdu, który został przy mojej byłej, ale co ma taki benzynowy potwór pod maską nigdy mnie nie interesowało. Tak samo, jak nie obchodzi mnie, co siedzi w komputerze, telewizorze albo telefonie komórkowym. Niech tam siedzą sobie nawet krasnoludki, byle urządzenie działało.

Kasia odjechała, a ja poszedłem do domu. Zapukałem do Jadzi i powiedziałem jej, że znów udaję się do Miasta. Poprosiłem też, żeby w razie czego kryła mnie przed policją. Znakońnicie to zresztą potrafi. Podkomisarz o krągłym licu nalegał, abym go uprzedził, gdybym na przykład postanowił wyjechać na wakacyjne wojaże. Nie wybierałem się co prawda na wakacje, ale mój wyjazd mógł trochę się przedłużyć. Nie zamierzałem jednak o niczym informować policji.

W szafie znalazłem koszulkę polo z naszytą malutką flagą amerykańską. Dostałem ją od kórejś z narzeczonych i chyba nigdy jeszcze nie nosiłem. „To będzie kostium, w którym wkroczę na scenę — pomyślałem. — Liczy się pierwsze wrażenie”. Wyciągnąłem najlepszą z posiadanych walizek i wrzuciłem do niej trochę rzeczy. Nie przejmowałem się, czy wyglądają na amerykańskie. Jeśli będą sprawdzać, co w niej mam, to znaczy, że moja misja jest i tak już przegrana.

Znalazłem też butelkę po whisky, co prawda kanadyjskiej, i niestety pustą, ale miała służyć jako rekwizyt. „A może jednak coś kupię w sklepie po drodze i napełnię butelkę — pomyślałem. — Rekwizyt będzie bardziej wiarygodny, a ja będę miał z tego wszystkiego jakąś małą przyjemność”.

„Ty wstrętny alkoholiku!” — przebudził się z letargu mój głos wewnętrzny.

„Chyba nie myślisz, że to wszystko może się udać na trzeźwo?”

„Myślę, że nie może. Ani na trzeźwo, ani po pijanemu”.

Nastawiałem się na wielką improwizację. Żadnych gotowców, żadnych przygotowanych kwestii. Będę jedynie inteligentnie reagował na rozwój wypadków. To wszystko.

Miałem też plan awaryjny, o którym nie wspomniałem ani słowem Kasi. Jeśli coś pójdzie nie tak, zwiewam najszybciej, jak to możliwe. I nigdy więcej nie dam się namówić na żadne podobne pomysły. Nawet jeśli ich autorką będzie najślicznieszka dziennikarka w Mieście.

Chwyciłem walizkę, zamknąłem drzwi do mieszkania (żeby nie włamał się do mnie jakiś kolejny policyjny trup) i poszedłem do sklepu trzy ulice dalej. Musiałem przecież nabyć jakiś trunek udający bourbona. Po drodze zadzwoniłem na numer willi Starucha.

Znów śniłem ten sam sen. Lodowata sadzawka, w której tonę. Pogrążam się coraz bardziej w zielonej topieli. Zaczyna mi brakować powietrza i za chwilę zachłystnę się wodą. Wiem już, że nie wyjdę żywy z tej przygody. Miała rację Agata. Zimna woda to przepowiednia nieszczęścia. Żałowałem tylko, że nie opróżniłem do końca butelki po kanadyjskiej whisky. Byłoby mi może cieplej i radośniej. Na brzegu stoi niewyraźna postać, przyglądając mi się z chłodnym spokojem. W pierwszej chwili postać wygląda na fałszywego Zbierskiego o wyłupiastych oczach. Ale nie, to nie Zbierski. Ani fałszywy, ani prawdziwy. Nie jest to też grubasek o rumianej buzi, jak w poprzednim śnie. Twarz obserwującego mnie człowieka migoce i rozmywa się, jakby to było tylko odbicie w wodzie sadzawki. Widzę okulary w złotej oprawce. Za nimi oczy pozbawione wyrazu. Zimne, martwe. I elegancka, wypielęgnowana twarz. Jakby pokryta białym pudrem. Wygląda niby maska. Co za czort? Belzebub czy Mefistofeles? Już nie zdążę zapytać. Czy jej właściciel ma diabelski ogon? Szkoda, że tego też nie zdążę sprawdzić — to chyba moja ostatnia myśl. Tracę przytomność i powoli opadam na dno. Jest miękkie i przytulne. Co za ulga! Koszmarny sen się skończył. Cisza, spokój.

— Obudź się! No już, nie wolno spać.

Ktoś szarpał mną i potrząsał.

— No już, obudź się, człowieku!

„Chyba żyjemy”. — Dotarł do mnie słaby głosik wewnętrzny.

„Co?”

„Mówię, że chyba żyjemy” — powtórzył już silniejszy mój głos wewnętrzny.

Poruszyłem ręką, potem drugą. Nadal nie otwierałem oczu. Poczułem, że ktoś próbuje mi coś włożyć do ust. I nagle spłynęła do nich jakaś słodka kropla. Rozpoznałem od razu. To znakomita pięciogwiazdkowa metaxa. Ta, która miała udawać bourbona. Zauważyłem wysmukłą butelkę świetnej greckiej brandy w sklepie koło mojego domu, więc natychmiast kupiłem. Po przelaniu do butelki po kanadyjskiej whisky smakowała nadal dobrze. Jakże dawno nie piłem tak ożywczego trunku. Otworzyłem szerzej usta i spijałem kropla po kropli ten nektar życia.

Podniosłem powieki.

— Powoli, powoli — powiedział znajomy głos, ten sam, który przed chwilą zwywał mnie do przebudzenia.

Nade mną nachylał się drągal. Widziałem jego sylwetkę w świetle księżyca odbijającym się od powierzchni wody. Leżałem na brzegu jakiegoś stawu, cały mokry, a obok stał równie mokry wysoki mężczyzna. Z jego koszuli i spodni kapały wciąż krople. Od razu wiedziałem, że to ten sam, który śledził mnie w dniu śmierci Jacka, a dzień wcześniej siedział na ławeczce obok piwnego ogródka, w którym poznałem Klarę Zameczek.

— Wreszcie odzyskał pan przytomność. Cieszę się — powiedział.

— Co się stało? Skąd ja się tu wzięłem?

— Nic pan nie pamięta? Wrzucili pana nieprzytomnego do wody, a na brzegu zostawili butelkę. Widziałem, jak ją troskliwie nieśli, opakowaną w bibułkę.

„Widać cenią dobre trunki” — przeleciała mi przez głowę myśl.

— Chodziło na pewno o to, żeby zostały pańskie odciski palców. Prosta sprawa: upił się pan i wpadł do wody. To

miało wyglądać na nieszczęśliwy wypadek. I w tym pańskie szczęście.

— Szczęście? Że mnie wrzucili nieprzytomnego do wody?

— Nie. Że chcieli upozorować wypadek. Inaczej to by pana zastrzelili albo wrzucili w jakimś worku z kamieniami, a wtedy mógłbym nie zdążyć. Zanim bym pana wyciągnął, już by było po panu.

— To pan mnie wyciągnął?

— Ja. Musiałem poczekać, aż odjadą. I strasznie się bałem, że będzie za późno.

„Uratowała mnie metaxa — stwierdziłem — dzięki niej zachowałem troszkę ciepła w organizmie, a potem odzyskałem przytomność”...

„Dość wątpliwa teoria” — wtrącił się mój głos wewnętrzny. Już wracał mu wigor i pewność siebie.

— Niechże się i pan napije — zaproponowałem drażalowi — jest pan cały mokry i pewnie jest panu zimno.

— Ale ja prowadzę.

— Kroplę chyba można.

Drażał wziął ode mnie butelkę i wypił odrobinę.

— Bardzo dobre — ocenił — co to takiego? Jakiś bimber?

— Co też pan mówi? To grecka metaxa.

— Nigdy wcześniej nie piłem.

— Namawiam. Chociaż jeszcze lepiej smakuje w Grecji, wieczorem w tawernie nad brzegiem morza.

Drażał wypił znów łyżeczek. Otarł ręką jasne wąsy. Wyglądało na to, że polubi nowy trunk.

— Ale skąd się pan tu wziął? — Rozejrzałem się wokół.

Światła najbliższych domów widniały w odległości co najmniej kilkudziesięciu metrów. Gdzieś niedaleko i trochę wyżej przebiegała droga, bo raz czy dwa usłyszałem odgłos samochodu. Oddzielały nas od niej gęste krzaki. Ja nie widziałem drogi i nie sądzę, żeby z przejeżdżającego samochodu można było dostrzec cokolwiek nad stawem w dole.



— Przyjechałem za panem.

— Nie rozumiem.

— Byłem pod willą tych gangsterów, gdy pana wynieśli i wrzucili do samochodu. I po prostu pojechałem za tym samochodem. Ukryłem się w krzakach i widziałem, jak wrzucili pana do wody. I gdy tylko odjechali, zaraz pana wyciągnąłem.

— Uratował mi pan życie.

Dragał nic nie powiedział. Nie nadstawił piersi po ordery, a na jego twarzy nie zauważyłem (jeśli w mroku rozjaśnianym tylko przez światło księżyca można było coś w ogóle zobaczyć) oznak dumy. Sprawiał wrażenie zwykłego dzielnego obywatela, który po prostu spełnił swój obowiązek. Spośród innych zwykłych dzielnych obywateli wyróżniał go jedynie ponadprzeciętny wzrost.

— A wie pan — powiedział po chwili — że pana komórka działa. Wyleciała z pańskiej kieszeni, kiedy wyciągałem pana na brzeg. Nie zauważyłem jej po ciemku i prawie wdeptałem w ziemię, a ona wciąż działa.

— Skąd pan wie?

— Bo gdy pan już odzyskiwał przytomność, zadzwoniłem na jedyny numer, który tam jest zapisany. Ta pani tu jedzie.

— Kasia?

— Powinna być za chwilę. Chyba dobrze opisałem to miejsce? Może wyjdę na drogę, żeby dać jej znak, że to tu. A pan niech jeszcze trochę poleży. Nie mam niestety koca, żeby pana okryć.

Dragał wspiął się ścieżką między krzakami. Wysączyłem ostatnie krople metaxy. Potem wstałem i choć kręciło mi się w głowie, ruszyłem w ślad za dragałem ścieżką prowadzącą do drogi. Przebycie kilkunastu metrów zabrało mi sporo czasu. Wreszcie ubrudzony i ociekający potem, który wsiąkał w i tak już mokre ubranie, zdobyłem szczyt. Stałem na skraju drogi. Trzymając się pnia jakiegoś drzewka, odpoczywałem.

Popatrzyłem wokół. Dragał znikł. Po prostu zjawił się wte-

dy, gdy był potrzebny, wyciągnął mnie z topieli i nie czekając na podziękowanie, rozplątał w ciemnościach nocy.

Uczepionego drzewka, zdaje się, że znów trochę nieprzytomnego, znalazła mnie Kasia.

Następne kilkanaście godzin to czarna dziura w mojej świadomości. Pytałem o nie mój głos wewnętrzny, ale on również je mocno przespał. Obudziłem się w łóżku Kasi. Byłem niemal nagi, przykryty dwoma ciepłymi kocami. Czy to Kasia mnie rozebrała i ułożyła do snu? Nie potrafiłem sobie przypomnieć.

Na stoliku przy łóżku leżał mój zegarek, telefon komórkowy i krótki list od Kasi. Pisała, że musi wyjść, wróci koło trzeciej. Mam sobie zrobić kawę i śniadanie. Popatrzyłem na zegarek. Śniadanie o drugiej po południu? Pora chyba na wczesny obiad. Kawy jednak nie mogę pominąć. Na kuchence stał ekspres bardzo podobny do mojego. Wsypałem pełny zbiorniczek pachnącego proszku i już od samego zapachu dobrej kawy poczułem się lepiej. Gdy ekspres furczał na gazie, ja próbowałem zrekonstruować wydarzenia. Będę je przecież musiał opowiedzieć Kasi. Niech wie, na jakie niebezpieczeństwa mnie naraziła.

Warszawski taksówkarz z trudem znalazł willę Starucha. Ja, choć spędziłem w Mieście dzieciństwo i młodość, słabo znam jego obrzeża. Zresztą w Mieście wiele się zmieniło, od nazw ulic zaczynając. Co prawda z ulicami mam najłatwiej: wróciły do nazw, których i tak mieszkańcy Miasta używali w czasach mojego dzieciństwa, choć na tabliczkach widniały inne. W końcu zajechaliśmy mercedesem w kolorze jasnego budyniu przed dom Starucha. Poprosiłem taksówkarza, żeby co najmniej godzinę poczekał. Potem może wracać. Wysoka cena umowna jazdy z Warszawy do Miasta uwzględniała moje fanaberie. Pomyślałem, że widok samochodu przed domem może troszkę ochłodzić gangsterów. Taksówkarz to przecież świadek, który wie, że przywiózł mnie do tego wła-

śnie domu. Na wszelki wypadek już w czasie jazdy wysłałem Kasi SMS-a, podając dane taksówki.

Byłem przygotowany na szturmowanie fortecy, a tu wpuszczono mnie tak gładko, że aż się zdziwiłem. Więc jakże to, musimi nie chcieli dopuścić do Klary, a braciszka natychmiast?

Kawa była już gotowa. „Z wlewką byłaby skuteczniejsza. Nie ma nic lepszego niż kawa z wlewką dla człowieka, który musi się pozbierać po ciężkich przejściach” — pomyślałem, ale nie chciałem grzebać w barku mojej szkolnej koleżanki. Usiadłem zatem z dużym kubkiem mocnej, gorącej kawy i w stroju cokolwiek (a mówiąc ściślej — zupełnie) niekompletnym, to znaczy jedynie w slipkach, próbowałem dalej porządkować minione wydarzenia. I tak mnie zastała Kasia.

Dostałem jakąś wielką koszulę do okrycia nagości, choć Kasia proponowała, żebym może rozpoczął od prysznica.

— Sądzę, że bardziej orzeźwiająco podziała na mnie kropelka... to jest wlewka.

— Na czczo? Nie ma mowy. Ty dopiero co byłeś niemal na tamtym świecie.

— Ale już wróciłem i jestem, jeśli się nie mylę, na tym. Chyba że to dalszy ciąg snu. Na ziemi nie obowiązuje abstenencja jak w niebie.

— Konrad, proszę cię, zjedz coś najpierw. Może usmażę ci jajka?

— Wiesz, już chyba pora na obiad.

— Słusznie. Nie zdążyłam nic kupić, może zamówimy pizzę? Mam czerwone wytrawne wino, będzie pasować, a ty dostaniesz porcję swoich procentów.

— Ty mnie chyba bierzesz za alkoholika — obruszyłem się.

— Jakże bym śmiała — powiedziała Kasia.

Wpatrywała się we mnie jak w bohatera. Co prawda cokolwiek nagiego i trochę sponiewieranego, ale mimo to bohatera. A może tylko tak mi się wydawało, bo Kasia to istota

dziwna. Rozmawia z tobą poważnie, dyskutuje, a potem przywali z grubej rury. Zapamiętałem dobrze naszą niedawną rozmowę o moich sukcesach zawodowych, w której nagle się okazało, że ja sobie tylko skaczę po bezpiecznych temacikach.

— To ja dzwonię po pizzę, a ty pod prysznic. Czy może być pepperoni?

— Może być, byle duża.

Moczyłem się przez dłuższą chwilę, polewając się na przemian zimną i gorącą wodą (tak robią słynni detektywi w powieściach, gdy próbują się doprowadzić do stanu używalności po przejściach). Gdy wyszedłem z łazienki, czekały na mnie wyczyszczone i odprasowane spodnie oraz wyprana, pachnąca koszulka z amerykańską flagą.

„Co to znaczy kobieta w domu” — pomyślałem z lekką nostalgią za minionymi czasami.

— Otwórz wino — powiedziała Kasia — niech trochę pooddycha.

„Zna się dziewczyna na rzeczy” — mój nostalgiczny nastrój zaczął się utrwalać.

Kasia popatrzyła na mnie i powiedziała:

— Teraz wreszcie wyglądasz jak odświeżony bohater. Niestety, nie mam maszynki do golenia.

— Nie szkodzi, zapuszczę brodę. Tajny agent powinien mieć brodę.

Okazało się, że wino to chianti, w sam raz do pizzy. Lubię chianti tak jak większość włoskich win. Są tańsze od francuskich, to znaczy relacja ceny do wartości jest lepsza. Za dwadzieścia kilka złotych w supermarkecie mogę kupić wino z Italii, które mojemu niezbyt wyrafinowanemu podniebieniu wydaje się niebiańskie. Francuskie podobnej jakości kosztuje prawie dwa razy więcej. Zresztą z winami jest tak jak z kobietami. Spotykasz blondynkę w słomkowym kapeluszu, rozmawiasz z nią chwilę i coś zaczyna iskrzyć. Wszystko zależy od nastroju, od momentu, od rozmaitych dodatkowych ingredien-

cji. Innym razem ta sama blondynka, i to w kapeluszu o dwukrotnie większej średnicy, nie wzbudzi w tobie ani krztyny zainteresowania.

Kiedys wracałem z Rzymu i na lotnisku w sklepie wolnocłowym postanowiłem wydać ostatnie liry, które mi zostały. Wybrałem białe wytrawne wino, które kosztowało dokładnie tyle, ile miałem pieniędzy. Nazywało się orvieto classico. Wypiłem je z Agatą i okazało się świetne. Potem co rusz natrafiałem w polskich sklepach na to wino i zawsze je kupowałem. Nigdy jednak nie było już tak dobre jak tamto pierwsze, kupione przypadkowo na Fiumicino w Rzymie. Nieraz myślę, że może to nie tylko wino było wspaniałe, ale również osoba, z którą je piłem i okoliczności, w których się to działo.

I druga historyjka. Tym razem o chianti. Mój znajomy wydał kiedyś wielkie przyjęcie po powrocie z dłuższego pobytu w Sztokholmie. Dostarczył mnóstwo wysokiej klasy alkoholu. Pito oczywiście głównie absoluta. Ale nie ja. Od białej wódki, nawet dobrej, wolę whisky, koniak, wino. Znajomy przywiózł też ze Sztokholmu wino, właśnie chianti. I ja je — chyba sam jeden na przyjęciu — piłem. To wino, które odbyło długą drogę, z Toskanii przez Szwecję do Polski, okazało się najlepszym chianti, jakiego kiedykolwiek próbowałem. Opróżniłem samodzielnie w nocy z piątku na sobotę półtoralitrową butlę w charakterystycznej pleciance, i wcale nie poszedłem spać pijany jak większość uczestników imprezy.

A teraz jedliśmy z Kasią pizzę, piliśmy słoneczne chianti, i poczułem, że jestem jednak żywy. Być żywym to miłe uczucie, mówię wam. Trzeba — zdaje się — dostać mocno w głowę, a potem niemal utopić się w stawie, żeby zrozumieć, jak wielką przyjemnością jest jedzenie pizzy pepperoni popijanej czerwonym winem z Toskanii. Wino w wielkich kieliszkach smakowało wybornie, śliczna ruda Kasia uśmiechała się do mnie zielonymi oczami, mój głos wewnętrzny milczał — czyż można sobie wyobrazić milsze popołudnie? Nawet upału nie

czułem, odświeżony niedawnym prysznicem. Moja radość życia po prostu kwitła.

— Czy napijemy się jeszcze kawy? — zapytała Kasia.

— Może za chwilę... Mamy jeszcze trochę wina — odrzekłem.

Kasia wyraźnie się niecierpliwiła. Nie mogła, biedaczka, doczekać się opowieści o wyczynach swego bohatera.

— Czy chcesz, żebym ci opowiedział, co się zdarzyło w nocy? — zapytałem niewinnie.

— Konrad, nie dręcz mnie. Ja przecież czekam na twoją opowieść od chwili, gdy znalazłam cię nieprzytomnego w nocy, nad tą upiorną glinianką.

Zacząłem więc powoli mówić. O tym, że dostałem się bez kłopotu do willi, gdzie zaprowadzono mnie do niewielkiego gabineczku.

— Kto cię zaprowadził?

— Taki typowy żołnierz mafii. Młody, ogolony niemal na tyso, gruby kark, tatuaże, no wiesz... Nic prawie nie mówił.

— I co?

— No więc sobie siedzę i czekam. Myślę, że zaraz zjawi się Klara. Jeśli będzie sama, w porządku, ale jeśli z kimś, muszę odpowiednio zagadać sytuację. Żeby mnie nie zdradziła. Planuję więc, że rzucę się na nią z uściskami i okrzykami w rodzaju: „Jakże ty wypiękniałaś, siostrzyczko!” „A twój brat, Wiktor, jednak postarzał się strasznie. Czyż nie? Przyjrzyj mi się dobrze”.

— Przyszła?

— Niestety, nie. Zamiast niej po dwóch kwadransach wchodzi elegancki facecik w moim mniej więcej wieku, w złotych okularkach, z twarzą zimnego mordercy. Miałem tę twarz cały czas przed oczami, gdy się topiłem.

— To chyba Profesor.

— Być może. Dla mnie raczej diabeł. Jestem przekonany, że to on kazał mnie zabić i upozorować wypadek.

— I co dalej? — Kasia nie mogła usiedzieć spokojnie.

— Ja rżnę głupa. Najpierw go biorę za męża Klary. Mówię, że dotarły do mnie wieści, iż Klara wyszła za mąż za poważnego biznesmena i że ja w Ameryce prowadzę podobne interesy. Ale właściwie czekam na niego. Żeby wreszcie coś powiedział, dał mi jakiś punkt zaczepienia.

— A on?

— A on nic. Pozwala mi się wygadać, nic nie mówi... Pali sobie cygaro. Mnie też proponuje, ale odmawiam. I kiedy coraz bardziej zmęczony klecę z trudem kolejne zdania, on nagle mi przerywa: „Piękna historia, panie redaktorze!”.

— Co?!

— Od początku wiedział, kim jestem.

— Skąd? Przecież to był mój pomysł i wiedzieliśmy o nim tylko we dwoje.

— A zatem, jeśli to nie ty mnie wsypałaś, pozostaje ewentualność, że po moim telefonie z Warszawy zdążyli w ciągu dwóch godzin ustalić, kto dzwonił.

— To niemożliwe. Dzwoniłeś przecież z automatu?

— Oczywiście.

— Więc to odpada.

— Myślałem jeszcze o tym zdjęciu, które ktoś mi zrobił pod twoim domem. Jeśli byli to ludzie Profesora, to mogli ustalić, kto był u ciebie. Mieli moją podobiznę i Profesor łatwo mnie rozpoznał.

— Ale oni nie posługują się takimi metodami. Zdjęcia, ustalanie kontaktów... Oni po prostu strzelają.

— No wiesz, mnie chcieli unieszkodliwić w sposób, który miał sprawić wrażenie, że się sam utopiłem, choć przecież po prostu mogli mnie zastrzelić. Mieli mnie, bezbronnego, w domu pełnym osiłek z grubymi karkami i wąskimi czółkami.

— To ja cię tam posłałam. Nie wybaczę sobie nigdy.

Kasia pełna wyrzutów była jeszcze ładniejsza od Kasi pełnej niebezpiecznych pomysłów, więc powiedziałem:

— Nie myśl już o tym. Na szczęście wyszedłem z tego. I musimy zmienić ocenę tych gangsterów. Zwłaszcza Profesora. To jest diabelski cwaniak, bardzo inteligentny, a więc tym bardziej niebezpieczny przeciwnik. Uratowało mnie to, że ludzie, którymi kieruje, to półgłówki. Dali się podejść drągalowi jak dzieci.

Kasia zażądała szczegółowej relacji o drągalu. Zgodziła się ze mną, że to przedziwna persona objawiająca się w różnych zaskakujących miejscach. Był obok piwnego ogródka, gdy rozmawiałem z Klarą, potem śledził mnie, gdy uciekałem po zabójstwie Jacka, a teraz znalazł się w odpowiednim miejscu, żeby mi uratować życie.

— A więc plan podejścia gangsterów nie wypalił — podsumowałem. — Nadal nic nie wiemy, a nawet zagadek jest więcej. Nie wiemy, gdzie jest Klara, kim jest drągal i w ogóle, o co w tym wszystkim chodzi. Na domiar złego straciłem najlepszą walizkę i kilka porządných koszul.

— Ale uratowałeś życie.



Wieczorem wróciłem pociągiem do Warszawy i poszedłem prosto do domu. Nawet nie zapukałem po drodze do Jadzi. „Jeżeli ma ochotę na rozmowę, niech sama przyjdzie — pomyślałem. — Na pewno już usłyszała, że wróciłem”.

Mój pełen euforii nastrój minął. Oczywiście, nadal byłem zadowolony, że żyję, ale przecież żyję lepiej lub gorzej od prawie czterdziestu lat i nie mogę każdej chwili życia poświęcać na kontemplowanie faktu, że żyję. Żyję i już.

„Wpadłeś, kochaniutki, w typową dla ciebie huśtawkę nastrojów. To na górze, to za chwilę na dole” — stwierdził głos wewnętrzny.

„Nie mów do mnie »kochaniutki«. Wiesz, że nie znoszę tego określenia”.

„Skąd mam wiedzieć? Nigdy mi nie mówiłeś”.

„Jesteś moim własnym głosem wewnętrznym i powinieneś wiedzieć dokładnie tyle co ja. A teraz wyłącz się”.

Głos umilkł. Może mnie choć raz posłuchał, a może się obraził. Nie zamierzałem go przeproszać.

Miałem dość całej tej historii. Dość poszukiwań Klary, dość zastanawiania się, o co chodzi gangsterom z Miasta, nawet dość śledztwa prowadzonego wspólnie z zielonooką Kasią. Nie chciało mi się spać, bo przecież spałem dziś do drugiej po południu. I nawet nie chciało mi się pić. Zresztą nie miałem w domu ani kropli alkoholu. Zaparzyłem więc czarną herbatę, włączyłem najnowszą płytę Cohena i usiadłem

w moim wygodnym fotelu. Musiałem to wszystko jakoś odreagować.

Mam jeszcze sporo pieniędzy z pożyczki Pawła, które przeznornie zostawiłem w domu, jadąc do Miasta. Zresztą gangsterzy nie zabrali mi ani złotówki. Chodziło im przecież o to, żeby wszystko wyglądało na wypadek. Mam więc pieniądze na najbliższe dni, a może nawet tygodnie. Mogę jutro znów schronić się pod opiekuńcze skrzydła anioła z Chmielnej. Klara zna ten adres. Jak chce, niech się sama pofatyguje. Ja kończę z poszukiwaniami blondynki w słomkowym kapeluszu!

Leniwe rozmyślenia przerwał mi dzwonek telefonu.

„Nie, nie chcę. Nie odbieram żadnych telefonów” — pomyślałem w pierwszym odruchu. Po chwili jednak powlokłem się w stronę natrętnego urzędnika, które nie przestawało hałasować.

— Nie śpi pan jeszcze, redaktorze? — zapytał słodkim głosem podkomisarz o krągłym licu.

— Chyba nie — odpowiedziałem.

— Czy pan słucha Cohena, dobrze słyszę?

— Dobrze pan słyszy.

— To mój ulubiony pieśniarz — wyznał grubasek.

Milczałem. Nie zamierzałem rozmawiać z policją o Cohenie.

— Milczący pan dzisiaj — skomentował słodko podkomisarz. Nie wiem, co mu się stało, ale głos miał lepiący się niby syrop.

— Spać mi się chce — skłamałem.

— A czy nie wytrzymałby pan, redaktorze, jeszcze z godzinkę bez snu? Chciałbym z panem porozmawiać. Nawet zamierzam się do pana wprosić. Chyba że pan woli odłożyć rozmowę na rano. Wtedy zapraszam do nas.

— Niech pan przyjedzie. Zaparzę świeżą herbatę.

Zjawił się po kilkunastu minutach. Słodziutki, pachnący jakąś mocną wodą kolońską, świeżutki, jakby upał się go nie

imał. Chyba że przespał cały gorący dzień w zaciemnionym i chłodnym pomieszczeniu.

Posłuchaliśmy przez chwilę wspólnie w milczeniu jednej z dziesięciu nowych piosenek Cohena, grubasek spróbował herbaty i pokiwał głową z uznaniem:

— Świetną herbatę pan robi.

— Choć pije pan gorzką herbatę, co pochwalam, to w ogóle jest pan tak dziś słodki, że spodziewam się najgorszych rzeczy. Czy zamierza pan mnie tylko aresztować czy od razu, bez procesu, wysłać na krzesło elektryczne?

Grubasek się roześmiał. Chyba pierwszy raz w czasie naszej krótkiej znajomości.

— Nic z tych rzeczy. Chciałbym tylko wyjaśnić pewną sprawę.

Milczałem. Chce wyjaśnić, to niech wyjaśnia, a potem może sobie iść.

— Pańska historia, którą mi pan przedstawił, zaczęła się od rozmowy z Klarą Zameczek. Czy tak?

— Tak, właśnie tak.

— Nawiasem mówiąc, karta bankowa, którą od pana otrzymałem, rzeczywiście należała do Klary Zameczek. Konto zostało jednak wyczyszczone co do grosza. A jeszcze niedawno była tam ładna sumka.

— Czy pan o to podejrzewa mnie?

— Nie. O to pana nie podejrzewam.

— Więc o co? I co chce pan wyjaśnić?

— Kiedy pan spotkał panią Zameczek?

— Jak mówiłem, w czwartek.

— W ostatni czwartek, pięć dni temu?

— Dokładnie — jak się obecnie mówi po polsku.

— Exactly, powiada pan.

Podkomisarz wzbudził mój podziw. Jako dziennikarz jestem wyczulony na dziwactwa i brzydkie naleciałości językowe, ale on — glina — wykazał tak zwaną świadomość języ-

kową godną profesora Jana Miodka. Wiedział, skąd się wzięło nieznosnie nadużywane przez rodaków słówko „dokładnie”.

Grubasek zamilkł, a mnie nie chciało się wysilać, by podtrzymywać rozmowę.

— I nigdy wcześniej jej pan nie spotkał?

— Nie. Przynajmniej na trzeźwo i świadomie.

— Więc muszę panu powiedzieć, że odnaleziono ciało Klary Zameczek. Lekarz sądowy stwierdził po wstępnych oględzinach, że zginęła kilka tygodni temu od ran postrzałowych. Może się mylić o kilka dni, ale nie tygodni. Jej ciało wrzucono do glinianki, wie pan, takiego płytkiego stawu w okolicach Miasta. Dziś o świcie ciało znaleźli bezdomni, którzy gdzieś w pobliżu koczują i przyszli tam się umyć.

Nie byłem w stanie wykrztusić słowa.

— Dlaczego pan nic nie mówi?

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. To jest najbardziej absurdalna historia, jaka mi się zdarzyła w życiu.

— Więc kiedy pan spotkał panią Zameczek?

— W ostatni czwartek.

— W ostatni czwartek to pani Zameczek od kilku tygodni leżała nieżywa na dnie stawu. Chyba że rozmawiał pan z duchem.

— Być może. Mnie się od kilku dni wydaje, jakbym rzeczywiście żył w jakimś nierealnym świecie. Duch, mówi pan? To bardzo możliwe.

— Mam wrażenie, że nie mówi pan całej prawdy.

— To znaczy? Co pan ma na myśli?

— Chcę się z panem podzielić kilkoma obserwacjami. Mogę? Czy woli pan już iść spać?

— Wał pan, komisarzy, z tym, że uprzedzam, iż wierzę tylko w zwykłe duchy. W wilkołaki i wampiry już nie.

— A może pan najpierw jeszcze mi powie, co pan robił dziś w nocy?

— W nocy? Trochę piłem, potem rozmawiałem, kapałem

się też, choć nie lubię, w zimnej wodzie i wreszcie bardzo mocno spałem.

— I to wszystko tu, w Warszawie?

— Panie komisarzu, przecież prosił pan, żebym nie wyjechał na wakacje bez zawiadomienia, więc moja ukochana Grecja odpadła.

— Oj, jak zręcznie pan kręci — powiedział pucołowaty grubasek — jestem pełen uznania.

— Ależ w tym, co powiedziałem, nie ma słowa kłamstwa.

— Wierzę, oczywiście wierzę.

— Więc?

— No dobrze. Proszę posłuchać. Opowiem panu o kilku zdarzeniach, które zaobserwowali moi koledzy w Mieście. Może panu uda się je połączyć w jakąś rozumną całość.

— Spróbuję, choć zapewne przecenia pan moje umiejętności.

— Otóż musi pan wiedzieć, że od pewnego czasu moi koledzy z Miasta obserwują dyskretnie pewną elegancką willę. W tej willi, należącej do zabitego niedawno szefa dużego gangu, mieszkała również pani Klara Zameczek. Formalnie willa należy do wdowy po zabitym gangsterze, ale ta pani częściej ostatnio przebywa za granicą niż w Polsce, i w domu kręcą się różne inne osoby. Słucha pan czy już pan śpi?

— Słucham. Niech pan mówi dalej.

— Willa nie jest poddana stałej inwigilacji, ale staramy się zwracać uwagę na to, co się tam dzieje. I oto wczoraj wieczorem pod willą ponad godzinę stał jasny mercedes, taksówka z Warszawy. Patrol jeżdżący tam często nieoznakowanym samochodem zanotował jej numery rejestracyjne. Gdy taksówka wracała do Warszawy, została zatrzymana na rogatkach Miasta do rutynowej kontroli. Nasz wywiadowca wypytał trochę kierowcę i dowiedział się, że taksówką przyjechał pewien pan wyglądający na Polaka z Ameryki. Kierowca podał

dość dokładny rysopis pasażera, a nawet zauważył, że popijał on po drodze zagraniczny trunk. Rozumie pan coś z tego?

— Na razie nie ma tu nic do rozumienia. To są gołe fakty. Proszę opowiadać dalej.

— Opowiadać dalej? Proszę bardzo. To teraz inna historia. Mój zdolny, bardzo zdolny i inteligentny kolega z Miasta obszedł dziś rano staw, w którym znaleziono ciało Klary Zameczek. Mógłby ktoś zapytać „po co”? Ciało wrzucono do wody wiele dni temu i ślady, jeżeli jakieś były, dawno się zatarły. Ale mój kolega ma dziwną intuicję albo po prostu jest nadobowiaźkowy. I oto z drugiej strony stawu, bliżej drogi, znalazł wiele świeżych śladów. Powiedzmy z dzisiejszej nocy. Gdy rozmawialiśmy przez telefon, powiedział, że to wygląda tak, jakby ktoś tam obozował, kąpał się w nocy w stawie, a potem po omacku przedzierał przez krzaki do góry, w stronę drogi, albo na odwrót, z drogi w stronę stawu.

— To możliwe. A może to byli ci bezdomni, o których pan wspominał na początku?

— O to samo zapytałem, ale bezdomni podobno koczują z przeciwnej strony, w zrujnowanym, opuszczonym domostwie, i twierdzą, że nie zapuszczają się w inne okolice.

— W porządku. I co dalej?

— Na brzegu, w miejscu, o którym mówiłem, mój zdolny i inteligentny kolega z Miasta znalazł pustą butelkę po zagranicznym trunku. Świeżo opróżnioną, jak zażartował, sądząc po zapachu. Oczywiście ta butelka mogła się znaleźć i zapewne znalazła się w tym miejscu zupełnie przypadkowo. Kolega zabrał ją. Są na niej odciski palców chyba dwóch osób. Bardzo słabe i na razie nie wiemy, do kogo należą.

Niestety, dopiero co — po morderstwie w moim mieszkaniu — pobrano ode mnie odciski palców. Chodziło oczywiście o to, aby wyodrębnić pozostałe, bo wśród nich mogły znajdować się odciski mordercy. Ciekawe natomiast, czy mają

w policyjnym archiwum odciski dragała? Może pomogliby mi ustalić, kim jest ten wysoki obywatel? W końcu uratował mi życie.

— Jestem pełen podziwu dla dokładności policji. Co mają jednak wspólnego fakty, o których pan opowiada, ze znalezieniem ciała Klary Zameczek?

— Ja też się nad tym zastanawiam. Powiem panu jeszcze jedno. Staw, w którym znaleziono ciało, jest oddalony zaledwie o kilkaset metrów od willi zabitego szefa gangu. On sam co prawda wyleciał z okna, z wysokiego budynku, ale tego samego dnia właśnie pod tą willą doszło do strzelaniny. Gdy przyjechała policja, znalazła dwa ciała zabitych gangsterów. Nie było świadków, ale rozeszła się potem w świecie przestępczym plotka, że wtedy zginęła również pani Zameczek. Wkrótce plotkę zdementowano, bo pani Zameczek zaczęła się tu i ówdzie pokazywać. Miedzy innymi, panu. Dzisiaj trzeba na to wszystko spojrzeć inaczej i chyba uznać, że rzeczywiście Klara Zameczek wtedy zginęła. Tylko dlaczego jej ciało ukryto i potem wrzucono do stawu? I kto to zrobił?

— No i oczywiście, kim była osoba, z którą rozmawiałem?

— Pan ma szczególną zdolność do rozmawiania z duplikatami rozmaitych osób. A to komisarz Zbierski, który potem ginie, a to Klara Zameczek, która już nie żyje w czasie rozmowy z panem. Za każdym razem, żeby potwierdzić pańskie opowieści, trzeba by urządzić seans spirytystyczny.

— Już panu wyjaśniłem, że rozmawiałem z fałszywym Zbierskim, nie tym, który zginął. Jeśli oczywiście to ten był prawdziwy.

Podkomisarzowi zaczerwieniło się czoło. Tę reakcję już znałem. Jak widać, wracał do dawnej formy. Żadnego miodu czy słodyczy. I żadnych wyraźnych reakcji.

— Co do Klary, to zrobiła na mnie wrażenie bardzo żywej kobiety, gdy z nią rozmawiałem. Ale policja oczywiście wie lepiej.

— Widzi pan, wcześniej Klarę Zameczek widywali wyjątkownie ludzie z kręgów — powiedzmy — przestępczych. Można sobie wyobrazić, że zależało im, nie wiemy, co prawda, w jakim celu, na ukryciu faktu jej śmierci. Usunięcie ciała zmierzało do tego samego. Klara żyje, tylko się przyczaiła, takie wrażenie miało powstać. Nagle do grona osób, które spotkały Klarę Zameczek i z nią rozmawiały, dołącza pan. Człowiek z innego świata.

— Co pan ma na myśli?

— Nic złego. Gdyby pan po spotkaniu z Klarą na przykład opublikował wywiad pod tytułem „Rozmawiałem z ukrywającą się szefową gangu”, to bym mógł pana podejrzewać o jakieś nieczne motywy. Że, powiedzmy, ktoś zapłacił panu za taki wywiad. Jednak pan w żaden sposób nie wykorzystał faktu spotkania Klary.

— Uspokoił pan moje sumienie, komisarzu.

— Proszę nie żartować. Ja jednak podejrzewam, że pan coś ukrywa. Pasuje pan do rysopisu człowieka, który przyjechał wczoraj wieczorem do willi gangsterów...

— Przecież taksówkarz mówił o jakimś Polaku z Ameryki.

— Taksówkarzowi mogło się pomylić. Natomiast zapamiętał dobrze trunek, który pił pasażer. To była kanadyjska whisky, raczej rzadka u nas w Polsce. I wie pan, że butelkę po takim właśnie alkoholu znalazł mój utalentowany kolega nad brzegiem stawu. W miejscu oddalonym o kilkaset metrów od willi gangsterów, tuż przy drodze, która łączy ową willę ze stawem.

— To wszystko, co pan mówi, jest rzeczywiście zastanawiające.

— Zastanawiające? Przecież tu wszystko pasuje znakomicie.

— Co pasuje? Ja z tego nic nie rozumiem. Powiedzmy, że to ja rzeczywiście przyjechałem taksówką do willi gangsterów, a potem piłem whisky, wstrętną kanadyjską whisky, jak-



by Szkoci nie produkowali o niebo lepszych trunków. Piłem na brzegu glinianki oddalonej, jak pan powiada, o kilkaset metrów od centrali gangu. I co z tego wynika?

— Sam pan przyznał wcześniej, że dziś w nocy kapał się pan w zimnej wodzie. To pasuje do całej koncepcji. A więc wyobrażam sobie to tak. Przyjechał pan do centrali gangu, jak zgrabnie pan nazwał, uzyskał, nie wiem, co prawda, za jaką cenę, informację, że Klara Zameczek znajduje się w stawie, a potem poszedł pan albo podjechał tam i wydobył ciało. Dlatego to dopiero dziś rano odkryli je bezdomni, a nie tydzień czy dwa tygodnie temu. Bo wcześniej leżało ono na dnie.

— To pan układa literackie historie — zaśmiałem się. — I czy pan wie, po co to wszystko zrobiłem? I po co zmyśliłem opowieść o wcześniejszym spotkaniu Klary?

— Tego, niestety, jeszcze nie wiem.

Rozmowa z grubaskiem była naprawdę pouczająca. Ten facet myślał i zupełnie nieźle kombinował. Brakowało mu trochę faktów, ale byłem przekonany, że szybko do nich dotrze. Ciekawe, że nie zapytał mnie o Dorotę czyli Kasię. Przecież jeśli policja z Miasta założyła jej podsłuch, to powinni wiedzieć o naszym spotkaniu. Zatem również powinni poinformować o tym podkomisarza, który miał dobry kontakt z policją z Miasta.

Najmądrzejsze, co należało teraz zrobić, to przyznać się do wszystkiego. Opowiedzieć o wariackim planie Kasi, o spotkaniu z Profesorem i o tym, że miałem znaleźć się w tym samym stawie co Klara i w takiej samej trupiej postaci. Może zresztą Profesor wymyślił, że jeżeli kiedyś nas znajdą, to policja wyjaśni sprawę w sposób podobny do teorii grubaska. Po prostu szukałem po pijanemu ciała Klary i utonałem. Będzie tylko brakowało odpowiedzi na pytania, na które nie umiałem odpowiedzieć również podkomisarz. Trzeba więc było się przyznać, ale nie chciało mi się już dłużej kontynuować tej rozmowy. Przecież gdybym się przyznał, musiałbym wszystko opowiedzieć

o ostatnich wypadkach, odpowiadać na nowe pytania, wyjaśniać wątpliwości. Nie, dzisiejszego wieczoru nie miałem na to ani siły, ani ochoty.

— Widzę, że nie pozostaje panu nic innego, jak rzeczywiście mnie aresztować — stwierdziłem.

— Może i chciałbym to zrobić — powiedział poważnie grubasek — bo pan wyjątkowo utrudnia mi śledztwo. Jednak jest ktoś, wyżej postawiony, kto pana chroni.

Byłem zdumiony, co podkomisarz oczywiście natychmiast zauważył. Kto mnie chroni? Kiedyś mogłem liczyć — oczywiście w rozsądnych granicach — na pomoc Jacka, ale teraz, po jego śmierci, któż mógł mnie chronić?

— Wszystko jednak do czasu — dodał podkomisarz.

Uśmiechnąłem się lekko.

— Do czasu, panie redaktorze! — powtórzył z powagą na okrągłej twarzy.

Ostrzeżenie podkomisarza potraktowałem poważnie. W końcu naprawdę mnie zapudłują. Jeżeli nie za morderstwa, to za notoryczne okłamywanie policji. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzy w to, co mi się zdarzyło w ciągu kilku ostatnich dni albo co tylko wydaje mi się, że mi się zdarzyło, bo ja też już w to przestaję wierzyć. Wokół mnie giną ludzie, objawiają się sobowtóry żywych i martwych postaci, i nie składa się to w żadną logiczną całość. Kto jest prawdziwy? Czy ta Klara, która przysiadła się do mnie w piwnym ogródku, czy raczej ta, która leżała sobie spokojnie od kilku tygodni na dnie glinianki, jakby czekając na to, że i ja legnę obok po przymusowej kąpeli w stanie mocnego zamroczenia? Czy ten Zbierski o wylupiających oczach, który rozmawiał ze mną w nastrojowej kawiarni, czy może ten, którego zastałem w postaci świeżego trupa w moim mieszkaniu?

„Wyłania się tu pewna prawidłowość — pomyślałem filozoficznie. — W każdej parze żywa jednostka okazuje się fałszywa, prawdziwa zaś martwa. To tak jak w życiu, wierzymy martwym bohaterom, kochamy martwych bohaterów, a żywych lekceważymy. Jeśli więc mnie też w końcu uwierzą, to pod warunkiem, że najpierw zginę.

„Słuchaj, a może zapiszemy się na jakiś kurs antyalkoholowy?” — zapytał cichutko głos wewnętrzny.

„Jak ty ładnie to nazywasz, »kurs«? Mam iść na odwyk, co? I co to znaczy »my«? Przecież gdy ja piję, to ty zachowu-

jesz trzeźwość. Im ja więcej piję, tym bardziej ty jesteś trzeźwy. To jest wręcz niebezpieczne dla nas. To może doprowadzić do schizofrenii".

„Nie denerwuj się, bardzo cię proszę".

„Jak mam się nie denerwować, gdy ty podejrzewasz mnie o halucynacje alkoholowe? Czy nie tak? Wszystko to wpływ alkoholu? Tobie alkohol potrzebny jest do działania, to już ustaliliśmy, więc zdaje ci się, że całemu światu również".

„Bo wiesz, naprawdę inaczej trudno wytłumaczyć twoje przygody".

„Pewnie, że trudno. Ale czy ten pucołowaty to też halucynacja alkoholowa? I zabójstwo Jacka? I trup tu, w mieszkaniu? Trup, którego widziała także Jadzia. Może więc Jadzia jest również halucynacją? I ten drągal, który uratował mi życie? Taka wielka halucynacja, metr dziewięćdziesiąt czy nawet więcej, i to halucynacja z bujnymi wąsami. Czy moje życie, które ocalałem, to halucynacja? Naprawdę ja już nie żyję? Co? Czy według ciebie ja jestem halucynacją?"

„Błagam, nie denerwuj się, naprawdę nie chciałem" — prosił głos pokornym głosem.

Ja jednak już się rozpędziłem.

„Może ja widzę białe myszki? Jadzia — mała biała myszka. Trup Zbierskiego — martwa biała myszka. Kasia — ruda biała myszka. Drągal — duża biała myszka z wąsikami. I ten morderca w złotych okularach, który będzie mi się śnił do końca życia — to też biała myszka. Chyba że ten to kot, który zjada białe myszki. A kim jest Klara? Czy ona w ogóle istniała? Czy to biała myszka fatamorgana?"

Głos zamilkł. Chyba pierwszy raz w życiu udało mi się go przegadać albo zagadać na śmierć.

„Na śmierć — pomyślałem. — A więc może i ten głos wewnętrzny jest fałszywy i dopiero czeka mnie spotkanie z prawdziwym moim głosem wewnętrznym?"

No tak, w taki właśnie sposób zaczyna się paranoja.

Żeby więc nie popaść w nią całkowicie, mam dwa wyjścia. Bo podobno zawsze są dwa wyjścia. Pierwsze, które bardziej mi odpowiada i które podpowiada mi resztką rozumu (ta, która broni się wciąż przed paranoją), to przestać myśleć o całej sprawie, a następnie udać się pod opiekę anioła bez skrzydeł w ogródku piwnym na Chmielnej. Jednak po uwagach głosu wewnętrznego jakoś nie miałem dziś ochoty nawet na niskoprocentowy alkohol. Co ze mnie za alkoholik, skoro parę słów krytyki ze strony własnego głosu wewnętrznego zabija we mnie ochotę nawet na piwo? Co w takim razie mam robić? Pójść na spacer do Łazienek, dobry dla emeryta? A może jakaś pasjonująca lektura? Może jeszcze raz płyta Cohena, nastrojem pasująca raczej na ciemny, deszczowy wieczór, a nie jasny, pełen słońca poranek?

Jest też wyjście drugie. Uwierzyć, że to wszystko, co mnie spotyka, ma jednak jakieś logiczne wytłumaczenie, i po zmobilizowaniu sił oraz energii jeszcze trochę popробować. A nuż w końcu znajdę rozwiązanie?

Rozpocząła się środa, jeżeli nie straciłem rachuby czasu. Było znów gorąco, słońce grzało, jakby Polska przeniosła się w okolice równika, ja zaś siedziałem prawie nagi w kuchni mego kawalerskiego, odrobinę zapuszczonego mieszkanka i piłem poranną kawę. Zatem co? Dalej mam brnąć w to dziwne śledztwo?

Przez ostatnie dni sensem moich działań było poszukiwanie Klary Zameczek. Co mam robić teraz, kogo czy może czego szukać, gdy Klara odnalazła się w mało apetycznej postaci utopionej rusałki?

Zadzwoił telefon. Wiadomo, w powieściach kryminalnych w momentach, gdy bohater się pogubił, dzwoni telefon. Życie jednak powinno się czymś różnić od powieści. Poza tym ja się nie pogubiłem, ja tylko wyczerpałem wszystkie wątki.

— Klara się odnalazła — powiedziała zamiast przywitania Dorota czyli Kasia.

— Wiem, wyłowiono ją wczoraj rano z tej samej glinianki, w której miało spocząć moje ciało. Czujesz erotyczny podtekst tej sytuacji: dwa piękne ciała, męskie i kobiece, obok siebie na dnie stawu? Ale dlaczego dzwonicz na ten podsłuchiwany przez ciemne siły telefon?

— Bo komórkę masz wyłączoną.

— Aha. To zresztą i tak chyba nie mająż teraz znaczenia, czy ktoś nas podsłuchuje.

— Nie dajesz mi skończyć... To nie ta Klara się odnalazła, która leżała w gliniance, to znaczy ta też, i to już wczoraj, ja tu mam informacje z Miasta na bieżąco, ale dziś się odnalazła druga Klara, to znaczy tak naprawdę to nie jest wcale Klara, ale to jest ta dziewczyna w słomkowym kapeluszu, z którą rozmawiałeś.

— Żywa? Jeśli jest żywa, to jest fałszywa. Nie wierz jej nic a nic. W tej historii wszyscy prawdziwi umierają.

— Konrad, czy ty już dzisiaj piłeś? Ona jest żywa i ona jest rzeczywiście fałszywa. To znaczy fałszywa jako Klara, bo w ogóle to jest zupełnie prawdziwa, bardzo porządna dziewczyna.

— Skąd wiesz?

— Bo ją znam.

— Co z tego? Ja też ją znam i nie mogę zaręczyć, czy jest porządna, ani tym bardziej, czy jest prawdziwa. Ja ostatnio poznaję osoby, które wydają się prawdziwe, a okazują się fałszywe. A jeśli są fałszywe, to chyba nie są porządne?

— Czy naprawdę nie masz ochoty się z nią spotkać? I usłyszeć, o co chodziło?

Przypomniałem sobie niedawny zamiar. Chciałem odnaleźć dziewczynę w słomkowym kapeluszu, zdjęć jej wielkie okulary słoneczne i odkryć wreszcie sekret koloru oczu blondynki, a potem, patrząc w oczy o znanym już kolorze, powiedzieć: „Żegnaj, Klaro”. I nie czekając na odpowiedź, odwrócić się na pięcie i pójść w swoją stronę. Piękna filmowa scena, prawda?

- No dobrze, gdzie ona jest?
- Ukrywamy ją.
- Znowu? To znaczy, że mam teraz szukać kolejnego cienia? I co za my?

— Przez telefon nic więcej ci nie powiem. Przyjeżdż.

Który to raz w ciągu ostatnich kilku dni wyruszałem do Miasta? Rozkład pociągów znam już na pamięć. Najbliższy pociąg mam za niecałą godzinę. Jak się pospieszę, to zdążę. Zdążyłem. Postanowiłem nie zastanawiać się, nie myśleć, nie przewidywać. Zresztą nawet gdybym chciał, to i tak nie byłbym w stanie niczego wymyślić. Po prostu żadnego pomysłu. Nie potrafię zgadnąć, kim jest ta fałszywa Klara i dlaczego udawała prawdziwą Klarę Zameczek. Jeszcze kilka godzin cierpliwości i być może wreszcie się dowiem.

Kasia odebrała mnie z dworca i pojechaliśmy jej samochodem. Niedaleko. Zaparkowała na małej uliczce i rozejrzała się wokół.

— To dwie ulice stąd, ale wolę zostawić samochód już tutaj.

— Wiem. Tak się robi we wszystkich powieściach sensacyjnych.

Kasia spojrzała na mnie z jakąś niewyjaśnioną pretensją i nic nie powiedziała. Znajdowaliśmy się w cichej, pełnej zieleni dzielnicy, zabudowanej małymi domkami. Prawie sielska wieś. Gdzieś czekał pies, a nawet zapał kogut.

— Może wreszcie zmieni się pogoda — zauważyłem.

— Jeden kogut nie spowoduje deszczu.

Kasia znów się rozejrzała.

— Nikt nas chyba nie śledził?

— Kasiu, czy ty naprawdę chcesz z nas zrobić bohaterów powieści sensacyjnej?

Nie odpowiedziała. Była dzisiaj wyjątkowo tajemnicza i milcząca.

Nagle zatrzymała się i pociągnęła mnie za sobą. To wyglądało jak przejście do innego świata. Między dwiema ogro-

dzonymi działkami, na których stały małe, bajkowe domki z zielonymi okiennicami, został wąski, może na półtora metra, pas ziemi niczyjej. Zarosły go gęsto krzaki i wysokie chwasty. Sam, idąc uliczką, mógłbym wcale go nie zauważyć.

Kasia pewnym krokiem weszła między pokrzywy i inne zielska, więc i ja podążyłem za nią, bohatersko nie zwracając uwagi na ciernie i oparzenia. Zielony tunel skończył się po kilkunastu metrach. Przed nami była gęsta siatka. Ruda dziennikarka schyliła się i rozgarnęła krzaki. Za nimi w siatce widniał dość spory otwór.

— Tędy — szepnęła.

Co było robić? Przecisnąłem się za Kasią przez wąski otwór. Nawet udało mi się nie podrzeć koszuli ani spodni.

Gdy podnosiłem się z kolan, zobaczyłem nad sobą jakiś wielki cień.

— Jesteście wreszcie — przywitał nas dragal. — Nikt was nie śledził?

— Uważałam — powiedziała Kasia z pewnością wytrawnej agentki służb specjalnych. I stwierdziła raczej niż zapytała: — Wy już się znacie.

— Michał...eski — przedstawił się dragal. — O panu redaktorze wiem prawie wszystko.

Nie musiałem zatem się przedstawiać.

Znajdowaliśmy się na tyłach małego domku, podobnego do tych, które minęliśmy. Działka była bardzo zarośnięta, rosło tu trochę owocowych drzew i krzewów.

— Wejźmy. — Dragal wskazał drzwi ledwo widoczne wśród pnączy zwieszających się z dachu.

— Dom na dwa wejścia — wyjaśniła Kasia — to bardzo dobrze, gdyby trzeba było szybko uciekać. Tylnie przejście przez ogród, jak sam widziałeś, jest świetnie zamaskowane.

— Joasia obserwuje główne wejście, od strony ulicy, a ja pilnuję ogrodu — dodał Michał.



— Joasia to twoja Klara — dodała Kasia.

Przeszliśmy przez kuchnię. Był tu stary kredens, piec kuchenny na węgiel, ale stała też kuchenka mikrofalowa, a na ścianie zawieszono kolorowy telewizorek. Po ciemnej kuchni, do której światła nie dopuszczała gęsta zieleń z tyłu domku, aż zmrużyłem oczy w jasnym, pełnym słońca pokoju.

— Cześć, Konrad. — Najpierw usłyszałem, a dopiero potem zobaczyłem dziewczynę. Stała na tle okna, przez które zaglądało słońce. I znów, jak podczas naszego pierwszego spotkania, nie widziałem zbyt dobrze jej twarzy.

— To ty? — zapytałem.

— Tak, to ja — odpowiedziała po prostu.

— Klara czy Joasia?

— A jak wolisz?

Znów miałem wrażenie, że jest to dziewczyna, z którą mógłbym rozmawiać godzinami.

— Na pewno Joasia — wtrącił drągal — moja narzeczona. Wydawało mi się, że się przesłyszałem.

— Narzeczona? To ja przez tyle dni szukałem pańskiej narzeczonej?

— Obydwaj jej szukaliśmy — powiedział słodkim głosem Michał Jakiś-tam-eski.

Podszedłem bliżej blondynki i stanąłem od strony okna. Odwróciła się w moją stronę.

— Teraz widzę. Masz jasne, niebieskie oczy.

— Po południu są szare — stwierdził drągal.

Nie był chyba zazdrosny.

— I wcale nie masz krzywych ust — zauważyłem.

— Krzywe usta ma, a raczej miała Klara Zameczek — odezwała się Kasia.

— I żadnego grymasu, sam wdzięk — mówiłem prawie do siebie. — Że też takie dziewczyny zawsze mają już narzeczonych albo mężów.

— Konrad, wybacz. — Usłyszałem bardzo cichy głos daw-

nej Klary, czyli teraz Joasi. Albo może tylko mi się zdawało, że coś słyszałem.

Spojrzała na mnie, a w tym spojrzeniu wyczytałem wszystko, co i tak od dawna przeczuwałem. Ona była — jako Klara oczywiście — moją nieosiągalną fatamorganą pustynnym mirażem. Marzeniem, które nie może się spełnić. Bo za dziewczynami takimi jak Klara tylko gonimy, szukamy ich, marzymy o nich. I doganiamy je zawsze za późno. Gdy się już zmieniły, są kimś innym i najczęściej z kimś innym. Na przykład Klara zamienia się w Joasię, narzeczoną wielkoluda z bujnym wąsem. A gdy je już dogonimy, są jeszcze piękniejsze, niż się nam wcześniej zdawało.

„Nie ma krzywych ust, nie ma krzywych ust — zanucił milczący do tej pory głos wewnętrzny. — Bo krzywe usta poszły na dno, na dno stawu”.

„Nie wygłupiaj się” — skarciłem go.

— Rozmawiasz ze swoim głosem wewnętrznym? Dlatego milczysz? — zapytała najpiękniejsza ze znanych mi blondynek.

Wiedziała o mnie wszystko. Jak się kiedyś mawiało, potrafiła zajrzeć do duszy. To jest dziewczyna, z którą by mi się wspinałe milczało, bo ona mnie rozumiała bez słów.

— Proponuję wypić toast — powiedział dragal. — Za szczęśliwe zakończenie.

— Na to chyba jeszcze za wcześnie — rzekła Kasia.

— Na toast nigdy nie jest za wcześnie — to powiedziałem oczywiście ja.

— Myślę o zakończeniu...

— Ta historia jeszcze trwa i do jej zakończenia daleko — oznajmiłem z głęboką pewnością. — Tym bardziej wypijmy za szczęśliwe zakończenie.

— W powieści albo filmie szczęśliwe zakończenie to najczęściej ślub — rzekł dragal. — Co myślisz o takim zakończeniu, Asiu? — zapytał narzeczoną.

— Wyjmij już tego szampana z lodówki — odpowiedziała.

Na stole pojawiły się wysokie kieliszki. Michał z wprawą otworzył butelkę dobrego niemieckiego wina musującego. O ile nie przepadam za winami reńskimi czy mozelskimi, które zawsze wydają mi się za słodkie (nawet gdy są określone jako wytrawne), o tyle wina musujące z tych samych regionów lubię.

Piłem ja i Joasia. Drağal i Kasia stwierdzili równocześnie, że prowadzą i w związku z tym ledwo umoczyli usta w alkoholu.

— Czas na opowieść — powiedziałem. — I to porządna po bożemu, czyli po kolei.

— Asiu? — zapytał drağal.

— Oczywiście, że ja. Opowiedziałam już chyba wszystko Michałowi, ale ciągle przypominają mi się nowe szczegóły.

— Więc mów. Ze szczegółami starymi albo nowymi czy w ogóle bez szczegółów, ale opowiadaj — powiedziałem.

— Muszę zacząć od początku. To dziesięć dni wcześniej, nim poznaliśmy się w tym ogródku piwnym w Warszawie.

— Joasiu, chyba musisz zacząć jeszcze wcześniej. Ja i Michał znamy cię, ale Konrad nie. Ja mu co prawda wspominałam kiedyś o tobie... — mówiła Kasia, ale jej przerwałem, zwracając się do blondynki:

— Czy ty jesteś tą Joasią która przyjaźniła się z Klarą Zameczek? Jedną z pary papużek nierozłączek?

— Widzę, że wiesz o mnie już dużo — roześmiała się. — Tak, przyjaźniłam się z Klarą od czasów szkoły podstawowej. Była to bardzo dziwna przyjaźń, bo dziewczyny przeważnie dobierają się na zasadzie przeciwieństw. Ładna z brzydką gruba z chudą nieśmiała i zagubiona z wygadana i przebojową a my byłyśmy bardzo podobne. Dwie wysokie blondynki o niebieskich oczach... — Znów się uśmiechnęła, a gdy zobaczyła spojrzenie drağala, dodała: — Które u mnie wieczorem robią się szare. Przez długie lata byłyśmy jak siostry. Wiele osób brało nas za siostry, nawet za bliźniaczki.

— Byłyście aż tak podobne? — zapytałem.

— Nie, ale na pierwszy rzut oka widać było przede wszystkim podobieństwa. Byłyśmy zawsze trochę wyższe od koleżanek, no i takich jasnych blondynek nie ma znów tak wiele.

— Zamilkła na chwilę, a potem zwróciła się do Michała:

— Czy masz jeszcze moje zdjęcie z Klarą, które ci kiedyś dałam? To z ostatniej klasy liceum?

— Oczywiście — powiedział drągal i udał się do drugiego pokoju.

— Nie miałyśmy przed sobą żadnych tajemnic, ale za to mnóstwo wspólnych sekretów i zainteresowań. Jednak różniłyśmy się charakterami — opowiadała dalej Joasia. — Długi czas nie odgrywało to większej roli. Miałyśmy ogromną frajdę z tego, że we dwie wywołujemy wielkie wrażenie i to na wszystkich, na kolegach, na ludziach z ulicy, którzy się za nami oglądają, nawet na nauczycielach w szkole...

— A może właśnie te różne charaktery przyciągały was ku sobie? — popisałem się domorosłą psychologią.

— Może masz rację. Jednak już w liceum różnice nam przeszkadzały. Przynajmniej mnie.

— Wiesz, one chodziły do tego samego liceum co my — wtrąciła Kasia.

— Najlepsze liceum w Polsce — powiedziałem.

— No, jedno z najlepszych — zgodziła się Kasia.

— Nie wiem, jak było, kiedy wy chodziliście do szkoły, ale w naszych czasach to się zrobiła strasznie snobistyczna szkoła. To była połowa lat dziewięćdziesiątych i wielu ludzi ogarnęło szaleństwo konsumpcyjne. Po latach socjalistycznej biedy nagle mieli pieniądze. Jeszcze nieduże, ale wystarczające, żeby dziecku kupić markowy ciuch albo dobry sprzęt grający, albo żeby zajechać po córkę czy syna drogim samochodem. Niektórzy nasi koledzy sami zaczęli jeździć własnymi samochodami, i któregoś dnia okazało się, że klasa dzieli się na tych, którzy mają, i którzy nie mają. Prosty podział, co?

Nie liczyło się już tak bardzo, że wygrałeś olimpiadę matematyczną...

— Joasia wygrała olimpiadę historyczną — wtrąciła Kasia.

— ...ale że pojechałeś do jakiegoś egzotycznego kraju na wakacje. Jedni opowiadali o tym, że byli w Tunezji czy Egipcie, pokazywali kolorowe zdjęcia albo filmy, a drudzy milczeli, bo cóż może być ciekawego w wakacjach spędzonych u ciotki na wsi. Jedni opowiadali o dyskotekach w Londynie, gdzie pojechali szlifować język, a drudzy tylko przysłuchiwali się z zazdrością.

Opowieść przerwał drągał:

— O proszę, to Klara i Asia — powiedziała, wyciągając ku mnie duże kolorowe zdjęcie.

Dwie śliczne blondynki w identycznych koszulowych bluzkach i obcisłych jasnych dżinsach stały pod drzewem, trzymając się za ręce. Różniły ich jedynie miny: jedna krzywiła usta, a robiła to z prawdziwym zacięciem, druga promiennie się uśmiechała.

— To ty — wskazałem uśmiechniętą — a to Klara.

Joasia uśmiechnęła się tak samo jak na zdjęciu.

— Widzisz, to nietrudne. Można nas odróżnić.

— To wypijmy za małą, maleńką różnicę — powiedziałem i nalałem resztkę wina Joasi i sobie.

— Któregoś dnia okazało się, że ciągnie nas w różne strony — Joasia kontynuowała opowieść o dwóch przyjaciółkach. — Obydwie pochodzimy z niezbyt zamożnych rodzin, moi rodzice są nauczycielami, a tato Klary, który zmarł w zeszłym roku, był inżynierem. W moim domu panował kult nauki, a ojciec wciąż rozprawiał, jakie to szczęście, że odzyskaliśmy pełną wolność, i wyciągał książki, żeby porównywać różne epoki w dziejach Polski.

— Nie dziwię się, że wygrałaś olimpiadę historyczną — powiedziała Kasia. — Czy wiesz, Konrad, że rodzice Joasi

mają największą prywatną bibliotekę, jaką widziałam? Chyba z pięć tysięcy książek.

— Po maturze ja pojechałam na studia do Krakowa, a Klara została w Mieście — opowiadała dalej Joasia. — Jej ojciec zaczął robić interesy i Klara trochę mu pomagała. Nawet dobrze im szło, założyli hurtownię, potem kolejną a jej bardzo podobało się takie życie. Miała na ciuchy, co roku zmieniała samochód, a kiedy przyjeżdżała do mnie do Krakowa, oprowadzała mnie po dyskotekach i klubach. Znała je lepiej niż ja. Raz byliśmy razem w Zakopanem, ale tam właśnie prawie się pokłóciłyśmy. Ja chciałam choć trochę pochodzić po górach, a ona nie zamierzała nosa wychylić poza Krupówki. I tak powoli nasze drogi zaczęły się coraz bardziej rozchodzić.

— Po studiach wróciłaś do Miasta? — zapytałem.

— Mama Joasi się rozchorowała i ojciec nie radził sobie sam — pospieszyła z wyjaśnieniami Kasia.

— No tak, wróciłam, pracuję w szkole i próbuję pisać doktorat.

— A co z Klarą? Przyjaźniłyście się nadal po twoim powrocie?

— Zanim wróciłam, wiele się zdarzyło. Ojciec Klary miał kilka wpadek. Opuściło go szczęście albo może za bardzo ryzykował. Kupił jakieś towary, co miało być wielką okazją a potem nie mógł ich sprzedać. Ukradli mu tir jakichś części, których nie ubezpieczył. Zresztą zrobili to chyba ludzie Starucha. Wspólnik, z którym coś tam razem robił, oszukał go, a potem zostawił z nie zapłaconymi podatkami. Skończyło się ostrym zawałem i decyzją o likwidacji wszystkich interesów. Kiedy wydawało się, że jakoś się już uspokoił, Klara, która wróciła nad ranem do domu, znalazła go nieżywego na podłodze. Zabił go kolejny zawał.

— To Klara ci o tym opowiadała? — zapytała Kasia.

— Nie, jej matka. Ona zresztą chyba wini córkę za śmierć

męża. Sama musiała wtedy wyjechać z synem, czyli młodszym bratem Klary, a Klara podobno obiecała, że zostanie na noc w domu. Oczywiście, nikt nie przewidywał nagłego pogorszenia się stanu zdrowia pana Zameczka. Matka uważa, że gdyby Klara była w domu, wezwałyby na czas pogotowie i mogłaby uratować ojca.

— Klara była już wtedy kochanką Starucha — dopowiedziała Kasia.

— Tak. Po śmierci ojca przeniosła się na stałe do willi Brzusia. Od tej pory już jej nie widziałam.

— No dobrze, ale jak to się stało, że ty zaczęłaś udawać Klarę? — spytałem.

— Któregoś dnia zadzwonił do mnie mężczyzna. Powiedział, że Klara jest w niebezpieczeństwie i zapytał, czy mogłabym jej pomóc.

— To był Profesor? — zapytała Kasia.

— Wtedy jeszcze go nie znałam, ale on znał mnie i wiedział o nas, to znaczy o Klarze i o mnie, bardzo dużo. Taka jest, jak myślę, główna rola Profesora w gangu Starucha: wiedzieć jak najwięcej o rozmaitych ludziach. On umie zdobywać i wykorzystywać informacje. A odkąd Klara stała się dziewczyną Starucha, wszystkie informacje o niej i jej znajomych stały się ważne.

— No więc dzwoni do ciebie Profesor...

— Było to kilka dni po tajemniczej śmierci Starucha i po strzelaninie przed jego domem. Pisały o tym gazety, mówiło o tym całe Miasto i oczywiście ja też wiedziałam. Pomyślałam więc, że moja przyjaciółka naprawdę jest w niebezpieczeństwie i trzeba jej pomóc.

— Wiecie, że ona sama poszła na spotkanie z tym gangsterem? — wtrącił się drągał.

— Ja wtedy po pierwsze, nie wiedziałam, że to gangster, a po drugie, on umówił się ze mną w kawiarence w centrum miasta, w jasny dzień. Czego miałam się obawiać?

— I nic mi nie powiedziała — dodał Michał.

— Zostawiłam ci wiadomość, gdzie idę.

— Całe szczęście, dzięki temu cię odnalazłem.

— Michałowi moja wiadomość o tym, że spotykam się ze znajomym Klary wydała się podejrzana i natychmiast pojechał do kawiarenki. Zdążył mnie zobaczyć, gdy wsiadałam razem z Profesorem do jego samochodu.

— Czarnego chevroleta — wyjaśniła specjalnie dla mnie Kasia.

— Porwali cię? — zapytałem.

— Nie, Profesor mnie przekonał, a on to umie dobrze robić, że pojedziemy do Klary i wtedy wszystko dokładnie omówimy.

— Co omówicie?

— Plan był taki, że Klarę on na kilka dni ukryje, a ja ją będę udawać. Jestem do niej bardzo podobna, wiem, jak się zachowuje w różnych sytuacjach, dostanę jej ciuchy... Poza tym, powiedział Profesor, będę się rzadko pokazywać, zawsze z daleka, w otoczeniu ochrony...

— Klara już wtedy nie żyła...

— Ja oczywiście o tym nie wiedziałam. Profesor powiedział, że próbowano ją zabić i chodzi o to, żeby przez moją przebierankę zmylić przeciwnika.

— Przecież to było cholernie niebezpieczne... To ty miałaś się narażać zamiast Klary...

— Profesor sam mi powiedział, że to niebezpieczne zadanie... I wtedy pomyślałam, że muszę to zrobić.

— To wielki cwaniak i świetny znawca psychologii. Dobrze wiedział, jak cię przekonać - rzekłem.

— W rzeczywistości niebezpieczeństwa nie było, a mistyfikacja została przygotowana na użytek własnego gangu. Profesor traktował mnie jak szefową... Żyłam jak królowa. Wtedy zrozumiałam, że takie życie rzeczywiście mogło się Klarze podobać. Nawet mnie się trochę podobało — powiedziała z uśmiechem.



— Nie mogę zrozumieć, po co on to wszystko robił? Nie prościej było ujawnić śmierć Klary i przejąć władzę?

— Najpierw się nad tym nie zastanawiałam. Profesor tłumaczył mi, że Klara się ukrywa i nie mogę się z nią na razie spotkać, a w domu wobec gangsterów zachowywał pozory, że to ja jestem szefową. Przydzielono mi ochroniarzy, takich, którzy nie znali Klary. Niby byłam wolna i mogłam wyjść, ale Profesor stwierdził, że dla bezpieczeństwa przez kilka dni nie mogę się ruszać z willi Starucha. Kontakt miałam tylko z nim i tymi chłopakami, którzy mieli mnie pilnować. Oni słuchali przede wszystkim Profesora, a on im kazał trzymać mnie w domu nawet wbrew moim rozkazom.

— No dobrze, ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie...

— Po co to robił? Mogę się tylko domyślać. Ci chłopcy, ochroniarze, oczywiście rozmawiali w mojej obecności, bo przecież byłam dla nich szefową gangu, ale oni sami dużo nie wiedzieli. Z różnych usłyszanych fragmentów zbudowałam sobie taką teorię, że chodzi o posag Klary.

— Wciąż trafiamy na ten słynny posag Klary. Co to jest? — zapytałam.

— Też o nim słyszałaś? To chyba nie jest żaden skarb, jakieś worki dolarów w złocie albo biżuterii, ale coś, co daje przywództwo w gangu. Wiem, że brzmi to jak z bajki, zupełnie fantastycznie, bo przecież trudno sobie wyobrazić, że władzę nad tymi bandytami daje posiadanie na przykład jakiegoś pierścienia albo tajemnicze zaklęcie...

— Profesor jako zły czarownik? To nawet wygląda prawdopodobnie — powiedziałam.

— Ja wyobraziłam sobie, że Staruch zostawił Klarze tajemniczy znak władzy. Wszyscy gangsterzy o tym wiedzą i uznają ją za szefową. I dlatego jest ona potrzebna, i to żywa, Profesorowi, bo naprawdę to on rządzi gangiem.

— Przecież po śmierci Klary Profesor mógł bez przeszkód przywłaszczyć sobie jej posag i przejąć władzę...

— Dziś, gdy myślę o tym wszystkim, wydaje mi się, że Profesor nie wiedział, gdzie ten posąg jest ukryty. Wiedział to Staruch i wiedziała Klara, która zostałaznaczona przez Brzusia na następczynię. Ale Staruch i Klara zginęli tego samego dnia i nie przekazali nikomu tajemnicy. To, że Klara wie, wszyscy w gangu uznawali za rzecz oczywistą. Więc pomysł Profesora mógł być taki: udajmy, że Klara żyje, to pozwoli zachować spokój w gangu, a jemu da czas na odnalezienie posagu.

— W momencie, w którym by go odnalazł, ty stałabyś się niepotrzebna...

— Wiem — powiedziała spokojnie Joasia. — Zapewne znalazłabym się na dnie stawu, obok Klary albo może w zupełnie innym miejscu, żeby nikt nas nigdy ze sobą nie skojarzył.

— Widzicie, z jakim spokojem ona to mówi — odezwał się poruszony drągal.

— Po kilku dniach przebywania w willi Brzusia zorientowałam się, że Profesor wcale nie zamierza mnie skontaktować z Klarą. Zastanawiałam się, o co naprawdę chodzi. Może on uwięził Klarę? A może ona uciekła za granicę? Nie przyszło mi do głowy, że ona nie żyje, bo na zdrowy rozum, po co miałabym wtedy ją udawać. Ale wątpliwości miałam coraz więcej.

— No dobrze, on cię trzymał w tej willi i nikt cię nie szukał? — zapytałem.

— Pierwszego dnia, gdy mu jeszcze wierzyłam, zadzwoniłam do rodziców i powiedziałam, że muszę na kilka dni wyjechać. Miałam kiedyś chłopaka, jeszcze w Krakowie, z którym są ciągle jakieś problemy... Dałam im do zrozumienia, że ten wyjazd wiąże się z nim. Poprosiłam ich, żeby jakoś załatwili sprawę mojej nieobecności w szkole, w której pracuję.

— A Michał?

— Michał mnie szukał i w końcu znalazł, ale dopiero wtedy, gdy któregoś dnia udało mi się wyrwać ochroniarzom i pojechałam do Warszawy.

— Do mnie? — Ucieszyłem się.

— Im dłużej przebywałam w wili Starucha, tym bardziej czułam potrzebę porozmawiania z kimś, kto pomoże mi zrozumieć, o co chodzi w tym wszystkim. W Mieście uważa się, że również policja jest skorumpowana przez gang. Wymyśliłam więc, że muszę porozmawiać z kimś, kto jest na pewno poza układem.

— Ja?

— To Dorota stworzyła w Mieście twój mit, niezależnego dziennikarza, który potrafi rozwikłać najtrudniejsze sprawy.

— Piękny wizerunek. — Skłoniłem się przed rudą dziennikarką. — Wielkie dzięki.

— Ochroniarze mieli mnie pilnować raczej przed jakimiś wymagowanymi niebezpieczeństwami z zewnątrz... A ja ich przez kilka dni oswoiłam oraz uspiłam ich czujność i któregoś gorącego dnia czmychnęłam. Do dziś się dziwię, jak mi się udało. Potem wszystko było proste. Odnalazłam twój adres w książce telefonicznej, a twoja sąsiadka powiedziała mi, gdzie przesiadujesz całymi dniami.

Milczałem.

— Jak jednak wiesz, niczego nie zdażyłam ci powiedzieć, o nic poprosić... Do dziś nie wiem, jak Profesorowi udało się mnie tak szybko namierzyć...

— I porwać cię od mojego stolika.

— On wciąż przed swoimi ludźmi udawał, że ja jestem szefową. Więc tylko oficjalnie miał pretensje o to, że się niepotrzebnie narażałam. Czułam jednak, że jest na mnie wściekły. I dopiero tego dnia zaczęłam się naprawdę bać.

— Zostawiłaś kartę bankową Klary Zameczek. To było sprytne.

— Tylko tyle zdażyłam. Nie miałam przecież nic własnego, wszystko Klary. Potem wciąż się zastanawiałam, czy znalazłeś kartę i co z nią zrobiłeś. Mogłeś przecież odesłać ją do banku i szybko o mnie zapomnieć przy kolejnych piwach.

— Wiesz, że nie mogłem — powiedziałem cicho.

— Michałku, powiedz, skąd ty się tam wzięłeś? — Zwróciła się do narzeczonego. — Bo Michał mnie wyszedł, a ja go wcale nie zauważyłam.

— Chociaż ma dwa metry wzrostu? — Zdziwiłem się szczerze.

— Tylko metr dziewięćdziesiąt trzy — oznajmiła zadowolona.

— Udało mi się w końcu dowiedzieć czegoś o czarnym chevroletcie. Gdzie najczęściej stoi, kto jest jego właścicielem... To był mój jedyny ślad. Potem już było łatwo. Pojechałem właśnie pod willę Starucha, żeby zająć swoje codzienne stanowisko, gdy samochód wyjeżdżał. Oczywiście nie wiedziałem, że Joasia jest w tej willi. Kojarzyłem ją tylko z tym samochodem przypominającym karawan. Gdy więc Chevrolet ruszył, ja za nim, aż do Warszawy. Na szosie gubiłem go i odnajdywałem. W Warszawie zgubiłem go na dobre i potem cudem na niego znów natrafiłem.

Patrzyliśmy na wielkoluda, z jakim przejęciem opowiadał swoją historię. On ją na nowo przeżywał.

— Gdy zaparkował na Chmielnej, usiadłem w pobliżu i czekałem. Nagle zobaczyłem Asię w wielkim kapeluszu i ogromnych okularach słonecznych. Rozmawiała z jakimś facetem.

— To byłem ja — oświadczyłem z dumą.

— Miałem podejść, gdy ty nagle wstałeś i gdzieś poszedłeś. I w tej samej chwili facet z chevroleta podszedł do stolika i natychmiast wyprowadził Joasię. Odjechali błyskawicznie. Ja zaparkowałem dwie ulice dalej, bo na tej, na której znajdował się ogródek, był zakaz parkowania.

— Oto do czego prowadzi przestrzeżenie przepisów drogowych — oświadczyłem. — Można stracić narzeczoną.

— Postanowiłem więc pójść za tobą. Myślałem, że może ty mi coś wyjaśnisz. Najpierw jednak wolałem trochę za tobą pochodzić, dowiedzieć się, gdzie mieszkasz, kim jesteś.

— Chyba nie podejrzewałeś mnie o porwanie Joasi?

„Przecież z ochotą byś to zrobił — powiedział cicho mój głos wewnętrzny. — I może trzeba było”.

„Za późno, mój marzycielu” — odpowiedziałem mu równie cicho.

— Ja musiałem podejrzewać wszystkich. Mogłem stawiać i na ludzi z chevroleta, i na ciebie. Chevroleta miałem już rozpracowanego. Znałem miejsce, w którym parkuje w Mieście, i mogłem stamtąd znów podjąć ślad — kontynuował drągał.

Spojrzałem na Joasię. Na pewno wiedziała, o czym rozmawiałem z moim głosem wewnętrznym.

— Śledziłem cię tego dnia i jeszcze następnego. Byłem blisko ciebie, gdy zamordowano człowieka...

— To był policjant, mój przyjaciel...

— Wiem, Dorota mi powiedziała.

— Chciałem nawet wtedy podejść, porozmawiać, jednak się zorientowałeś, że cię śledzę i bardzo zręcznie mi zwiąłeś. Pomyślałem, że i tak już nie będziesz miał do mnie zaufania i wróciłem do Miasta.

— Na posterunek przed willą Starucha — stwierdziłem.

— Oczywiście.

— A jak tobie, Joasiu, udało się wreszcie uciec?

— Po warszawskiej eskapadzie pilnowali mnie lepiej. Profesor chciał wiedzieć, kim jesteś i dlaczego się z tobą spotkałam, więc wymyśliłam historyjkę, że jesteś naszym wspólnym, to znaczy Klary i moim, znajomym, i myślałam, że pomożesz mi ją odnaleźć, bo ja się bardzo o nią niepokoję, a jemu, Profesorowi, już nie wierzę.

— Powiedziałaś mu, że jestem dziennikarzem i jak się nazywam?

— On to już wiedział, ma zadziwiająco dobry wywiad...

— I to działający także w Warszawie.

— Przed domem kręci się od dłuższego czasu jakiś facet — zaalarmowała Kasia.

Podszedłem do okna i ostrożnie wyjrzałem. Na rogu ulicy, pod drzewem, stał mężczyzna i popijał z butelki. Słabo go widziałem, ale w jego sylwetce dostrzegałem coś znajomego.

— Masz lornetkę? — zapytałem Michała.

— Mam, ale w samochodzie. Tu gdzieś musi być luneta — otworzył szufladę stojącego przy ścianie wielkiego biurka.  
— Jest, bardzo dobra, przedwojenna. Powiększa dwadzieścia pięć razy.

Ustawiłem się na pozycji bojowej. Bokiem do okna, żeby nie było mnie widać z ulicy i czekałem. Człowieka pod drzewem skrywał cień, ale miałem nadzieję, że się poruszy. Wkrótce doczekałem się. Jeźdźnię przejechał samochód i mężczyzna na chwilę się pokazał. Jakby chciał, żeby go zauważono z samochodu. Może chodziło o przekazanie informacji, że on tu jest i czuwa. Dzięki temu i ja go zobaczyłem — tak wyraźnie, jakby stał obok, na wyciągnięcie ręki.

— To jest fałszywy Zbierski! — wykrzyknąłem. — To znaczy facet, który podał się za policjanta, którego potem zamordowano u mnie w mieszkaniu.

— Sądzę, że nasza kryjówka jest już spalona — powiedziała spokojnie Kasia. — Musimy się ewakuować tyłem, i to szybko.

— Ale jak nas znaleźli? — zdziwił się dobrodusznie Michał.

Nie dowiedziałem się, w jaki sposób Joasi udało się ująć gangsterom. Przecież mogła skończyć jak ja. Mocne uderzenie w głowę i potem buch! nieprzytomnego pacjenta lub pacjentkę w zimną wodę glinianki, i po sprawie. Tak rozwiązują problemy chłopcy Profesora. Wiedziałem coś o tym, ale teraz nie było czasu na dalsze rozmowy, bo po prostu uciekaliśmy. Nie wiem dlaczego, jednak typ o wyłupiastych oczach nie budził mojego zaufania od pierwszego wejrzenia. Nawet wtedy, gdy brałem go za policjanta i to poleconego przez Jacka. Poganiałem więc towarzystwo, choć przecież to dość absurdalne zachowanie: czworo dorosłych ludzi, w tym dwóch mężczyzn, z których jeden zdecydowanie przewyższa rozmiarami statystycznego Polaka, ucieka przed niepozornym facetem, który stoi sobie pod drzewem i popija jakiś napój z plastikowej butelki. Nie widać, aby miał ze sobą pistolet maszynowy. Nawet zwykłego rewolweru nie miałyby gdzie ukryć. Ubrany w koszulkę polo i dżinsy musiałyby broń chyba trzymać jedynie w zwykłej torbie plastikowej z nadrukiem jakiegoś supermarketu, do której schował butelkę z resztą napoju, a to chyba niewłaściwe miejsce dla broni.

Przeszliśmy jak dzieci przez dziurę w płocie i tym samym zielonym tunelem, którym dostałem się wraz z Kasią na teren posiadłości dragala, teraz ją gęsiego opuszczaliśmy. Corsa rudej dziennikarki stała dwie ulice dalej.

Ktoś rzucił pomysł, żeby Michał okrążył domek i nagle po-

jawił się przed nim, po czym wsiadł do swojego samochodu zaparkowanego przed furtką od frontu i odjechał. To miało zmylić wyłupiastookiego. Jest przekonany, że Michał siedzi wraz z Joasią w domu, a tu siurpryza: drażał nadchodzi sobie nie wiadomo skąd. Wyłupiastooki pomyśli, że coś przegapił, a więc może również dziewczyny nie ma w domu? W takim razie po co dłużej ma tkwić pod ulicznym drzewem?

I chociaż drugi samochód mógł nam się przydać, pomysł został uznany za ryzykowny. Nie chcieliśmy się też rozdzierać. W grupie rażniej.

Wsiadliśmy więc w czwórkę do samochodu (o dziwo, zmieścił się nawet Michał) i ruszyliśmy bez planu na dalszy ciąg. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy i co dalej zrobimy.

Kasia jechała powolutku i milczała z marsmem na czole, co zapewne związane było z gorączkowym myśleniem. Ja gapiłem się przez okno, oglądając dawno nie widziane fragmenty Miasta, a obok mnie wierciła się Joasia, próbując znaleźć trochę miejsca dla swoich długich nóg. Przypadło jej miejsce za długim narzeczonym, który aby pomieścić swe członki, musiał odsunąć fotel daleko do tyłu.

— O! — powiedziałem nagle. — Za tym domem jest mała uliczka, a na tej uliczce jest stary dom. W tym starym domu mieszka moja ciotka Adelajda.

— To brzmi jak początek bajki — zauważyła Joasia.

— Bo moja ciocia-babcia to postać z dawnej bajki — wyjaśniłem.

— Więc? — zapytała Kasia, jakby nie domyślając się, do czego zmierzam. Ale chyba się domyślała, bo wyraźnie zwolniła. Z trzydziestu na godzinę do pięciu.

— Odwiedzmy ciocię — zaproponowałem.

— W czwórkę? Chyba się zdziwi. — Joasia spojrzała na mnie.

— Ciocia Adelajda dziwi się tylko wtedy, gdy bohaterowie seriali telewizyjnych zachowują się inaczej, niż się spo-



dziewała. W życiu, jak mówi, niczemu od dawna się nie dziwi, zdaje się od czasu, gdy wieloletni narzeczony wziął cichy ślub z jej najlepszą przyjaciółką. Było to w trzydziestym dziewiątym, ciocia miała pewnie dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Pan Benedykt został zmobilizowany i przed wyruszeniem na front w tajemnicy się ożenił. Ale nie z ciocią, z którą był formalnie zaręczony. Zginął pod koniec września, a o tym, że zginął jako cudzy mąż, ciocia dowiedziała się już po wojnie. Marysia, jej przyjaciółka, nie wyszła więcej za mąż. Zresztą ciocia też nie. Przyjaźniły się dalej, równie intensywnie jak niegdyś, aż do śmierci Marysi kilka lat temu. Razem jeździły na grób gdzieś w okolicy Tomaszowa Lubelskiego. W grobie tym być może Benedykt leży, ale to nic pewnego, i ciocia o tym dobrze wie.

— Fantastyczna historia — rzekła Kasia. — Im więcej dowiaduję się o twojej ciotce, tym bardziej wydaje mi się ona fascynującą osobą.

— A co to dopiero będzie, jak ją poznasz osobiście — powiedziałem. — Kontakty z ciocią pozostawiają niezatarte wrażenia.

Zgodziliśmy się, że warto choćby na godzinę gdzieś przycupnąć, aby pomyśleć w spokoju, co dalej. U cioci powinno być bezpiecznie, bo mojej cioci w żaden sposób nikt nie powinien skojarzyć z Joasią czy dragalem. To chyba ich (albo tylko jej) poszukuje mafia, fałszywy Zbiński i kto tam jeszcze.

Kasia, jak zwykle, zaparkowała dwie ulice od domu cioci i oglądając się za siebie, powędrowaliśmy między domami.

— Znam tu dwa skróty — powiedziałem.

I pokazałem przyjacielom, w jaki sposób można szybko przedostać się na sąsiednie ulice. Ot tak, na wszelki wypadek.

— Radek! — wykrzyknęła ciocia na mój widok. — To miło, że pamiętasz o swojej starej ciotce.

Nie robiła mi żadnych wyrzutów, że nie byłem u niej pewnie rok, a może nawet dłużej. Wyciąłowałem staruszkę, która

wyglądała świetnie. W starych dżinsach i męskiej flanelowej koszuli, szczupła jak dobrze utrzymana czterdziestka, kręciła się żwawo z radością w oczach na widok niezapowiedzianych gości. Jedyne zupełnie siwe włosy kazały przypuszczać, że jest nieco starsza.

— Wejdźcie, dzieci.

— Ciociu — przedstawiłem najbliższej stojącą Kasię — to jest redaktor Dorota Szopa.

— Czytam wszystkie pani artykuły! — wykrzyknęła ciotka. — I widziałam w telewizji. Ale w telewizorze jest pani zupełnie inna... A to przecież chucherko. Że też takie chucherko wydało wojnę mafii w naszym mieście! A gdzie są mężczyźni?

— Tu ma ciocia dużego mężczyznę — powiedziałem.

— Michał...eski.

— Jak? Przedstaw się wyraźnie, chłopcze! — zażądała ciocia Adelajda, patrząc w górę w kierunku jasnych wąsów.

— Michał Trebieski! — wyraźnie i głośno powiedział drańgal. Robił się powoli czerwony jak dorodny pomidor.

— Czy z tych Trebieskich, którzy przed wojną mieszkali we Wsoli? Obok Gombrowiczów?

— Chyba nie, proszę pani — powiedział Michał. Miał rumieńce i mimo swych stu dziewięćdziesięciu centymetrów z ogonkiem wyglądał na małego chłopca. Takiego upupionego Józia.

— A panienka? — Ciocia zwróciła się w kierunku Joasi.

— To jest Klara, co ja mówię, Joasia Wrońska. Uczy historii w szkole, ciociu, a teraz ukrywa się przed mafią.

— Nie znasz imion swoich znajomych dziewcząt? — zapytała ciocia.

— Naprawdę, nie wiem, skąd to przejęzyczenie. Choć ja Joasi prawie nie znam. Widzę ją dopiero drugi raz w życiu, przy czym pierwszy raz widziałem ją jako Klarę. Jest narzeczoną Michała.

Ciocia zlustrowała parę narzeczonych i powiedziała autorytatywnie:

— Pasują do siebie. — I zafrasowała się: — Nie mam obiadu dla pięciu osób.

— Ależ, ciociu — powiedziałem. — Nie mogłaś się nas spodziewać. Poza tym nie przyszliśmy na obiad.

— Lecz pora przecież obiadowa.

— Więc mogę zrobić michę sałatki greckiej. Na taki upał to znakomity lunch.

— Co za „lancz”? Czy nie możemy zjeść po polsku obiadu? Zwłaszcza że kuchnia angielska marniutka.

— Ciociu, od kiedy się znasz na angielskiej kuchni? Przecież uwielbiasz kuchnię polską i to najlepiej w kresowym wydaniu. Kołduny i takie rzeczy...

— Człowiek wciąż się zmienia — powiedziała ciocia z zadumą. I szybko dodała: — Czy myślisz, że jestem taka stara, że nie mogę spróbować nowych smaków? Tylko kartofle z zsiadłym mlekiem mam zjadać albo schabowego z kapustą, żeby było po polsku? I tak aż do śmierci? Co?

— Ależ, ciociu, duchem jesteś młodsza ode mnie.

— A pewnie, że tak — zgodziła się. — Wy, młodzi, to tacy jacyś bez ikry jesteście.

Milczeliśmy, więc ciocia pospieszyła z dodatkowymi wyjaśnieniami na temat swych eksperymentów kulinarnych.

— Melchior uczy mnie angielskiego — powiedziała — bo podobno dziś bez języka angielskiego się nie da. Przy okazji opowiada mi o Wielkiej Brytanii, a to o kuchni, a to o szkockich napitkach. Potem wszystko sprawdzamy w praktyce, zwłaszcza jakość tych słynnych trunków. Degustujemy sobie po troszeczku... — I zaczęła się śmiać zadowolona.

— Pan Melchior w czasie wojny był w Anglii... — zacząłem wyjaśniać towarzystwu.

— Był lotnikiem. Najczęściej opowiada mi o samolotach. Porównuje angielskie i niemieckie. Które lepsze.

— Ale tego się nie da chyba zdegustować — powiedziałem.

— Po kim ty masz taki złośliwy dowcip? — spytała ciocia-babcia Adelajda.

— Nie wiem, ciociu, ale rzeczywiście taki już się urodziłem. Ty zresztą też zażartować potrafisz. U nas to chyba rodzinne?

— A pewnie, że rodzinne. Twój dziadek to znakomicie udawał małpę... Wszystkie dzieci potrafił rozśmieszyć. Tylko ogona mu brakowało... To po nim, po nim... A tobie jeszcze ogon nie wyrósł?

— Ciociu, jak możesz. Co sobie pomyślą o mnie moi przyjaciele?

— Więc mówiłeś coś o sałatce greckiej — ciocia zmieniła temat.

— Tak, ciociu, tylko zajrzę do lodówki.

— Jak potrafisz, to zabieraj się do dzieła. Potem zdegustujemy sobie po szklaneczce czegoś bardzo dobrego. Nazywa się Chivas regal... — powiedziała ciocia z wyraźnym brytyjskim akcentem.

— Ciociu, może po troszeczkę zdegustujemy już teraz? Szklaneczka dobrej whisky przed jedzeniem nie zaszkodzi... Ot, tak na apetyt, a dwunastoletnia Chivas regal to moja ulubiona.

— Na apetyt, powiadasz. To mi się podoba. Moja krew. — Ucieszyła się ciocia. Ale zaraz dodała: — Wymawia się „chivas regal”.

— Tak, ciociu — odrzekłem grzecznie, choć nie uchwyciłem różnicy. Niestety, talentu językowego po cioci-babci nie odziedziczyłem.

Wypiłem z ciocią po szklaneczce (reszta towarzystwa zostawiła swoje porcje na później), sprawdziłem skromne zapasy w lodówce i postanowiłem udać się do pobliskiego sklepu w celu ich uzupełnienia.

Typowa letnia grecka sałatka, czyli choriatiki składa się

przede wszystkim z pokrojonych w plastry pomidorów i ogórków oraz krążków zielonej papryki i cebuli. Do tego kawałki owczego sera feta i garść czarnych, wędzonych oliwek. No i oczywiście zioła, przede wszystkim oregano, ponadto ocet winny, pieprz i sól. Aha, i sporo soku ze świeżej cytryny. To wszystko Grecy polewają oliwą (oczywiście z oliwek i najlepiej z tak zwanego pierwszego tłoczenia, czyli extra vergine), i to tak obficie, że po zjedzeniu samej sałatki można jeszcze długo maczać w sosie chleb. Co zresztą uwielbiam robić, popijając zimną retsinę.

Moja sałatka grecka nie trzyma się żadnych reguł. U siebie w domu dodaję do niej to, co mam pod ręką: zieloną sałatę, kukurydzę z puszki czy kawałki surowego kalafiora. Czarne oliwki zastępuję często zielonymi, wyciskam też zazwyczaj ząbek czosnku. Wrzucam listek lub dwa bazylii, którą hoduję w doniczce. Za podstawę sałatki uważam wszystkie płody ziemi w kolorze czerwonym, jak pomidory czy papryka, i zielonym, jak ogórki. Ten mój wybór kolorów uznali już wybitni badacze, którzy stwierdzili, że to, co zielone (np. brokuły albo herbata, oczywiście zielona) i czerwone (wytrawne wino! pełna zgoda!!!) jest najzdrowsze. Zmniejsza ilość cholesterolu, zapobiega różnym rakom itd. Dostaną pewnie za to Nobla, a to ja byłem pierwszy.

„Co to właściwie jest, prywatna książka kucharska? — odezwał się mój głos wewnętrzny. — Bo chyba nie powieść?”

„Jedzenie, mój drogi, to samo życie. Gdybym nie jadł, to byś, bratku, nie miał siły nawet pisnąć, a co dopiero się wymądrzać”...

„Ale powiedz wreszcie, co ty piszesz? Jaki to gatunek literacki?”

„Witkacy uważał, że powieść to worek, do którego można wrzucić wszystko. Filozoficzne rozważania i sporo perwersyjnej erotyki, dywagacje o rewolucji oblane historiozoficznym sosem”...

„Kto dziś czyta powieści Witkacego? Studenci polonistyki i garść snobów”...

„Ja czytam, i możesz mnie uważać za snoba, bratku... Ale rzeczywiście koncepcja powieści jako worka wydaje mi się przestarzała. Powieść powinna być jak sałatka grecka. Dużo zdrowych składników w radosnych i żywych kolorach. Lekkostrawny produkt, po którym brzuch nie boli, ani głowa, jeśli oczywiście popije się sałatkę rozsądną ilością wina”.

„Więc co zaproponujesz do popijania sałatki?” — Mój głos wewnętrzny chyba dość miał literackich rozważań, które sam, nieborak, rozpoczął. A może potrzebował jeszcze odrobiny alkoholu, bo podobno on działa na alkohol.

„Coś wybierzemy. Dzisiaj nawet w zwykłym sklepie osiedlowym w Mieście kupimy zapewne i fetę, i oliwki, i dobrą oliwę, i nawet jakieś niezłe winko”.

Nie myliłem się. Nie było, niestety, żadnego greckiego trunku, ale znalazłem tanie i przyzwoite białe wino z Włoch. Więc nabyłem dwie butelki, jedną na teraz, drugą dla cioci, na później.

Sałatka smakowała nad podziw, a wszystkie trzy panie pogratulowały mi zdolności kulinarnych. Nie widziałem powodu, żeby przyznać się, że choriatiki jest nie tylko moim numerem popisowym, ale także moim numerem jedynym w zakresie sztuki kuchennej. Numer pierwszy i ostatni.

— Więc powiadasz, że ta piękna panienska ukrywa się przed mafią — zaczęła ciocia Adelajda, gdy już piliśmy whisky.

Oczywiście znów we dwoje, ja z ciocią, bo Kasia i Michał kierowcy, a Joasia stwierdziła, że ma już dość alkoholu.

— Tak, ciociu.

Przyjęła za fakt naturalny, że w naszym otoczeniu są ludzie, którzy ukrywają się przed mafią. W końcu widziała w telewizji nie takie rzeczy. Zażądała jednak szczegółów. Przedstawiłem zatem w sporym skrócie wydarzenia ostatniego tygodnia. Od spotkania Klary Zameczek, czyli Joasi w ogródku

piwnym w centrum stolicy aż po naszą zbiorową dzisiejszą ucieczkę przed fałszywym Zbierskim, podejrzanym typem o wylupiatych oczach, zapewne człowiekiem mafii.

— A nie trzebaż go było złapać i na tortury? Może by coś wyśpiewał?

— Ależ, ciociu, nie żyjemy w czasach pana Andrzeja Kmicyca. Dzisiaj podejrzanego należy elegancko przesłuchać, zapewnić mu obrońcę...

— No i widzisz, do czego ta elegancja doprowadziła... Bandyci chodzą sobie ulicami, napadają na staruszki. Wszyscy się ich boją, nawet policja. Elegancja to obowiązuje wobec ludzi z towarzystwa, a nie wobec złoczyńców.

— Ale jak rozpoznać, kto jest złoczyńcą?

— Masz rację, wszystko z tego pomieszania. Plebs wszedł na salony, a salony zmarniały. Dziś człowiek porządny, z dobrej rodziny, wykształcony, to przeważnie biedę klepie. A taki, co przed wojną byś go do przedpokoju nie wpuścił, tylko na progu trzymał, dziś pan, bo się nakradł, ludzi naoszukiwał i teraz ma pozycję. Wszystko na odwrót.

— Tak, ciociu. — Nie zamierzałem się sprzeczać ani dyskutować z ciocią-babcią Adelajdą.

— Panienska Joasia niech na razie zostanie u mnie — zdecydowała ciotka. — A my musimy dowiedzieć się, co robi ten Profesor. Trzeba go śledzić.

— To nie będzie łatwe — wtrąciła się Kasia. — On zna mnie i Konrada, a Michał za bardzo rzuca się w oczy.

— Zaraz zorganizujemy ekipę. — Ciocia miała rumieńce jak nastolatka. Od wina i whisky, które piła niemal równo ze mną, czy też z przejęcia całą aferą? Stawiałbym raczej na to drugie.

— To lepsze niż kryminał w telewizji — cieszyła się.

Ciocia wzięła pod rękę Dorotę czyli Kasię i poszły sobie do telefonu w drugim pokoju. Wróciły po kilkadziesiąt minutach.

— Radek, nalej mi szklaneczkę, ale niedużo, bo szykuje nam się pracowity dzionek. I zostaw trochę dla Melchiora. Zaraz tu będzie i jako najwyższy rangą obejmie dowództwo.

— Oczywiście — zgodziłem się.

To mi odpowiadało. Tak powinno być, żeby świat trzymał się w ryzach. Niechaj wreszcie zaczną rządzić ludzie z doświadczeniem i autorytetem. Trzeba słuchać starców.

— Tu będzie centrala. Zapiszcie sobie mój telefon — poleciła ciocia Adelajda — a na tej kartce spiszcie wasze numery telefonów komórkowych. Przepisze je sobie każdy. W akcji bierze też udział Zosia, pan Karol i pan Anatol. Zosia jest zmotoryzowana, ale musi pożyczyć telefon, a Karol i Anatol mają komórki. Tylko że Anatol ma trudności z chodzeniem, więc musimy gdzieś go posadzić.

— Może w hotelu... Tam jest ten apartament, z którego okna wyleciał Brzusio. Wiem, że Profesor bywa w hotelu często i korzysta z apartamentu dla różnych tajnych spotkań — zaproponowała Kasia. — Na dole jest barek, z którego można obserwować wejście.

— Bardzo dobry pomysł — powiedziałem.

— Trzeba obserwować przynajmniej trzy miejsca — dodała Kasia. — Apartament w hotelu, willę, w której przetrzymywano Joasię, oraz mieszkanie prywatne Profesora. Znam adres.

— Nie zrozumcie mnie państwo źle... — odezwał się milczący do tej pory drażal. Wyglądał na najbardziej trzeźwego z całego towarzystwa i chyba zdziwionego rozwojem wypadków — ...ale my przecież nie prowadzimy wojny z gangiem. — Chwilę pomyślał i mówił dalej: — Przyszliśmy do pani Adelajdy, żeby się zastanowić nad kryjówką dla Joasi. Udało się jej czmychnąć w zamieszaniu, jakie spowodowała wśród gangsterów wiadomość o znalezieniu ciała Klary. Ale teraz Joasia nie jest już Profesorowi do niczego potrzebna. Mistyfikacja zakończona, wszyscy wiedzą, że Klara nie żyje. I choć Profesor może się obawiać, że Joasia sporo widziała i w razie



czego byłaby niebezpiecznym świadkiem, ma na pewno sporo problemów na głowie z kierowaniem gangiem. Teraz trudno mu będzie przekonać tych mafiosów, że to on ma posag Klary.

— Do czego zmierzasz? — zapytała Kasia.

— Ano do tego, że gdybyśmy się teraz ukryli z Joasią na kilka dni, to zapewne w tym czasie Profesor o nas zapomni. I po sprawie. A może oni zdążą się w tym gangu pozabijać wzajemnie w walce o władzę? Więc tym bardziej będzie po sprawie.

— Nie mówisz chyba poważnie?! — zawołała Kasia. — To teraz, gdy jesteśmy tak blisko wyjaśnienia zagadki posagu Klary i być może rozbicia gangu, mamy się wycofać? Czy tak?!

Widziałem, że cioci-babci Adelajdzie bardzo spodobało się wystąpienie Kasi. Ja myślałem podobnie jak drągal.

— Oj, Kasiu — powiedziałem. — My przecież nadal nic nie wiemy i wcale nie zbliżyliśmy się do rozwiązania tajemnicy gangu. Jak na razie, mieliśmy strasznie dużo szczęścia. Mnie przed utonięciem w stawie uratował w ostatniej chwili Michał. Nie wiemy, czy policjant, którego zastrzelono u mnie w mieszkaniu, nie zginął zamiast mnie. Wreszcie wszystko wskazuje na to, że Joasi udało się uciec w momencie, w którym zagrażało jej śmiertelne niebezpieczeństwo. My wciąż igramy ze śmiercią.

— Bez ryzyka niczego nie osiągniemy — oznajmiła Kasia.

— Zgoda, ale ryzyko ma sens tylko w pewnych granicach. Po ich przekroczeniu to jest już szaleństwo albo samobójstwo. Mamy przecież do czynienia z ludźmi gotowymi na wszystko. Oni zabijają bez skrupułów.

„Dobrze mówisz” — odezwał się mój głos wewnętrzny.

„Nikt cię nie pyta o zdanie”. — Nie byłem zadowolony z jego oceny.

— Więc co, zostawicie tych gangsterów, żeby się rozplelili bezkarnie? — wtrąciła starsza pani.

— Ależ, ciociu, od walki z gangami jest policja, prokura-

tura, inne organy. Oni są do tego przygotowani, mają broń, odpowiednio wyszkolonych ludzi...

— I nie dają sobie zupełnie rady. A wiecie dlaczego?  
— zapytała ciocia Adelajda. — Bo wszyscy uważają tak jak Konrad, że walką z gangami powinno zająć się państwo. Broń Boże ja, broń Boże my. Jednak państwo to również my.

— Ale jeżeli nie wychodzi specjalnie powołanym do tego służbom, to jak my sobie poradzimy? Ten Profesor w złotych okularkach wystrzela nas wszystkich albo potopi w okolicznych gliniankach w ciągu kilku godzin.

— Czy ty, Radku, myślisz, że Profesor jest mądrzejszy od babci Adelajdy? Albo odważniejszy od Melchiora, który dosłużył się majora u Anglików i stracił dwadzieścia sześć niemieckich samolotów?

— Nie, ciociu, tak nie myślę. Tylko my nie potrafimy zabijać ani topić nieprzytomnych ludzi w gliniance. Pan Melchior strzelał, ale do wrogów i to działa się na wojnie. Profesor zaś jest bezwzględny, nie liczy się z nikim ani z niczym. My tak nie potrafimy, powtarzam. I to jest nasza słabość.

— My go pokonamy inteligencją. Rozegramy z tym, jak mówicie, mistrzem szachowym partyjkę, w której damy mu mata — podsumowała ciocia.

— Czy wiesz, Joasiu, że minął dopiero tydzień od naszego spotkania? — zapytałem. — Wydaje się, że to było tak dawno. Tyle się w tym czasie zdarzyło.

Joasia uśmiechała się, ale milczała.

„Ile ona ma wcieleń?” — zastanawiałem się.

Poznałem ją jako Klarę. Tajemniczą blondynkę, której oczu nie mogłem dojrzeć za miodowymi szkłami okularów. Rezolutną, wygadaną łapiącą w pół słowa, o co mi chodzi. Miałem wrażenie, że natychmiast powstała między nami subtelna, ale i mocna więź. Wczoraj objawiła się jako Joasia, narzeczona najwyższego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek znałem osobiście, a także jako osoba małomówna, odpowiadająca raczej uśmiechem niż słowami. Była piękniejsza, niż to sobie wyobrażałem i zarazem bardzo odległa. Jeszcze wczoraj wydawało mi się, że znam tę dziewczynę od dawna, a ona zna mnie. I gdy patrzy swymi oczyma koloru nieba, przenika mnie na wskroś. A dziś już nic o niej nie wiedziałem. Jakby odpłynęła gdzieś daleko, chociaż dobrze się nam razem milczało. Siedzieliśmy w kuchni cioci-babci Adelajdy i piliśmy świeżo zaparzoną mocną kawę. Był kolejny gorący ranek, mimo że w nocy spadł ulewny deszcz i trochę oczyścił atmosferę. Joasia została na noc u cioci. Spała w najmniejszym pokoju, a ja w sąsiednim, który teraz został zamieniony na pokój dowódcy. Pan Melchior zjawił się punktualnie o ósmej rano. Ogolony, w czystej bawełnianej koszuli, pachnący wodą ko-

łońską. Bardzo dziarski i zupełnie łysy staruszek, poruszający się sprężystym krokiem. Prawie dziewięćdziesiąt lat, a energia młodzieńca. Ciocia obudziła mnie i wygoniła z pokoju. Rad nierad musiałem rozpocząć kolejny dzień.

Dowództwo obradowało już z godzinę. Major, ciocia-babcia Adelajda i Kasia, która przyjechała z lekkim opóźnieniem usprawiedliwionym przez jakieś ważne, a tajemnicze spotkanie. Z tego, co do mnie docierało, akcja opatrzona kryptonimem „Szach i mat” rozwijała się znakomicie. Pan Anatol został już dowieziony do barku w hotelu, w którym bywał Profesor. Zajął tam ważną pozycję obserwatora nad szklanką herbaty z cytryną. Wyposażony w telefon komórkowy miał przesłać sygnał natychmiast po zauważeniu podejrzanego. Pod willą Starucha czuwał z kolei drażal. Mimo chwilowego oporu przeciw wojnie z gangiem pozwolił się wciągnąć do działania, a że znał dobrze teren i, jak twierdził, miał swoje sposoby, aby nie dać się zauważyć, został posłany na stały posterunek.

Natomiast w okolicy mieszkania Profesora kręcił się pan Karol. Udawał emeryta na spacerze z psem. Odpowiedni rekwizyt, to znaczy pies rasy jamnik, był w jego posiadaniu od dawna. Zadaniem pani Zosi, jako osoby zmotoryzowanej, było przejąć obserwację podejrzanego, gdyby wyruszył on samochodem. Dlatego pan Melchior wybrał parking położony mniej więcej w równej odległości od obserwowanych miejsc i tam polecił Zosi czekać na rozwój wydarzeń.

— Wyszedł z domu! — zawołała Kasia, wpadając do kuchni. — Czy możecie przygotować dzbanek świeżej kawy? A dla pana majora mocną herbatę?

— Tak jest! — wykrzyknąłem. — Rozkaz zostanie wykonany!

Dowiedzieliśmy się, że Profesor nie spiesząc się, jedzie czarnym chevroletem w kierunku Warszawy, oczywiście w towarzystwie obstawy, a za nim pani Zosia w swoim seicento. Natychmiast został odwołany ze swojego posterunku Michał i skiero-

wany na tę samą trasę. Ma dogonić i zastąpić Zosię. Chodzi o to, aby Profesor nie zorientował się, że jest śledzony.

Gdy Kasia przyszła po kilku minutach po kawę i herbatę, dowiedzieliśmy się, że Profesor skręcił w boczną drogę i pojechał w kierunku znanej stadniny koni.

— Jej właścicielem był Staruch — powiedziała Kasia, która wiedziała wszystko o zabitym gangsterze.

— Klara podobno bardzo lubiła jeździć konno. Miała swoją ulubioną klacz, Mirę. Słyszałam, że koń nikogo nie dopuszczał do siebie oprócz Klary — odezwała się milcząca do tej pory Joasia.

— To bardzo ważne! — krzyknęła Kasia i wybiegła.

Poszedłem za nią, żeby zanieść kawę i herbatę, o których zapomniała. Pan Melchior siedział przy stole nad dużą mapą Miasta i okolic, badając za pomocą lupy trasę przejazdu Profesora. Ciocia czuwała obok telefonu. Przed sobą miała otwarty notes i kilka kolorowych ołówków.

Kasia mówiła, że może właśnie w stajniach Klara ukryła słynny posąg. Jeździła tam prawie codziennie, a koń nie wpuszczający nikogo prócz niej do swego boksu, mógł być znakomitym strażnikiem.

„To rzeczywiście wydaje się prawdopodobne” — pomyślałem i chyba miałem rację.

Ze sprawozdania Michała, który z sąsiedniego wzgórza obserwował przez lornetkę stadninę, wynikało, że stajennym udało się wyprowadzić wierzgającego konia, a Profesor zniknął na pewien czas w zabudowaniach. A potem szybko z nich wybiegł ze sporym pakunkiem i wsiadł do samochodu.

Wypadki toczyły się błyskawicznie. Michał pojechał za chevroletem, a w połowie drogi zmieniła go pani Zosia. Niedługo potem otrzymaliśmy dwa meldunki: od pani Zosi i pana Karola. Obydwoje zauważyli, że Profesor przyjechał do swojego mieszkania. Tam zostawił pakunek, po czym wyszedł z torbą pełną książek i udał się do pobliskiego introligatora.

Skąd wiemy, co było w torbie? Pan Karol po prostu podreptał ze swoim jamnikiem za Profesorem i przez szybę zakładu introligatorskiego zobaczył, co Profesor wykłada na stół. Następnie Profesor wrócił do siebie. Przed domem stał cały czas czarny Chevrolet. Profesor coś powiedział czekającym nań ludziom.

Potem akcja się zatrzymała. Profesor siedzi sobie we własnym mieszkaniu, a pod jego domem stoi czarny Chevrolet. Nic się nie dzieje. Pan Karol musi już iść do domu, bo ani on, ani jego jamnik nie mogą spędzać tyle czasu na słońcu, więc pani Zosia dowozi pana Anatola, który zostaje usadzony na pobliskiej ławce. Na szczęście ławka jest w cieniu rzucanym przez rozłożyste drzewo. Nadal nic się nie dzieje. Pan Melchior wygłasza opinię, że w czasie akcji najtrudniejsze jest oczekiwanie. Zwycięża często ten, kto wykaże większą cierpliwość. Staramy się więc wszyscy być cierpliwi. W końcu Kasia postanawia pojechać do introligatora. Gdy po godzinie wraca, dowiadujemy się sensacyjnych rzeczy. Oto jej opowieść:

— Wchodzę do zakładu i rozglądam się ciekawie. Z zaplecza wyłania się starszy pan w fartuchu poplamionym klejem. Mówię, że mam kilka starych rozlatujących się książek, które chciałabym oddać do oprawy, i zadaję pytania, które przy takiej okazji można zadać: o cenę, termin usługi itd. A na to starszy pan, że normalnie to on robi takie rzeczy z dnia na dzień, bo obecnie nikt już prawie nie oprawia książek, więc nie ma za dużo pracy. Oprawia się prace dyplomowe czy magisterskie, ale robią to firmy, w których można najpierw pracę wydrukować z dyskietki albo skopiować drugi czy trzeci egzemplarz. On jednak takich urządzeń jak kopiarka czy komputer już sobie nie kupi. Nie dlatego, żeby nie potrafił ich obsługiwać. Dlatego, że za mało zarabia. Po prostu go nie stać. Natomiast dziś dostał dużą robotę, jakiej nie miał od dawna. Więc mógłby moje książki oprawić dopiero za dwa, trzy dni. Na poniedziałek.

Kasia przerwała, żeby wypić łyk kawy, a my czekaliśmy na dalszy ciąg.

— „A jednak są wciąż ludzie, którzy oprawiają książki” — stwierdziłam.

„Wie pani — na to staruszek, z trudem kryjąc oburzenie — jakie dostałem zlecenie? Mam książki oprawić, ale nie tylko. W środku mam powycinać dziury, takie, żeby się zmieściły kasyety wideo. Nawet dostałem jedną by dobrze wymierzyć otwór, bo każdy ma być idealnie dopasowany, żeby kaseeta nie wypadła. Gdyby nie to, że naprawdę coraz trudniej w moim zawodzie zarobić na chleb, na pewno odmówiłbym. Bo jak można tak niszczyć książki!”

„Ludziom dziś książki niepotrzebne, wolą oglądać filmy. Tylko dziwi mnie takie oszustwo, że to niby na półce stoją książki... W wielu domach widziałam całe regały wypełnione kasetami zamiast książek i ludzie wcale się tego nie wstydzą” — powiedziałam, żeby podtrzymać rozmowę.

„Właśnie, ludzie dziś nie czytają i przyznają się do tego bez wstydu... Ale po co niszczyć książki?” — przytaknął mi staruszek.

„A co to za książki, z których ma pan zrobić te pudełka dla kaset? Czy cenne?”

„To wszystko są dzieła o szachach. Większość w obcych językach, głównie po rosyjsku. Nie wiem, czy mają jakąś wartość. Dla mnie jednak każda książka jest cenna, bo zapisana jest w niej ludzka myśl”.

A więc Profesor chce ukryć w książkach kasyety wideo.

— Może to pornosy — powiedziałem w natchnieniu — które Profesor ogląda sobie w zaciszu domowym? On mi wyglądał na zbrojeńca.

— Niektórzy uważają że Profesor lubi chłopców, bo w jego towarzystwie nigdy nie widuje się kobiet — wtrąciła się Dorota czyli Kasia.

— To by wszystko wyjaśniało. To są kasyety z jakimiś per-

wersjami, do których Profesor nie chce się przyznać, ale lubi mieć kasety pod ręką. Stąd pomysł, żeby ukryć je w książkach. I to takich, których nikt w jego otoczeniu nie weźmie do ręki. Bo kto z gangu będzie czytać książki o szachach, i to w obcych językach.

— Nie sędzę, żeby Profesor był homoseksualistą — odezwała się Joasia. — Obserwowałam go przez kilkanaście dni. Widziałam, jak patrzył na mnie — zaczerwieniła się.

— Ale paskudnym sadystą jest — powiedziałem. — Normalni ludzie nie mordują bliźnich.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak włamać się do Profesora i wykraść te kasety. Podejrzewam, że to nie są pornosy — rzekła Kasia.

— Tylko co?

— Nie mam pojęcia, ale sędzę, że te kasety mogą być bardzo ważne dla wyjaśnienia tajemnicy posagu Klary.

— Jak sobie wyobrażasz takie włamanie? I kto to ma zrobić? Ty i ja? — zapytałem.

— Musimy o tym pomyśleć.

Więc myśleliśmy. Jak się wkrótce miało okazać, rację miałem ja, i rację miała też sławna w Mieście pani redaktor.

Jak to możliwe — zapytacie — żeby rację miał ten, kto twierdzi, że kasety są czymś, i ten, kto twierdzi, że tym czymś nie są? A jednak możliwe. Tak jak w znanej opowieści o rabbin, do którego przyszli dwaj uczestnicy sporu, żeby mądry mąż ich rozsądził. Rabbi wysłuchał argumentów pierwszego i mówi mu: „Masz rację”. Potem wysłuchał przeciwnych argumentów drugiego i też mówi: „Masz rację”. Więc ktoś z przysłuchujących się woła: „Rabbi, to przecież niemożliwe, żeby rację miał jeden i drugi, skoro mówią przeciwne rzeczy”. Rabbi zwrócił się ku wołającemu, chwilę się zastanowił i rzekł do niego: „Masz rację”.



Mijało czwartkowe popołudnie. Mieszkanie ciotki Adelajdy, z oknami dwóch pokoi patrzącymi na południe, nagrzało się tak bardzo, że radość życia wypłynęła ze mnie wraz ze strumieniami potu. Wziąłem kolejny zimny prysznic. Pomógł na niecałe pół godziny.

Joasia, której drągal przywiózł torbę niezbędnych rzeczy i przenośny komputer, zamknęła się w małym pokoju i nad czymś pracowała. Major drzemał na kanapie. Tylko niezmodowana ciocia-babcia czuwała, ale meldunki od obserwatorów były rzadkie i skąpe.

Profesor podobno nie opuszczał swojego mieszkania, a pod domem, w czarnym samochodzie przypominającym karawan, siedzieli jego ludzie. Pana Anatola zmieniła na posterunku pani Zosia, a teraz pojechała do niej Kasia. Chciała popatrzeć sobie na mieszkanie Profesora — powiedziała. Oczywiście z zewnątrz. A więc zamiar włamania nadal tkwił w jej zgrabnej główce.

Byłem przekonany, że w czasie największego upału nic ważnego nie będzie się działo. Choć mimo wyraźnej zmiany klimatu nie przejeśliśmy jeszcze od mieszkańców południa zwyczaju sjesty, i tak życie w środku gorącego dnia spowalniało.

— Jeśli się coś wydarzy — powiedziałem do ciotki — to dopiero wieczorem, gdy będzie chłodniej. W takim upale nawet gangsterom nic się nie chce.

Zdecydowaliśmy się więc z ciotką-babcią na otwarcie dru-

giej butelki włoskiego wina, które wczoraj kupiłem. Dobrze schłodzone smakowało wybornie. Pomagało też nieco w przetrwaniu najcieplejszej pory dnia.

Wróciła Kasia i przywiozła pieczone kurczaki, zieloną sałatę i ciepłe jeszcze bagietki. Niestety, nie dokupiła wina. Mimo więc upału powlokłem się do znanego już sklepu i kupiłem jeszcze dwie butelki tego samego bianco. Sprawdzone, więc po co ryzykować z nieznanymi gatunkami?

Gdy znalazłem się z powrotem w mieszkaniu, Kasia narażdała się z cicią Adelajdą i panem Melchiorem w kwestii włamania do Profesora. Cioci świeciły się do pomysłu oczy, a majorowi spocona łysa czaszka.

— Profesor mieszka na trzecim, najwyższym piętrze, starej kamienicy. Obok jest druga, tej samej wysokości. Można w niej łatwo wejść na dach, bo włącz, do którego prowadzi wygodna drabina, jest zamknięty tylko na starą kłódkę. Otworzymy ją bez trudu. A potem po dachu trzeba przedostać się na dach sąsiedniego domu, zeskoczyć na balkon mieszkania Profesora i wejść do środka.

— Czy ty w ogóle rozumiesz, co proponujesz? — zapytałem. — Mamy najpierw włamać się na dach, urywając kłódkę, a potem do cudzego mieszkania. W jaki sposób? Wybijemy albo wytniemy szybę w drzwiach balkonowych? Czy tak?

— Niczego na razie nie proponuję. Ja tylko rozważam możliwości — odpowiedziała Kasia.

„Ona wcześniej namówiła ciebie na przedsięwzięcie, które zakończyło się prawie naszą śmiercią — wtrącił się mój głos wewnętrzny — a teraz chce nas zaprowadzić prostą drogą do więzienia”.

„O to się nie martw. Czy słyszałeś, żeby w Polsce złapano jakiegoś włamywacza? A tym bardziej, żeby skazano go na więzienie? To w tym kraju najbezpieczniejszy zawód. I nie grozi w nim bezrobocie. Nie dziwię się, że decyduje się na to tyle młodziży”.

„Jeżeli nie obawiasz się wymiaru sprawiedliwości, to powinieś bać się Profesora. Gdy się dowie, że go okradliście, i to z ulubionych pornosów, zrobi wam kęsim-kęsim”.

„Co nam robi?”

„No, głowy wam pourywa”.

Gdy tak sobie gawędziliśmy, zadzwonił telefon. Ciocia skoczyła do aparatu jak pantera. Tej staruszki nie brał ani upał, ani alkohol, a udział w akcji „Szach i mat” powodował, że po prostu młodniała z godziny na godzinę.

— Profesor wyjechał — zakomunikowała. — Zosia przekazała już wiadomość Michałowi, który jedzie za chevroletem.

— Los zsyła nam okazje! — krzyknęła Kasia. — Zwróciła się do mnie: — Pojedź ze mną chociaż rozpoznać teren! Może zobaczysz coś, co ja przegapiłam.

Patrzyły ma mnie trzy pary oczu, cioci-babci, majora i Kasi. I pod ostrzałem tych wymownych spojrzeń poddałem się.

— No dobrze, pojedźmy i zobaczymy. Ale nic więcej.

— *Veni, vidi* i nic więcej... Zwycięstwa nie będzie — skomentował pan Melchior.

Jak widać, prócz angielskiego, znał też łacinę. A przynajmniej słynne powiedzenie Cezara.

Mieszkanie Profesora znajdowało się w odległości kilku minut jazdy samochodem. W Mieście wszędzie jest blisko. Samochód, zwłaszcza dla takiego zamiłowanego piechura jak ja, staje się właściwie zbędny. Co mi się zresztą zawsze bardzo podobało, gdy odwiedzałem moje ciotki. Nieraz, zniechęcony do stołecznych brudów, w których grzebałem się jak ase-nizator, a potem opisywałem w reportażach, marzyłem, że wracam na stałe do Miasta. Kupuję sobie małe mieszkanie przy cichej zielonej uliczce i zajmuję się czymś sensownym, na przykład uczeniem dzieciaków w szkole. W tych marzeniach wyobrażałem sobie Miasto jakby przeniesione wprost z mojego sielsko-anielskiego dzieciństwa. A przecież i wtedy kłębiło się w nim mocno, tyle tylko, że mało z tego prawdzi-

wego życia do mnie smarkacza docierało. Prawie nic nie zapamiętałem ze słynnego robotniczego protestu i późniejszych wydarzeń z lat 1980-1981.

Dziś mogłem stwierdzić, że w Mieście porobiło się tak samo jak w całym tym biednym, sponiewieranym moralnie kraju. Z daleka wszystko wygląda ładniej — nie jest to odkrywczе stwierdzenie, ale ja je sprawdzałem właśnie w praktyce. Sprawdzałem z bliska, a więc z perspektywy, z której rzeczywistość brzydnie.

— To jest ten balkon — wskazała Kasia.

Zatrzymała się po drugiej stronie ulicy zabudowanej kamienicami z początku dwudziestego stulecia. Secesja, którą szczególnie lubię.

— Ładne miejsce do mieszkania — powiedziałem.

Kasia nic nie odpowiedziała, ale w jej milczeniu czułem wyrzut: oto ona prowadzi walkę z gangiem, a ja się zachwyam stuletnimi kamienicami. Wyciągnęła telefon i zadzwoniła.

— Michał?... Jedzie stale w kierunku Warszawy? Znowu do tej stadniny? Nie? Już minął tę drogę? Zadzwoni do mnie, gdyby zawrócił.

— Profesor jedzie do Warszawy. Gdyby w tej chwili zawrócił, to i tak potrzebuje co najmniej pół godziny, aby tu dotrzeć.

— I co z tego? Ty naprawdę myślisz o włamaniu?

— Nie tylko myślę. Ja to zrobię. Cel uświęca środki. Popelnimy malutkie przestępstwo, ale w dobrej intencji. Popelnimy je przeciw dużemu, bardzo dużemu przestępcy. Niech raz zobaczy, jak to przyjemnie być ofiarą przestępstwa.

— Obawiam się, że on nie zechce długo być ofiarą. A wówczas obudzimy się czy raczej nie obudzimy się na dnie glinianki.

— Nie bądź takim defetystą pomyśl choć raz pozytywnie.

— Kasiu, od myślenia pozytywnego to jesteś ty. Ja jestem od realizmu. Realizmu życiowego.

Pani redaktor milczała. Nie miała ochoty na podobne dywagacje.

— A skąd wiesz, czy w mieszkaniu Profesora kogoś nie ma? — zapytałam.

— Zaraz to sprawdzę. — Znów wyciągnęła telefon i zadzwoniła.

— Ty masz numer Profesora?

— Oczywiście. Mam też numery jego dwóch komórek. Słyszysz, że nikt nie podnosi słuchawki?

— Ale jest biały dzień. Włamywacze pracują w nocy.

— I dlatego nikt nas nie weźmie za włamywaczy. — Na wszystko miała odpowiedź.

Wyszliśmy z samochodu i przyglądaliśmy się kamienicy, w której mieszka Profesor.

— Z ulicy nie widać dachu, czyli może nas zobaczyć jedynie ktoś z mieszkańców wyższych pięter po tej stronie. Ale o tej porze ludzie są w pracy albo nie im się nie chce z powodu upału.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy.

— Zresztą zobacz. W mieszkaniu na trzecim piętrze okna są pozamykane. Mieszkańców nie ma. Może wyjechali już na wakacje? A piętro niżej uchylone są tylko lufciki. Czyli zapewne też tam nikogo nie ma w tej chwili. Bo przecież przy takim upale ludzie otwierają szeroko okna.

— No dobrze, raz kozie śmierć — powiedziałam. — Zobaczymy to wejście na dach.

Moja uczciwość zależała teraz już tylko od kłódki zamykającej wejście na dach w sąsiedniej kamienicy. Może się okaże wystarczająco mocna i nie damy rady ani jej urwać, ani otworzyć? Taką miałem cichą nadzieję. Weszliśmy do bramy, z której wchodziło się do klatki schodowej. Nie było tu domofonu i nikt nie zwracał na nas uwagi. Kamienica była zapuszczona. Na schodach unosił się zapach stęchlizny, a ściany pokrywały dziwne lizaje. Było tu chłodno, jakby stare mury

nie przepuszczały upału. Na trzecim piętrze znajdowało się jedno tylko mieszkanie. Wyglądało na niezamieszkane. Na drzwiach, z których odpadała farba, pozostał blady ślad po tabliczce, a obok z otworu, w którym kiedyś był dzwonek, wystawały pokręcone druty. Naprzeciwko tych drzwi umieszczono żelazną drabinę prowadzącą do wjazdu w suficie. Spojrzałem w górę. Panował tu półmrok, oczywiście nie było żarówki, ale zdawało mi się, że dostrzegam kłódkę.

Kasia wyciągnęła dwie pary cienkich rękawiczek z folii i jedną mi podała.

— Włóż, po co mamy zostawiać odciski.

W czarnej torbie miała też latarkę i potężne kombinerki.

— Widzę, że to dla ciebie nie pierwszyna. Poznać starego fachmana...

— Jeśli już, to fachmankę. Ale wierz mi, to naprawdę pierwsze moje włamanie.

— Miejmy nadzieję, że za tym przyjdą następne. Z czegoś trzeba przecież żyć.

— Kto wchodzi pierwszy? — Zmieniła temat.

Choć może wypadało kobietę puścić przodem, z westchnieniem i latarką zacząłem się wdrapywać po drabinie. Szło mi łatwo. Wszedłem na górę i zanim jeszcze zapaliłem latarkę, próbowałem chwycić kłódkę. Wyleciała mi z ręki i z hukiem upadła na kamienną posadzkę.

Hałas był tak piekielny, że zamarłem. Natychmiast wyobraziłem sobie wypadających z mieszkań ludzi, krzyczących „Złodzieje!”, „Policja!”. Ale panowała zupełna cisza. Nikt nie wyjrzał, nie uchyliły się żadne drzwi.

— Co się stało? — zapytała spokojnie Kasia.

— Ta kłódka była nie zamknięta. Wisiała sobie luźno.

— To spróbuj podnieść klapę na dach. Może uda ci się zrobić to trochę ciszej?

Kłapa uniosła się z łatwością, choć towarzyszył temu nieprzyjemny zgrzyt dawno nie oliwionych zawiasów. Z góry

wpadło ostre światło i nagrzane powietrze. Był przecież dzień, gorący czerwcowy dzień, o czym zapomniałem w mrocznej klatce schodowej starej kamienicy.

Podciągnąłem się i wypełzłem na dach. Był brudny, to prawda, ale zarazem robił dość solidne wrażenie, i był płaski. Jakby zachęcał do podniebnych spacerów.

Kasia już wysuwała z włazu swą zaciekawioną rudą główkę.

Ruszyliśmy powoli w kierunku sąsiedniej kamienicy. Środkiem, blisko kominów, bo jakoś ani mnie, ani Kasi nie chciało się zbliżyć do krańca dachu, aby spojrzeć, jak z tej wysokości wygląda ulica.

Obydwa budynki były niemal równej wysokości. Wystarczył mały krok do góry, kilka kroków naprzód i już byliśmy nad mieszkaniem Profesora.

— Coś za łatwo nam idzie — powiedziałem.

— Dlaczego? Przecież to dziecinnie łatwe zadanie...

— Ale my jesteśmy dorośli albo przynajmniej tak mi się wydaje. Dla dorosłego to powinno być trudne zadanie. Trudne moralnie...

— Konrad! — Kasia zatrzymała się w pół kroku. Za nią sterczał w niebo niby wyrzut sumienia stary, poczerniały, ceglany komin. — Czy ty jesteś księdzem, żeby wciąż wygłaszać kazania?

Na księdza się nie nadaję. Na tyle siebie znam. Ale czy moralność dzisiaj ma być już domeną wyłącznie księży? Czy zwykły człowiek nie może od czasu do czasu użyć sumienia do oceny swoich zamierzeń? Zamiast kalkulatora?

Nie było to jednak ani miejsce, ani czas właściwy na podobne rozważania. Staliśmy na środku dachu, a nad nami było tylko palące słońce. W takim żarze trudno o chłodną analizę. Trzeba się schować w cieniu.

Gdy ja tak rozmyślałem, niezmordowana dziennikarka poczyniła odpowiednie przygotowania. Ze swojej torby wyciąg-

nęła długą i wyglądającą na mocną linę. Obwiązała nią komin, a długi koniec spuściła z dachu.

— Kto pierwszy? — zapytała.

I znów, chociaż to damy mają pierwszeństwo, ja podszedłem do krawędzi. Staralem się patrzeć tylko na balkon kilka metrów niżej, a nie na ulicę w dole. Chwyćłem mocno linę i dałem susa. Nie było to specjalnie łatwe, ale nie okazało się też bardzo trudne. Trzymałem się mocno liny i powoli opuszczałem na balkon Profesora. Uderzyłem się kilka razy o ścianę, poprzecierałem rękawiczki, ale wylądowałem pewnie.

— Chyba zostanę włamywaczem — pomyślałem na głos.

— To bardzo emocjonujące zajęcie.

Przytrzymałem linę, po której z gracją cyrkowca opuściła się teraz Kasia.

— A więc jesteśmy u bram Sezamu — szepnąłem.

Spojrzałem na drzwi balkonowe i prawie się roześmiałem. Były lekko uchylone. Czyżby Profesor zapomniał je zamknąć? A może był tak pewien, że złodzieje z Miasta nie odważą się na włamanie do jego mieszkania, że po prostu nie dbał o to?

— Wchodzimy — oznajmiła zdecydowanie Kasia.

Więc weszliśmy. Nie odezwał się alarm, nie wyskoczył na nas z ujadaniem żaden groźny bulterier. W mieszkaniu panowała niczym niezmacona cisza.

Znaleźliśmy się w sporym pokoju. Nic nie wskazywało na to, że mieszka tu groźny gangster. Stare i trochę zużyte meble, sporo książek na półkach i nowoczesny duży telewizor. Na ścianach kilka niezłych, nowoczesnych obrazów. Wyglądało to raczej na mieszkanie średnio zamożnego inteligenta, zwykłego profesora, a nie Profesora.

— Widzisz gdzieś te cholerne kasety? — zapytała szepem Kasia.

Pod telewizorem, na półce umieszczono magnetowid, a obok, rozrzucone po prostu na podłodze, leżały kasety. Było ich około dwudziestu.



— Proszę, masz kasety. — Wskazałem je Kasi.

Najtrudniej zauważyć coś, co wcale nie jest ukryte, ale wprost przeciwnie — leży na widoku. Kasia wzięła jedną i wsunęła do magnetowidu.

— Chyba nie będziemy teraz oglądać pornosów? Zabierzmy je i zwijajmy się.

— Musimy przecież sprawdzić, czy to te — powiedziała spokojnie Kasia.

W tym momencie na ekranie telewizora pokazał się pierwszy film. Rzeczywiście była to nakręcona w dość amatorski sposób jakaś obrzydliwa pornograficzna scena. Kasia przypatrywała się z uwagą.

— Nie wiedziałem, że lubisz takie filmy — zdziwiłem się.

— Cicho! — Wyglądała na zafascynowaną akcją rozgrywającą się na ekranie.

— Kasiu, to są obrzydliwe pornosy. Zostawmy je i chodźmy. Przecież jesteśmy w cudzym mieszkaniu.

— Zabieramy wszystkie — oznajmiła zdecydowanie.

Wyłączyła telewizor i magnetowid, a następnie zaczęła upychać kasety do swojej wielkiej torby.

— Kasiu — spróbowałem raz jeszcze przemówić jej do rozsądku — przecież jeżeli zabierzemy kasety, Profesor natychmiast się domyśli, że ktoś tu był. I na pewno spróbuje nas dopaść.

— Te kasety są bardzo ważne.

— Może dla Profesora, ale jeśli wszystkie są tak marne technicznie jak ta, którą oglądałaś...

— A ty nie?

— Ja zamknąłem oczy — powiedziałem z godnością. — Więc jeśli rajcuje cię oglądanie takich filmów, to ci kupię lepsze.

— Przestań, Konrad, wyjaśnię ci wszystko później, a teraz zabieramy kasety i się zmywamy.

— Którędy? Znów po linie?

— Zobaczmy drzwi wejściowe. Może uda się nam po prostu wyjść drzwiami. Przecież Profesor i tak się zorientuje, że w mieszkaniu byli włamywacze.

„Właśnie — odezwał się mój głos wewnętrzny. — Czy warto dla głupich kaset narażać się na zemstę głównego gangstera w Mieście?”

„Powiedz to tej pani — odrzekłem. — Ja już nic więcej nie mogę zrobić”.

Wyjście z mieszkania okazało się jeszcze prostsze niż wejście. Drzwi były zamknięte tylko na zasuwę, którą od środka z łatwością otworzyłem.

— Nie zamkniemy za sobą? — zapytałem dla formalności.

— Przecież nie mamy kluczy — odpowiedziała Kasia i podała mi czarną torbę. — Trzymaj. — A gdy schodziliśmy już po schodach, powiedziała: — Trzeba zawiadomić introli-gatora, żeby nie niszczył książek o szachach. Opakowania dla kaset nie będą Profesorowi potrzebne.

„Ta dziewczyna naprawdę kocha książki” — pomyślałem.

„Ale lubi też filmy pornograficzne — dodał mój głos wewnętrzny. — I to nawet marne”.

„Jakiż mężczyzna pojmie kobiecą naturę?” — Taka była nasza wspólna, głosu i moja, głęboka i odkrywczą refleksja.

Siedzieliśmy w dużym pokoju, ciocia, major, ja i Joasia, i popijaliśmy. Każdy to, na co miał ochotę. Ciocia-babcia i ja whisky, major herbatę, a śliczna Joasia wodę mineralną z plasterkiem cytryny. Wciąż było gorąco, chociaż słońce schowało się właśnie za horyzontem.

— Gdzie podziewa się redaktor Dorota? Miała już tu być — zapytał pan Melchior.

— Pewnie wciąż ogląda kasety — powiedziałem. — Musiały bardzo ją wciągnąć.

— Smutne, ale się zdarza — po swoim skomentował major.

Ciocia Adelajda nie ma magnetowidu. Kasia ma, ale jak stwierdziła, zepsuty. Więc gdy tylko odwiozła mnie do mieszkania cioci, natychmiast wyruszyła na poszukiwanie sprawnego magnetowidu. Oto co robi z ludzi pornografia. Mają rację ci, którzy mówią: „Zakazać, bez pardonu zakazać!”. Taka porządna młoda kobieta, a rzuca wszystko, żeby tylko w jakichś zakamarkach oddawać się lubieżnym chuciom. Nawet, jak widać, zapomniała o akcji „Szach i mat” i o konieczności utrzymania kontaktu z dowództwem.

Trochę się o nią obawiałem. Minęło już kilka godzin od naszego włamania do mieszkania Profesora. Otrzymaliśmy informację od Michała, że czarny Chevrolet nie dojechał do Warszawy. Zatrzymał się w podstołecznej Magdalence i tam

Profesor zniknął na mniej więcej godzinę w jakiejś nowoczesnej willi. Czyżby szykował się mafijny okrągły stół?

Nieoceniony Michał zanotował oczywiście adres willi. Ale ja, po śmierci Jacka, nie miałem już nikogo, kto mógłby szybko się dowiedzieć, do kogo ona należy.

— Hipoteka — powiedziała Joasia. — Jeżeli willa ma założoną księgę wieczystą, można dowiedzieć się w hipotece.

— Świetnie.

Przypomniałem sobie o Jadzi, która zawsze marzyła, żeby wziąć udział w jakimś kryminalnym procederze. Niechże sąsiadka ma też radość z tej zabawy. Zadzwoiłem więc do niej i poprosiłem, aby jutro z samego rana spróbowała uzyskać informacje na temat właściciela willi. Była zachwycona.

— Kto tam mieszka? Czy też jakiś szpieg?

— Nie wiem. Gdybym wiedział, nie prosiłbym cię o pomoc.

Profesor wrócił przed ponad dwiema godzinami do swojego mieszkania. Michał nie jechał za nim aż do samego Miasta, wcześniej przejęła śledzony samochód pani Zosia, która również nie dojechała pod dom Profesora, bo tu już czekał ze swoim jamnikiem pan Karol. Akcja została przeprowadzona bardzo sprawnie, za co jej uczestnicy uzyskali ustne pochwały od majora. Od chwili powrotu Profesor siedział w mieszkaniu. Musiał już dawno zauważyć włamanie i zniknięcie kaset. Jednak do tej pory nie zareagował w jakikolwiek widoczny sposób. Nie wyszedł do swych żołnierzy, wciąż czuwających pod domem w przypominającym karawan chevrolecie, i nie kazał im rozpocząć poszukiwań złodzieja. Mógł oczywiście zrobić wiele rzeczy, o których my nie wiedzieliśmy. Mógł po prostu zadzwonić do kogoś i... Właśnie, i co? Nie przychodziło mi do głowy, co robi gangster taki jak Profesor, gdy giną mu z mieszkania kasety z filmami porno.

Zadzwoił telefon i ciocia-babcia jak zwykle rzuciła się do aparatu.

— Pani Joasiu, to do ciebie, moje dziecko — powiedziała.

— Michał? — zapytała blondynka.

— Nie. Jakiś starszy mężczyzna.

— Ale przecież prócz Michała nikt nie wie, że tu jestem.

Jednak wzięła słuchawkę.

— Tata?... Tak, rozumiem — powiedziała. — Zaraz przyjadę. — Zbladła, jakby zobaczyła upiora. — Moja mama bardzo źle się czuje. Muszę do niej jechać.

— Poczekaj, zadzwonię po Michała — powiedziałem — niech cię odwiezie.

— Nie warto. Wezmę taksówkę, zaraz za rogiem ulicy jest postój. Aha — powiedziała, jakby nagle sobie coś przypomniała — w ucieczce z willi Brzusia pomógł mi taki chłopak, gangster, ale... chyba się we mnie zadurzył. Na imię ma Mirek, a mówili na niego Kudłaty, bo podobno do niedawna nosił długie włosy.

Patrzyłem na nią zdziwiony. Dlaczego nagle przypomniała się jej ucieczka z centrali gangu?

— Joasiu, może pojechać z tobą? Nie wyglądasz za dobrze — powiedziałem i równocześnie pomyślałem: „No i bredzisz coś bez sensu”.

— Nie, nie, dam sobie radę. Do widzenia. — Złapała mały plecak i wybiegła.

To wszystko było tak niespodziewane i dziwne, że natychmiast zadzwoniłem do Michała. A ponieważ dzwoniąc, widziałem przez okno Joasię zatrzymującą przejeżdżającą taksówkę, od razu go poinformowałem:

— Jedzie czerwonym polonezem.

— To nieważne — odpowiedział. — Ja jestem w odległości dwóch minut jazdy samochodem od mieszkania jej rodziców. Będę pierwszy i poczekam na nią przed domem.

— A nie wiesz, skąd oni mieli telefon cioci Adelajdy? Ty im dałeś?

— Skądże. Nie widziałem ich od dwóch albo nawet trzech tygodni.

„Dziwne, naprawdę dziwne” — pomyślałem.

Zadzwoiłem do Kasi. Trzeba ratować dziewczynę. Powiem jej, że seks może być przyjemny, jeśli przeżywa się go z ukochanym mężczyzną. I naprawdę, a nie na filmie. A filmy porno są fałszywe. Nikt tego w taki sposób nie robi.

Nie wiem zresztą, czy powiedziałbym Kasi to wszystko, bo nie miałem okazji sprawdzić. Jej telefon milczał. Zacząłem się coraz bardziej niepokoić.

„A czemu ty nic nie mówisz?” — zwróciłem się do mojego głosu wewnętrznego.

Chyba po raz pierwszy w życiu to ja próbowałem nawiązać z nim kontakt. Zawsze on odzywa się do mnie, oczywiście nieproszony. Ale w tej chwili potrzebowałem psychicznego wsparcia. Intuicja podpowiadała mi, że dzieje się coś niedobrego. Nie wiedziałem co, ale niemal fizycznie czułem zagrożenie. Głos nie odpowiadał. Wrażenie zagrożenia narastało. Dziwne, ale zdaje się nikt poza mną tego nie odczuwał.

— Ciociu — zapytałem — nie martwi cię milczenie Doroty? Gdzie ona się podziewa?

— Oj widzę, że wpadła ci panienka w oko — odrzekła ciocia-babcia Adelajda. — Nie bój się, odnajdzie się, odnajdzie.

— Ciociu, nic nie rozumiesz. Przecież my okradliśmy jednego z najgroźniejszych bandziorów w tym mieście. Gdy się dowie, że to my, zrobi nam kęsim-kęsim.

— Co wam zrobi?

— No, głowy nam pourywa. A może on już dopadł Dorotę?

— Ta mała jest na to za sprytna — powiedziała ciocia-babcia z przekonaniem.

— Chciałbym być takim optymistą jak ty, ciociu.

— A może zamiast się martwić na zapas, winka się napijesz? — zapytała. — W lodówce chłodzi się buteleczka.

Jako dobrze wychowany młodzieniec nie mogłem odmówić starszej osobie. Wyciągnęliśmy więc ostatnią butelczynę znakomitego bianco i w trójkę, bo tym razem przyłączył

do nas major, zaczęliśmy intensywnie opróżniać szklaneczki. Pod solone orzeszki. Zadzwoił drągal.

— Joasi nie ma. Czeka już dwa kwadranse. Czy ona rzeczywiście pojechała do rodziców?

— Tak powiedziała — odrzekłem, bo tym razem ja odebrałem telefon. — A czy zająrałeś do jej rodziców?

— Jeszcze nie, ale we wszystkich oknach jest u nich ciemno.

— Mimo wszystko spróbuj, a potem zadzwoń — powiedziałem.

Michał zadzwoił po kilku minutach.

— Nikogo nie ma.

— Mówisz, że nikt nie otwiera? — Przez głowę zaczęły przebiegać mi jakieś straszne myśli. — Ojciec Joasi choruje od dawna, teraz mama, no ale chyba niemożliwe, żeby obojgu stało się coś złego równocześnie.

— A masz do nich telefon? — zapytałem Michała. — To zadzwoń!

Właściwie nie wiedziałem, po co miał to zrobić. Jeżeli, jak sobie wyobraziłem, rodzice Joasi nie są w stanie otworzyć drzwi, to zapewne nie będą mogli również odebrać telefonu. No i Joasia. Gdzie znów podziała się niebieskooka blondynka? Ta — Znikająca Blondynka (świetny tytuł dla powieści).

Przyszło mi do głowy proste wytłumaczenie. Mama Joasi poczuła się gorzej i mąż zdecydował, że musi wezwać karetkę, która zabrała chorą do szpitala. On oczywiście także pojechał. A Joasia, zawiadomiona o wszystkim przez komórkę jeszcze w taksówce, zamiast do domu, podążyła od razu za rodzicami.

Znów odezwał się Michał. Oczywiście telefon w mieszkaniu rodziców Joasi nie odpowiadał. Zacząłem opowiadać mu o swojej wersji wydarzeń, ale nim skończyłem, wiedziałem już, że nie trzyma się to kupy.

— To mało prawdopodobne — powiedział drągal. — Ja tu byłem naprawdę dwie minuty po twoim telefonie. Przyjazd karetki, badanie lekarskie, przygotowanie chorej do przewie-

zienia do szpitala to przecież trwa. Oni nie mogli odjechać przede mną.

— Czy dzwoniłeś do Joasi? Chyba ma komórkę ze sobą?

— Kilka razy. Niestety, jej telefon jest wyłączony. Nagrałem się tylko w poczcie głosowej.

— Michał, nie masz po co tam dłużej sterczeć. Przyjedź do nas, zastanowimy się, co się mogło stać.

„Po co kobiety noszą te cholerne komórki — pomyślałem — jeżeli wciąż je wyłączają. Kasia — komórka wyłączona, Joasia — komórka wyłączona”.

Zadzwonił znów telefon.

— Konrad — zapytała Joasia — gdzie jest Dorota? Muszę ją natychmiast odnaleźć!

Mówiła takim głosem, że z trudem ją poznałem. Czy ja zresztą rozmawiałem kiedykolwiek z nią przez telefon? Skąd mam więc wiedzieć, jak brzmi jej głos przepuszczony przez bezduszny aparat, sieć kabli i co tam jeszcze jest po drodze? Ale to na pewno była Joasia. W jej słowach, choć starała się mówić powoli i spokojnie, wyczułem panikę albo wielki strach. Przez chwilę miałem wrażenie, że zaraz zacznie krzyżeć.

— Gdzie ty jesteś?! — zawołałem. — Michał cię szuka, ja się niepokoję...

— To teraz nieważne — przerwała mi. — Powiedz mi tylko, gdzie jest Dorota?

— Nie wiem, ma wyłączoną komórkę... — Połączenie zostało przerwane.

Przyjechał Michał i natychmiast opowiedziałem mu o tym telefonie.

Znów próbowaliśmy się łączyć raz z Kasią raz z Joasią. Nic z tego.

— Gdzie one są? — zastanawiałem się. — I co w ogóle się dzieje?

— A może Dorota jest w redakcji? — Wpadł na pomysł Michał.



— Zadzwońmy i zapytajmy — powiedziałem z nadzieją.  
— Może rzeczywiście w redakcji mają magnetowid i ona puszcza sobie tam te okropne filmy?

Michał rozpoczął telefoniczne poszukiwanie pani redaktor Szopy. W redakcji zdania były podzielone: ktoś twierdził, że dziennikarki nie było od kilku dni, a ktoś inny widział ją jednak, albo mu się tylko tak zdawało, rankiem. Natomiast w chwili obecnej na pewno — stwierdzono bardzo zdecydowanie — jej nie ma. Ale może jest w lokalnej stacji telewizyjnej.

Michał zadzwonił do telewizji. Po kilkunastu dzwoneczkach odebrał jakiś mężczyzna, który powiedział, że wszystko jest zamknięte. On jest tylko portierem i nic nie wie. Po dłuższym przepytaniu wreszcie stwierdził:

— Jutro, jutro wieczorem będzie ta redaktor. Bo oni nadają wieczorem tylko w piątki, soboty i niedziele. W inne dni dwie godziny w środku dnia. Ale ta ruda wtedy nie przychodzi.

— Jakiś podejrzany ten nocny portier — stwierdził Michał. — Mówił, jakby coś ukrywał.

— To tylko portier. On nic nie wie.

Pan Melchior, który nie tak dawno miał zamiar udać się już do domu, po wypiciu kilku szklaneczek wina ożywił się.

— Do trzech razy sztuka. Próbowaliście w redakcji, próbowaliście w telewizji, to spróbujcie w domu. Może już wróciła.

„Do trzech razy sztuka” należało do ulubionych powiedzonek majora. Spora ich część wiązała się z dowcipami, które pasjami opowiadał. Ostatnio przyswajał nowe, o blondynkach czy lekarzach, ale celował zwłaszcza w humorze absurdalnym, który nie wszystkich śmieszy. Ja lubiłem te jego historyjki. Ciocia-babcia także. Więc i teraz zaśmiała się szczerze na samo wspomnienie dowcipu. Prawidłowa reakcja, zatem i ja dołączyłem do chóru. Tylko biedny Michał nic nie rozumiał.

— Panie majorze — powiedziałem — Michał nie zna historii o pogrzebie marynarza. Trzeba go z nią zapoznać.

Major zgodził się ochoczo i Michał musiał, chcąc nie chcąc, wysłuchać anegdoty. Brzmiała ona mniej więcej tak. Na okręcie, który płynie gdzieś przez środek oceanu, umarł marynarz. Cóż, smutne wydarzenie, ale się zdarza. Więc urządzają mu marynarski pogrzeb. Kapelan wygłasza stosowne modlitwy, a potem ciało marynarza spuszcza się po specjalnej pochylni do oceanu. Gdy marynarz wpada do wody, zaczyna gwałtownie ruszać rękami i nogami. Po chwili jednak tonie.

„A to pijak — mówi na to kapitan. — Tak się spił, że wyglądał na nieboszczyka. Zimna woda dobrze mu zrobi, otrzeźwi go na pewno. I mam nadzieję, że nie będzie więcej pił. — I woła: — Dawajcie tego właściwego”.

Ceremonia się powtarza. Ale i ten marynarz wrzucony do oceanu okazuje się żywy.

„Pijaństwo — mówi kapitan — przybrało u nas niebezpieczne rozmiary. Czy na tym okręcie nie ma trzeźwego marynarza?” — I każe przynieść kolejne ciało.

Tym razem wszystko się udaje, trup pogrąża się w toni oceanu.

„Do trzech razy sztuka” — mówi zadowolony kapitan.

Z tej historyjki, jak z prawdziwej skarbnicy, pan Melchior czerpał pełnymi garściami. „Zimna woda dobrze mu zrobi”, „Pijaństwo przybrało u nas niebezpieczne rozmiary”, „Czy na tym okręcie nie ma trzeźwego marynarza?”, „Smutne wydarzenie, ale się zdarza” — niemal każde zdanie nadawało się na komentarz w jakiejś sytuacji.

Michał zaśmiał się raczej grzecznościowo, jakby ten rodzaj humoru mu nie odpowiadał, ja z ciocią-babcią dobrze znaliśmy już pogrzeb marynarza, więc wszystkim nam łatwo było powrócić do poważnych obowiązków.

Wykonałem telefon do domu Doroty. Włączyła się tylko sekretarka, tak jak w komórce poczta głosowa.

— A czy mamy jakieś sygnały spod mieszkania Profesora? — zapytał major.

Ciocia zadzwoniła do pana Karola. Okazało się, że jest już wraz z jamnikiem w domu, i to od dłuższego czasu. A że nie zawiadomił o zejściu z posterunku? No, myślał, że jest wieczór, akcja przerwana na noc — tłumaczył się mętnie. Poza tym on musi codziennie obejrzeć Fakty o 19, a potem Wiadomości o 19.30. Dla porównania.

— Pochwalisz kogoś, to od razu przestaje się starać i spoczywa na laurach — stwierdził z żalem major. — Z Polakami naprawdę niczego nie można przeprowadzić do końca. Słomiany ogień i tyle.

— Zadzwonię do Zosi. Może podjedzie i zobaczy, czy u Profesora się świeci — zaproponowała ciocia-babcia. Wyraźnie chciała poprawić opinię majora o rodakach.

Pani Zosia właśnie umyła głowę i w ogóle — powiedziała — jest tak zmęczona całym dniem, że nie jest w stanie ruszyć się dzisiaj z domu. Jutro, i to nie z rana, ale jak się wyśpi, proszę bardzo. Ona w ogóle to bardzo chętnie. Takie to ekscytujące. Chociaż, jak podliczyła, ile dziś przejechała kilometrów i ile benzyny spaliła, to nie wie, czy ją stać na dalsze śledztwo. Bo choć zabawa jest naprawdę świetna, to ona przecież żyje z emerytury.

— Ja pojedę — zdecydował Michał.

— I ja z tobą. Byłem tam dzisiaj, dobrze wiem, które to okna.

Zanim wyruszyliśmy, zadzwoniła komórka Michała.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał, a potem jak siedział, tak wstał i stał już do końca rozmowy. Rozmowa była raczej krótka. I trudno to nazwać rozmową. Właściwie on tylko słuchał i nic prawie nie mówił.

— Konrad — rzekł po jej zakończeniu bardzo poważnie. — Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

W pokoju oczu było więcej, zwłaszcza że po odzywce Michała oczy ciocie-babci i pana Melchiora rozszerzyły się ze zdziwienia i łatwiej je było zauważyć.

— Oczywiście — powiedziałem.

Czułem w powietrzu dramat. A może to tylko nadchodziła burza i wokół gromadziły się ładunki elektryczności? Skądinąd obfity deszcz bardzo przydałby się dla oczyszczenia atmosfery. Wyszliśmy do małego pokoju zajmowanego przez cały dzień przez pracowitą blondynkę. Jej przenośny komputer leżał otwarty na stole.

— Rodzice Joasi zostali porwani i uwięzieni — powiedział dragal. — Jeżeli Joasia nie odda Profesorowi kaset, które zabraliście z Dorotą, stanie się im krzywda.

Milczałem zaszokowany wiadomością.

— Nie wolno mi nikomu o tym mówić, ale pomyślałem, że nie mogę sam wziąć odpowiedzialności. No i naprawdę nie wiem, gdzie mam szukać Doroty i kaset. Pamiętaj, ty o niczym nie wiesz. Nie mów nic ani ciotce, ani panu Melchiorowi. Oczywiście nie wolno nam też zawiadamiać policji. Od tego zależy życie rodziców Joasi, a może również jej samej.

„A więc wy go zaszachowaliście, kradnąc mu kasety — przebudził się nagle mój głos wewnętrzny — a on chce wam dać mata. To rzeczywiście trafna nazwa całej akcji »Szach i mat«”.

„Przestań. Lepiej coś doradź, bo sytuacja jest bardzo poważna”.

„Czy ja tego nie widzę? Oczywiście, że jest poważna. Zobacz, jak on szybko i precyzyjnie uderzył. Nie w ciebie ani w Kasię, tylko w Joasię, a właściwie nawet nie w nią, ale w jej rodziców. Sami może byście zaryzykowali, ale nie będziecie ryzykować życia rodziców Joasi. Ten Profesor to mistrz szachowy. Zabraliście mu pionka, a on zaatakował od razu ważną figurę”.

„Myślę, że gdyby to był pionek, to znaczy gdyby to były tylko kasety z filmami porno, Profesor nie atakowałby tak ostro. Ja w końcu widziałem tylko mały kawałek jednego filmu. Nie mam pojęcia, co jest dalej i co jest na pozostałych ka-

setach. Może on sam w jakichś intymnych ujęciach? Gdyby zobaczyli je gangsterzy, byłby skompromitowany. I skończy jako szef.

„To wie zapewne tylko twoja ulubiona ruda dziennikarka, jeśli spędziła pół dnia na oglądaniu kaset. Ale jej nigdzie nie ma. Może i ją porwali?”

„Więc co robić?”

To słynne pytanie „co robić?” zawisło nad naszymi głowami niby młotek nad główką gwoźdźcia.

— Michał — powiedziałem niepewnie. — Ja wiem, że zakazano ci kontaktu z policją, zawsze tak robią porywacze, ale może jednak policja mogłaby nam pomóc.

— Poszukajmy najpierw Doroty.

— Odnajdziemy Dorotę i co?

— Oddamy im kasy, a oni oddadzą mi narzeczoną i jej rodziców.

— A jeżeli nie? Czy wierzysz tym gangsterom?

— Pamiętasz, co mówiła Joasia? Dlaczego zwróciła się do ciebie, gdy szukała pomocy jeszcze jako Klara, a nie do policji? Bo w Mieście wielu policjantów siedzi podobno w kieszeni Profesora. Jeśli zawiadomimy policję, to Profesor dowie się o tym pierwszy.

— To spróbujmy w Warszawie. Co prawda mój przyjaciel zginął, a jemu ufałem całkowicie, ale mógłbym porozmawiać z pewnym grubaskiem. Zrobił na mnie wrażenie bardzo uczciwego gliny. Nawet mnie chciałby wsadzić do pudła.

„Oto mocny dowód uczciwości — wtrącił się głos wewnątrz — ale byłby jeszcze mocniejszy, gdyby naprawdę cię wsadził”.

„Cicho!”

— Konrad, przecież razem z Dorotą nie wierzycie w sprawność policji. I stąd to wasze czy ostatnio już nasze wspólne śledztwo — mówił drażal.

— Rzeczywiście, ale...

Powiniennem tu powiedzieć Michałowi, że autorką większości (a może wszystkich) naszych szalonych pomysłów była moja znakomita ruda koleżanka. Ja przyłączałem się do niej pełen wątpliwości, po dłuższym lub krótszym oporze. I sam nie wiem, dlaczego ulegałem kobiecie. Czy moja męska ambicja nie pozwalała mi odmówić? Bo mogłaby sobie pomyśleć, że się boję?

Od początku, od spotkania blondynki w słomkowym kapeluszu, brnąłem w tę historię jakby wbrew swojej naturze. Przestrzegał mnie głos wewnętrzny. Całe moje dotychczasowe doświadczenie zawodowe mówiło, że to mnie, a potem — gdy włączyła się Kasia — nas przerasta. Jednak nie powiedziałem tego wszystkiego Michałowi. Za dużo trzeba by mówić, tłumaczyć, wyjaśniać. Więc skróciłem cały ten wywód i stwierdziłem po prostu:

— Rzeczywiście, ale sytuacja wymknęła się nam spod kontroli. Potrzebujemy pomocy profesjonalistów.

Michał milczał targany wątpliwościami. Czy widzieliście kiedyś, jak wygląda mężczyzna o ponadprzeciętnym wzroście targany wątpliwościami? Nawet w przypadku mężczyzny o wzroście średnim wątpliwości nie robią dobrze. Bo mężczyzna powinien być jak głaz. Chłodna twarz pokerzysty, w pewnym ręku dobrze wycelowany pistolet. Brak widocznych emocji. A że prawdziwy mężczyzna jest również sentymentalny (czyli jakieś tam emocyjki w nim mocno siedzą)? To wychodzi mimochodem. Tego możemy się jedynie domyślać, obserwując, jak zachowuje się w stosunku do swojej kobiety. Takim prawdziwym mężczyzną jest w naszej historii Profesor. Może z wyjątkiem sentymentalizmu, choć kto go tam wie. Mistrz szachowy, który życie traktuje jak szachownicę. W każdej sytuacji podejmuje szybkie, trafne decyzje. I wygrywa. Dlatego to on jest szefem gangu, a nie ja czy sympatyczny dragal.

Niestety, ja nie potrafię. Brakuje mi pewności. I teraz też

nie wiem, jak zakończy się ta dramatyczna historia. Coraz bardziej się boję, że źle.

— Dobrze — powiedział nagle Michał — skontaktuj się z twoim warszawskim gliną.

Gdy podjął decyzję, znów wyglądał na swoje sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry. I nawet koniuszki wąsów podniosły mu się lekko do góry. Albo tylko tak mi się zdawało.

Zadzwoiłem do Warszawy, pod numer, który podał mi grubasek. Po kilku dzwonekach ktoś podniósł słuchawkę. Niestety, nie ma podkomisarza. Kiedy będzie? Nie wiadomo. A kto mówi? Komisarz prosił, żeby go natychmiast zawiadomić? No dobrze, proszę zatem zostawić swój telefon. W Mieście? To ciekawe.

Oddzwonił po dwóch minutach.

— Dlaczego tak późno, redaktorze?

— Przepraszam, rzeczywiście jest już późny wieczór — powiedziałem.

— Nie o to chodzi. Liczyliśmy, że skontaktuje się pan ze mną wcześniej. Choćby wczoraj.

— Dlaczego? Przecież wtedy jeszcze nie porwano... — Ugryzłem się w język i przerwałem. — Muszę z panem porozmawiać.

— Wiem, wiem. Ma pan chyba dużo do opowiedzenia.

— Właśnie.

— Możemy się spotkać choćby za kwadrans.

— Ale ja jestem w Mieście.

— Ja też.

— Zna pan mój adres?

— Znam — odpowiedział. — Ale przede wszystkim chciałbym rozmawiać z panem. No i ewentualnie z panem Trebieskim. Nikt inny nie powinien wiedzieć o naszym spotkaniu.

Ten człowiek mnie zadziwił. Czy on wie już wszystko?



Nagle pojąłem, jak mądrze postąpiłem, zwracając się do policji. Już wczoraj trzeba było, zamiast brać udział w szaleństwach wymyślanych przez twórczy umysł Kasi, zadzwonić do grubaska.

Nie sądziłem, że uda mi się pozbyć w ciągu kwadransa majora, a tym bardziej cioci-babci z jej własnego mieszkania. Zaproponowałem więc spotkanie na mieście.

— Czy może być hotel „Pod Czarnym Rumakiem”? Za dwadzieścia minut? — zapytał grzecznie podkomisarz.

Porozumiałem się z Michałem. Oczywiście wiedział, gdzie jest ten nowy hotel. To ten sam, z którego okna udał się w swoją przedostatnią ziemską drogę Brzusio. Bardzo krótką, trwającą tyle, ile trwa lot na ziemię. Ostatnia to już była podróż na cmentarz. Życie gangstera jest może i barwne, ale kończy się zazwyczaj w ten sam sposób: gwałtowną śmiercią. Chyba że wcześniej go zapudłują.

W restauracji hotelowej było niewielu gości. Panował tu spokój i nastrój, atmosfera rzadkiej w Mieście wytwornej elegancji. Szemrała cicho woda spływająca po ułożonej z kamieni dziwnej konstrukcji w środku sali, a z podwieszonych pod sufitem głośników delikatnie rozbrzmiewała barokowa muzyka. Usiedliśmy z Michałem pod oknem i czekaliśmy na policjanta. Zjawił się, a jakże, punktualnie. Nie wyglądał już tak świeżo jak wtedy, gdy odwiedził mnie w Warszawie. Mniej też było w nim słodyczy.

Wszyscy trzej zamówiliśmy kawę, która okazała się mocna i aromatyczna.

— To niech pan opowiada — powiedział podkomisarz.

Spojrzałem na Michała. Nie wyglądał na człowieka, który pomoże mi w tej trudnej spowiedzi. Wyratować tonącego — proszę bardzo, to przychodzi mu z łatwością, ale nie rozmowa z dociekliwym policjantem.

— Nie będę niczego ukrywał — oznajmiłem. Taki wstęp powinien wyrzucić dobre wrażenie.

— Wreszcie. Ile byśmy czasu i energii oszczędzili, gdyby pan powiedział mi wszystko w czasie naszego pierwszego spotkania.

— Ależ ja panu prawie wszystko powiedziałem. Tylko trudno było nam, panu i mnie samemu, w to uwierzyć.

Zacząłem od początku, od spotkania z rzekomą Klarą Zameczek. Mogłem już teraz wyjaśnić grubaskowi, kim była naprawdę dziewczyna w słomkowym kapeluszu. Słuchał uważnie, jakby nie wiedział nic o Joasi, dragału (bo i o jego roli w całej historii wspomniałem), czarnym chevroletcie Profesora. Powiedziałem o Dorocie, czyli Kasi. Gdy zacząłem mówić o pomysłach udawania przyrodniego brata Klary, wydało mi się, że otworzył usta ze zdumienia, ale natychmiast zamknął je z powrotem. Natomiast na jego czole pojawiła się cieniutka zmarszczka, która pozostała tam na dłużej.

Wyjaśniłem wszystkie okoliczności mojego niemal-utopienia-się. Pokiwał głową. Prawie było widać, jak cała historia układa się wreszcie w uporządkowaną, zrozumiałą całość na czystych, równych półeczkach jego mózgu.

Przeszedłem do kolejnego szalonego pomysłu — włamań do mieszkania Profesora. Cóż, przyznawałem się policjantowi do przestępstwa, ale inaczej nie mogłem przecież wyjaśnić przyczyn porwania Joasi i jej rodziców. Znów otworzył usta i szybko je zamknął, a zmarszczka na czole pogłębiła się. Miał chyba ochotę na jakiś ironiczny komentarz, ale się powstrzymał. Gdy dowiedział się, z jaką łatwością ukradliśmy kasety, coś mruknął. Wyłapywanie prawie niezauważalnych reakcji grubaska wciągnęło również Michała. Zauważyłem, że zamiast przysłuchiwać się mojej opowieści, wpatrywał się w twarz policjanta w oczekiwaniu na jego kolejną subtelną minę czy grymas. Nagle podkomisarz przerwał mi:

— Czy możemy cofnąć się jeszcze? Pani Joannie Wrońskiej, która udawała Klarę Zameczek, udało się uciec Profesorowi? Czy tak?

— Tak.  
— Czy wiecie panowie, w jaki sposób? I gdzie jest teraz?  
— Podobno pomógł jej jeden z gangsterów — powiedziałem. — Może Michał wie coś więcej... To w końcu jego narzeczona.

O związku tych dwojga podkomisarz chyba nie wiedział, bo rzucił krótkie spojrzenie na dragala. Michał nic nie powiedział, więc ja dodałem:

— Natomiast jeżeli chodzi o drugie pytanie, to właśnie w związku z nim zwróciłem się do pana, komisarzu.

— Znow pan szuka dziewczyny? Czy raczej obydwaj panowie, jeżeli to narzeczona pana Trebieskiego? Czy sądzicie panowie, że głównym zadaniem Centralnego Biura Śledczego jest odnajdywanie zbiegłych narzeczonych?

— Rozumiem, że może pan mieć do mnie sporo pretensji, ale sprawa jest poważna. Joasia została porwana.

— Jeżeli mówimy o tej samej osobie, to wiem, gdzie się teraz znajduje i wiem też, że zjawiła się w tym miejscu sama, dobrowolnie.

Zrozumiałem przytyk grubaska i spokojnie wyjaśniłem:

— Joasia jest tylko jedna i, jak wiem, nie ma duplikatu. To ona była duplikatem Klary, ale Klara to już przeszłość. Natomiast ma pan rację, że Joasia poszła dobrowolnie w łapy gangsterów... Tylko że wcześniej porwano jej rodziców.

— Aha — podkomisarz zdobył się na słowny komentarz. Jak na niego, było to dużo. Zamyślił się chwilę, a potem rzekł: — Zaraz do tego przejdziemy. Chciałbym jeszcze wyjaśnić kilka spraw. Najpierw, czy pan ma coś wspólnego ze starszymi ludźmi, którzy kręcili się niemal cały dzień wokół Profesora? Taki pan z jamnikiem, pani w samochodzie...

— Ja nie. To przyjaciele mojej ciotki Adelajdy. Bardzo energiczna staruszka, u której zatrzymuję się podczas pobytów w Mieście. Ona zorganizowała grupę śledczą. A za Profesorem jeździł też Michał.

— Wiem, wiem.

Gdy mówiłem o mojej cioci-babci, na czole podkomisarza utworzyła się druga wyraźna zmarszczka. Grubasek w czasie rozmowy ze mną starzał się w szybkim tempie. Jeszcze kilka zmarszczek, a przybędzie mu z dziesięć lat. Wyglądał też na coraz bardziej zmęczonego.

— To trochę rozjaśnia obraz.

— Bardzo się cieszę — powiedziałem uprzejmie.

— Wiemy, gdzie jest pani Wrońska, wiemy też, gdzie gangsterzy przetrzymują jej rodziców.

— Znikła też redaktor Szopa. Ona zabrała kasety, które wykradliśmy Profesorowi. Gangsterzy żądają ich zwrotu, grożąc, że jeżeli ich nie oddamy, zrobią krzywdę rodzicom Joasi.

— Aha. — Znów chwilę milczał. — Niestety, gdzie jest pani redaktor, tego nie wiem. My zajmujemy się gangsterami, a nie dziennikarzami.

— Myślałem, że podsłuchujecie ją i obserwujecie.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

Opowiedziałem podkomisarzowi o rewelacjach Kasi. O podsłuchiowaniu jej rozmów telefonicznych i o zdjęciu, które zrobiono mi pod jej domem. Nie wspomniałem tylko, że informację o podsłuchu zdobyła od zaprzyjaźnionego prokuratora.

— Ciekawe, ciekawe!

Policjant o krągłym licu wpadł znów w swój krótki trans myślowy.

— Rodzice pana narzeczonej — zwrócił się do Michała — znajdują się tutaj, w apartamencie na najwyższym piętrze. Pilnuje ich kilku młodych byczków. — I dodał, jakby odpowiadając na nie zadane pytanie, które zawisło w powietrzu niczym zapach kawy, którą wypiliśmy: — Tak, z okna tego apartamentu wyleciał Staruch, szef gangu.

— Jeżeli policja wie, gdzie są państwo Wrońscy...

— To co, mamy ich odbić? To bardzo ryzykowne. A nuż coś im się stanie? Kto poniesie za to odpowiedzialność? Poza

tym, jak widzicie panowie, Profesor sprytnie to wymyślił. Tu są rodzice pani Wrońskiej, a ona sama w willi, którą pan redaktor poznał od środka. Gdybyśmy zdecydowali się na atak, musiałby on nastąpić w dwóch miejscach, dokładnie w tym samym czasie. Inaczej komuś grozi wielkie niebezpieczeństwo. My tu wkraczamy do apartamentu, a tam Profesor z zemsty zabija panią Joannę. Czy podoba się panu taki plan, panie Michale? Albo na odwrót. Odbijamy w willi pana narzeczoną, a tu zabijają jej rodziców... Dwie równoczesne akcje i obydwie muszą się stuprocentowo udać. Obawiam się, że nie dostaniemy na to zgody. Za duże ryzyko. — Znów pomilczał. — Choć pokusa jest silna — powiedział z rozmarzeniem. — Porwanie to zupełnie przyzwoite przestępstwo, za które można dostać ładny wyrok. Może udałoby nam się wreszcie posadzić tego szachowego mistrza na kilka lat, a w tym czasie powolutku rozbić cały gang.

Ten policjant naprawdę lubił wsadzać przestępców do ciu-py. I chyba nie tylko przestępców — przypomniałem sobie, że na mnie też miał ochotę.

— To co pan radzi, komisarzu? — zapytałem. — Szukać Doroty i oddać im te kasety?

— Pan widział, co na nich jest?

— Widziałem maleńki kawałek. To amatorskie filmy pornograficzne.

Znów się zamyślił.

— Czy pan coś z tego rozumie? — Przerwałem mu pracę umysłową.

— Coś zaczyna mi się rysować — powiedział z zadziwiającą szczerością. — Ale nie wiem, czy mam rację.

— A czy słyszał pan o posagu Klary?

— Słyszałem kilkakrotnie...

— I nie wie pan, co to jest? Czy te kasety mogą mieć coś z tym wspólnego?

— Być może...

— Na którejś z nich nagrany jest testament Starucha, przekazujący władzę Klarze?

— Nie sędzę, żeby gangsterzy długo liczyli się z tak wyznaczoną szefową. Dla nich słowa nie mają wielkiego znaczenia, tylko realna siła. Rządzi ten, kto potrafi wymusić posłuch.

Zapadło krótkie milczenie, więc zapytałem:

— Czy pomoże pan nam odnaleźć Dorotę?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon komórkowy Michała. Dragal zbladł i drżącą ręką wyciągnął z kieszeni komórkę. Chwilę słuchał, a potem chciał coś powiedzieć:

— Asiu!...

Odłożył telefon. Patrzyliśmy na niego, podkomisarz i ja, w napięciu.

— Przerwali jej po kilku zdaniach... Mamy czas do rana. Jeżeli Profesor nie dostanie kaset, jedno z jej rodziców zginie. Profesor powiedział, że sama może wybrać, które.

— To jest diabeł wcielony — powiedziałem z rzadkim u mnie przekonaniem, aż grubasek spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— Redaktorze, miałem pana za człowieka, który nie wierzy za bardzo w duchy, diabły ani wilkołaki.

— Jeśli diabły kręcą się wśród ludzi, to Profesor jest jednym z nich — rzekłem serio.

— Sytuacja jest poważna — stwierdził grubasek — nawet jeżeli przypuszczam, że Profesor nie zrealizuje groźby.

— Więc co robić? — Znow padło to dramatyczne pytanie.

— Wie pan już, czego nie należało robić. Nie należało włamywać się do mieszkania Profesora. Natomiast trzeba było opowiedzieć mi wszystko, co pan wiedział, i pozostawić sprawę policji. Muszę, niestety, zganić pana, redaktorze, i pańską koleżankę po fachu.

— Jeżeli pan chce, odbędę pokutę, mogę nawet wstąpić do klasztoru. Za Dorotę nie obiecuję, ale spróbuję ją namówić, żeby poszła do klasztoru razem ze mną. W towarzystwie

tak szalonej i uroczej kobiety przyjemniej będzie pokutować. Ale to wszystko potem, gdy już załatwimy sprawę.

— Pytał pan — podkomisarz pominął milczeniem moją obietnicę pokuty — czy pomogę odnaleźć pana koleżankę. Oczywiście, będziemy próbować. Nam też zależy na dotarciu do tych kaset.

— Czy dlatego, że za robienie takich filmów też można wsadzić Profesora?

Nie odpowiedział.

— Więc możemy liczyć na pomoc policji?

— Policja od tego jest, żeby pomagać obywatelom, ale żeby ta pomoc była skuteczna, nie przeszkadzajcie nam — powiedział.

— Co więc mamy robić? Czekać z założonymi rękami?

— Tak, poczekajcie cierpliwie, aż uporamy się z całą sprawą. Wiem, że może to być dla panów, zwłaszcza dla pana Michała, trudne czekanie, ale nie ma innego wyjścia. A przede wszystkim proszę natychmiast skończyć z prywatnym śledztwem, tłumem staruszków, którzy kręcą się wokół gangsterów, z włamaniami i innymi pomysłami rodem ze złej powieści czy filmu.

Muzyka cicho szemrała z głośników, woda spływała po kamieniach, tworząc przyjemny mikroklimat. Minęła już północ i byliśmy ostatnimi gośćmi. Cóż, czas iść do domu. I zając się intensywnie nic-nie-robieniem, czyli zadaniem, które zlecił nam, czy raczej zalecił, rumianolicy podkomisarz, oraz oczywiście oczekiwaniem na wyniki śledztwa, na odszukanie przez naszą znakomitą policję Doroty zwanej Kasią, na uwolnienie Joasi i jej rodziców, i wreszcie na zapudłowanie diabła wcielonego w osobie mistrza szachowych i gangsterskich rozgrywek, czyli Profesora w złotych okularkach.

Siedziałem samotnie w eleganckiej, chłodnej sali restauracyjnej hotelu „Pod Czarnym Rumakiem” i wolno piłem znakomity armagnac. Pod moim krzesłem leżała wielka czarna torba Kasi, a w niej tak bardzo pożądane przez wielu ludzi kasety z filmami porno i być może czymś jeszcze.

Mój wyostrzony słuch rejestrował całą gamę dźwięków: szmer wody płynącej po kamieniach w środku sali, muzykę, która sączyła się spod sufitu (dzisiaj to była jazzowa przeróbka *Bolera* Ravela), jakieś ciche rozmowy w holu. W restauracji prócz mnie nie było nikogo. Nawet znikł kelner, który przyniósł mi pachnący trunek.

Za oknami wciąż trwał jasny dzień, ale tu panował półmrok. Dlatego na stolikach poustawiano zapalone świece. Na niektórych nawet po kilka. Łącznie paliło się ich kilkadziesiąt. Mój wyostrzony wzrok dostrzegał grę niewyraźnych cieni na podłodze i ślizgający się po restauracyjnych stolikach pojedynczy promień słońca. To był wysłannik jasności w tym ciemnym, ponurym dziś miejscu. Mój węch, również silniejszy niż zazwyczaj, przekazywał informacje o potrawach przygotowywanych na zapleczu. Robiono tam zawiesziste gęste sosy, do których dosypywano ostrych przypraw. Odzierano ze skóry zająca. Ze śmierdzących bagnem żab kuchcono jakieś francuskie frykasy. Czułem też zapach stearyny i dziwny, przykry odór. Może to była woń piekła? Zapach siarki?



Mój głos wewnętrzny na razie milczał. I bardzo dobrze. Muzyka narastała, zgodnie z dramaturgią *Bolera*.

Nagle moje wyostrzone zmysły przekazały ważne informacje.

Powonienie zarejestrowało odległy zapach dymu cygara. Znałem ten zapach — poznałem go przed kilkoma dniami i na zawsze zapamiętałem.

Następnie usłyszałem ciche kroki. To dobrze działał mój słuch. Człowiek, który palił cygaro, schodził bez pośpiechu po schodach. Nie korzystał z windy, wolał powoli zejść z najwyższej kondygnacji na parter. Stał w drzwiach sali. Spojrzał na mnie, a ja spojrzałem na niego. W złotych okularkach, z cygarem w ustach wyglądał na przybysza z cudzoziemskich krain. Prezentował się wytwornie w ciemnym garniturze, kremowej koszuli i jedwabnym krawacie koloru krwi. Ten krawat widziałem przede wszystkim, wyraźnie i blisko, niby przez powiększającą dwadzieścia pięć razy przedwojenną lunetę Michała. Człowiek zaczął się do mnie zbliżać. On nie szedł, ale sunął, prawie płynął w powietrzu. Czerwień krawata wypełniła niemal całe pole mojego widzenia.

Zatrzymał się przy stoliku. Zanim go zaprosiłem gestem dłoni, na posadzce zauważyłem cień przybysza. I przez chwilę wydawało mi się, że spod jego świetnej marynarki wysuwa się koniuszek giętkiego ogona, a na głowie ma niewielkie rogi, właściwie tylko symbol rogów, ot taki elegancki gadżet.

„Niech go piekło pochłonie — pomyślałem. — Niech tego diabła zabiorą sobie jego piekielni bracia”.

Nie przeczuwałem, że moje przekleństwo może się spełnić i to bardzo szybko. Ledwo zdążył usiąść, kelner postawił przed nim kieliszek z ciemnym czerwonym winem. Widać dobrze znał zwyczaj tego klienta.

— Czy przyjmuje pan moją propozycję, panie redaktorze? — zapytał mężczyzna. Lewą ręką, z wielkim sygnetem na palcu, ujął kieliszek i wypił kilka kropli. — Znakomite dwudzie-

stoletnie porty, polecam — powiedział. — Sprowadzają je specjalnie dla mnie.

— Tak, przyjmuję — odrzekłem.

Mężczyzna podniósł nieznacznie rękę. Z głębokiego cienia w kącie sali (nikogo tam wcześniej nie odnotowały moje wyostrzone zmysły) wysunął się grubas z wielkim brzuchem i sapiąc, zbliżał się w stronę naszego stolika. W rękę taszczył brązowy sakwojaż, dziwną, starodawną walizkę. Dotarł do nas, postawił walizkę na stoliku i nie odwracając się, tyłem zaczął się wycofywać.

„Czyżby to był Staruch? — przemknęła mi przez głowę myśl. — Ale on przecież nie żyje. Zginął tu, w tym wytwornym hotelu, bo zamiast — jak mężczyzna, z którym siedziałem przy stoliku — zejść powoli po schodach, wybrał szybszą drogę — przez okno”.

— Tu jest milion. Okrągły milion — powiedział człowiek w złotych okularach.

Wpatrywałem się w walizkę.

— Czy chce pan przeliczyć? Nie? To niech pan choć zajrzy do środka — kusił.

*Bolero* przyśpieszało, a ja siedziałem bez ruchu.

Człowiek z cygarem w ustach wstał, podniósł walizkę i odwrócił ją do góry dnem. Na stół zaczęły się sypać zielone banknoty. To była góra pieniędzy. Góra dolarów.

— Sto paczek po sto banknotów po sto. Milion. Jeden warunek, pan to zabiera i znika. Niech pan jedzie na swoje ulubione greckie wyspy, wydaje pieniądze i nie pokazuje się tu przynajmniej przez kilka najbliższych lat.

„Skąd on wie o greckich wyspach? To przecież moje skrywane marzenie — pomyślałem. I zaraz sam sobie odpowiedziałem: — Jeżeli to diabeł, to nic dziwnego, że zna moje myśli nie gorzej niż mój własny głos wewnętrzny”.

Jakże pociągały mnie te pieniądze. Milion dolarów to wiele lat *dolce far niente*, słodkiego nieróbstwa. Tylko wino, ko-

biety i śpiew. Żadnego poszukiwania i potem prania brudów na łamach prasy. Jestem prostym człowiekiem i wcale nie potrzebuję luksusów. Wystarczą mi młode greckie wina, z retsiną na czele, greek salad i jakaś świeżutka rybka z rannego połowu. I potem kieliszek słodkawej metaxy w towarzystwie jeszcze słodszej czarnowłosej Greczynki. A wszystko to pod wspianiałym słońcem południa, nad ciepłym morzem, które uwielbiam. Tam gdzie zaczęła się nasza europejska kultura, to wszystko, co w niej najlepsze. I co przez ponad dwa tysiące lat uporczywych wysiłków barbarzyńskich ludów z północy zostało mocno popsute. I my, Polacy, też psuliśmy, gdy wdarliśmy się już na tak zwaną arenę dziejów. A jakże, nie wypadliśmy przecież sroce spod ogona. Nie jesteśmy gorsi od innych. Ani lepsi.

„Jak pięknie rozkwitnie twoja wrodzona radość życia w czasie wiecznych wakacji — zaszeptał kusząco mój głos wewnętrzny. — Nie zastanawiaj się dłużej, daj mu te kasety i zabieraj szmal”.

*Bolero* zbliżało się do kulminacji „karuzeli dźwięków”.

„Na Zeusa — pomyślałem — to jest ta niepowtarzalna okazja, na którą każdy z nas czeka. Taka okazja zdarza się najwyżej raz w życiu. Wystarczy tylko wyciągnąć rękę... i hop, jesteś urządzony do końca egzystencji na tym łożu padole”.

Wsłuchałem się w finał *Bolera*. W jazzowej aranżacji brzmiał słabo i urywał się nagle. W ciszy, która nastąpiła, usłyszałem jakiś dzwonek. Jeden, drugi, trzeci.

Obudziłem się nagle. To dzwoniła moja komórka, podskakując dodatkowo jak oszalała na stole. Nie wyłączyłem wibracji.

— Tak — powiedziałem do telefonu.

— Oddam kasety. — Usłyszałem głos Kasi. — Możesz go zawiadomić. — I wyłączyła się.

Środek nocy. Wciąż jeszcze nie przebudziłem się do końca. Taki piękny sen. Wcale nie chciało mi się go opuszczać. I jakże wymowny. Nie muszę dzwonić na antypody do

Agaty, aby wyjaśnić sens moich rojeń. Sen nie wyjaśni nam przyszłości — to złudzenie, ale może powiedzieć wiele o nas samych.

Czyżby więc marzył mi się milion dolarów? Pewnie, że tak. I wieczne wakacje nad Morzem Śródziemnym? I tego nie będę się wypierał. Ale przecież nie oddam Profesorowi kaset. Nie oddam za największe nawet pieniądze. Chociaż muszę je oddać, żeby ocalić życie najpiękniejszej blondynki i jej rodziców. A może — wspominam dziś ze wstydem — przemknęła mi podczas tej czarnej nocy myśl — sen niósł jednak radę? Taką jaką właśnie ze snów tylko można wyczytać. Może powinienem ubić transakcję związaną? Kasety za życie trojga ludzi. Ale również za trochę grosza dla mnie. Żeby starczyło choć na kilka miesięcy pod słońcem południa.

Odrzuciłem tę myśl prawie natychmiast. Jednak się pojawiła. Gdzieś we mnie głęboko tkwiła od dawna — i sen to ujawnił. Podobno każdego można kupić, każdego skorumpować. Różnimy się tylko ceną. Jeden ceni się wyżej, inny jest do kupienia za miedziaki. Jestem jednym z was. Jeżeli nie przeżyliście nigdy chwili słabości, nie czytajcie dalej. Wyrzucie tę książkę przez okno. I siadźcie sobie wygodnie w fotelu, żeby podrzemać nad kubkiem ulubionych ziółek.

To chyba Winston Churchill powiedział, że człowiek co jakiś czas potyka się o prawdę, ale na ogół podnosi się i idzie dalej. A więc trudno: i ja poznałem prawdę o sobie. Zapomnę o niej szybko, ba, już zapomniałem i będę sobie dalej toczył ten mój słodki żywocik.

W środku nocy, tuż po spotkaniu z podkomisarzem, wysłałem SMS-a do Kasi. Napisałem jej o ultimatum porywaczy, którzy dali nam czas do rana. Jej telefon nie odpowiadał. Nie liczyłem specjalnie na to, że włączy komórkę, żeby odsłuchać wiadomości w poczcie głosowej czy przeczytać SMS-y. Ale nie chciałem też pominąć żadnego ze sposobów dotarcia do niej. Bo czyż mogłem się spodziewać, że szaloną dziennikarkę odnajdzie policja?

Wróciłem do mieszkania cioci-babci (przed wyjściem dostałem zapasowy komplet kluczy, więc mogłem dostać się do środka, nie budząc starszej pani). Próbowałem przespać się choć kilka godzin, ale nie mogłem zasnąć. Żałowałem, że w czasie rozmowy z grubaskiem piłem kawę, a nie sok czy wodę. Gdy w końcu zasnąłem, przyśnił mi się dziwny sen o spotkaniu z Profesorem w restauracji, z której dopiero co wróciłem.

A jednak Dorota czyli Kasia odebrała moją wiadomość. Tyle tylko, że po kilku słowach, które powiedziała, wyłączyła swój telefon.

„Co ona znów knuje? Ta kobieta nigdy nie daje za wygraną, nie bacząc na to, że naraża życie wielu ludzi”.

Zadzwoniłem do Michała, żeby poinformować go o telefonie Doroty. Odebrał natychmiast, a więc chyba też nie spał. Potem, po krótkim namyśle, zadzwoniłem na komórkę grubaska. Dał mi swój numer jako dowód — sędzę — zaufania, któ-

rego do ranie nabrał po mojej późnowieczornej spowiedzi. I on chyba nie spał.

— Zlokalizowaliśmy samochód pani redaktor — oznajmił, gdy dowiedział się ode mnie o telefonie Kasi. — Stoi pod dużym blokiem, w którym mieszka kilkadziesiąt rodzin. Trudno stukać do wszystkich mieszkań po kolei i pytać, czy nie zatrzymała się tu przypadkiem pana szanowna koleżanka.

— Dorota zazwyczaj parkuje dwie albo trzy ulice od miejsca, do którego się udaje. To tak dla zmylenia przeciwnika.

— Dobrze, że mi pan to powiedział, bo już byłem bliski wydania rozkazu przeszukania bloku. Oczywiście po takiej akcji znów kilkaset osób obudzonych w środku nocy gorzej myśli o policji...

— Mogła zmienić zwyczaje i jest jednak w tym bloku.

— Panie Konradzie, pan ją zna, może objedziemy razem okolice? A nuż coś panu przyjdzie do głowy?

— Oczywiście, choć Dorotę znam słabo, a właściwie im dłużej, tym słabiej. To kobieta trudna do pojęcia.

— Wysłałam po pana samochód. Albo nie, sam przyjadę. Będziemy u pana za kilka minut.

Przemyłem twarz zimną wodą, żeby pozbyć się resztek snu. Wciąż miałem przed oczami czerwoną plamę krawata Profesora ze snu. Profesora — kusiciela. Profesora — diabła. Co za kiczowaty sen? Dziesiątki świec, jak na pogrzebie, czerwone plamy, dolary zamiast rodzimej silnej waluty, i to w starym sakwojażu... Szefgangu wykreowany na diabła... I *Bole-ro* na zrobienie nastroju dramatu. Czy człowiekowi o wyrobionym guście artystycznym, jak ja, nie powinny śnić się sny na nieco wyższym poziomie? Wszystko schodzi na psy. Nawet moja własna twórczość senna.

„Przed chwilą bardzo podobał ci się twój sen. Humorek po prostu nam nie dopisuje — stwierdził mój głos wewnętrzny. — Wiadomo, Polak niewyspany jest zły”.

„Pokręciłeś, bratku” — powiedziałem. Ale nie chciało mi

się nic tłumaczyć. Tylko pomyślałem: „Nawet mojemu głośnowi wewnętrznemu wszystko, za przeproszeniem, się pieprzy. To ostateczny znak upadku kultury. Chyba czas umierać!”

Przed domem czekał już nie oznakowany czarny passat.

— Aspirant Muszka — przedstawił podkomisarz kierownicę. — Zna Miasto jak własną kieszeń, czyż nie tak?

— Oczywiście, panie komisarzu. Muszka wszędzie doleci, wszystko zobaczy — powiedział chłopak siedzący za kierownicą.

Był szczupły, czy wręcz chudy, albo może tylko tak wyglądał przy krągłolicym grubasku.

— Śnił mi się Profesor. — Jakoś mi się wyrwało, zanim zastanowiłem się, po co ja to mówię.

— No, no. — Uśmiechnął się podkomisarz (bodaj drugi raz w czasie naszej znajomości). — Wciąż poznaję pana ukryte strony, panie Konradzie. A to wiara w duchy i diabły, a to sny. Chyba nie powie mi pan, że wierzy w sny?

— Zależy, jak pan rozumie tę wiarę. Oczywiście nie twierdę, że sny odkrywają przed nami przyszłość. Chociaż kto wie?

Grubasek zaczął się śmiać na dobre.

— Pan naprawdę wierzy w sny.

— A może — powiedziałem poważnie — istnieją dwa światy, ten, w którym żyjemy na jawie, i drugi, do którego zaglądamy podczas marzeń sennych? Te światy są podobne, ale jednak różne, w snach często przeżywamy mocniej, wyraźniej, rzeczy i ludzie są groteskowo wykrzywieni, więksi albo mniejsi...

— To są te same rzeczy i ci sami ludzie, których znamy z jawy. Panu przecież śnił się Profesor, którego poznał pan w niezbyt przyjemnych okolicznościach. Nic dziwnego, że mocno utkwiał w pana podświadomości.

— Niech pan sobie wyobrazi, że te równoległe światy nie raz przesuwają się obok siebie. Zazwyczaj jawa wyprzedza sen. Ale przecież może się zdarzyć sytuacja odwrotna. Coś najpierw zdarzy się we śnie, a potem dopiero na jawie.

— To może przyśniło się panu, gdzie ukrywa się nasza poszukiwana pani redaktor?

Grubasek sobie żartował, a ja myślałem o tym, co powiedziała mi Agata. Sny rzadko przepowiadają przyszłe wypadki, bo sny mówią przede wszystkim o nas samych. Pozwalają nam często odkryć to, co głęboko skrywamy. Czego często nie wie nawet nasz wścibski i bezczelny głos wewnętrzny.

„Jakże zmieniła się na antypodach ta moja Agata — pomyślałem z odrobiną nostalgii. — Jaka to mądra teraz kobieta! Ale i wtedy, gdy byliśmy razem, była fajną dziewczyną. To były piękne czasy”.

Jechaliśmy wolno przez senne i puste ulice. Spoglądałem na nie — i nic nie przychodziło mi do głowy. A to na moją głowę przecież liczył podkomisarz.

„Właśnie — intuicja — pomyślałem — podkomisarz liczył na moją intuicję. A intuicja to takie zwierzę, którego słuchamy równie niechętnie jak głosu wewnętrznego. Oczywiście, nie każdego głosu wewnętrznego warto słuchać. Ten mój na przykład wtrąca swoje trzy grosze...”

„Twój kompleks głosu wewnętrznego — odezwał się wstępcich — jest chorobliwy. To jakaś psychoza. Czy nie potrafisz pomyśleć o czymkolwiek bez zaczepiania mnie?”

„Cicho!” — rzuciłem krótko jak do szczekającego psa.

„Powiedz chociaż, o co ci chodziło z tą intuicją, bo nic nie rozumiem”.

„We śnie, matołku, we śnie dochodzi do głosu nasza intuicja. Na jawie nie chcemy jej słuchać, nasza zarozumiała świadomość nie dopuszcza jej do głosu”...

„Tak jak ty mnie”...

„Tobie pozwalam na zbyt wiele. A przydałby się kaganiec na twoją ujadaczkę”.

„No więc co z tą intuicją?”

„Nie przerywaj, to się dowiesz! — Milczał, więc mogłem kontynuować swoją myśl. — We śnie odzywa się nasza intui-



cja. Albo, jak woli podkomisarz, podświadomość, bo my często intuicyjnie czujemy, co się wydarzy, ale świadomie tego wcale nie chcemy wiedzieć. Nie przyjmujemy tego do wiadomości. I dopiero gdy uśniemy, mówimy sobie prawdę”.

— Ten blok, pod którym stoi samochód, jest już niedaleko. Dwie ulice stąd — poinformował aspirant Muszka, przerywając moje rozmyślania. — A tu jest nasza miejska telewizja. — Wskazał na niewielki i zupełnie ciemny nowy budynek.

— Zatrzymajmy się na chwilę — rzekłem bez zastanowienia. To właśnie zadziałała moja intuicja.

— Ciemno i pusto — powiedział grubasek.

— Popatrzmy z bliska.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do budynku. Na górnych piętrach były chyba mieszkania, a na parterze lokalna telewizja. Informował o tym dumnie zgaszony neon.

— Nikogo — stwierdził podkomisarz.

Podszedłem do szklanych drzwi i nacisnąłem umieszczony obok dzwonek. Cisza. Nacisnąłem jeszcze raz. Grubasek stał obok i przypatrywał mi się z uwagą.

— Nasza telewizja — powiedział chudy aspirant — nadaje tylko przez kilka godzin dziennie. Nie ma nocnego programu.

— Tu jest zapewne sporo drogiego sprzętu. I to wszystko zostawiają bez żadnej ochrony? — spytałem.

— Chyba tak.

W tej chwili zapaliło się w środku światło.

— A jednak tam ktoś jest.

Za szklanymi drzwiami pokazał się starszy mężczyzna w rozpiętej koszuli.

— Zamknięte, proszę odejść. — Ledwo można było zrozumieć przez grubą szybę, co mówił.

— Przyszliśmy do pani redaktor Szopy — strzeliłem. Znów odezwała się moja intuicja.

- Proszę odejść — mówił mężczyzna — bo zadzwonię po policję.

— My jesteśmy z policji — oświadczył podkomisarz i wyciągnął legitymację. — Niech pan otworzy.

Mężczyzna zastanawiał się i próbował przez szybę dojrzeć coś w legitymacji grubaska. W końcu zaczął jednak otwierać kolejne zamki.

— Proszę nas zaprowadzić do pani redaktor — poleciłem pewnym głosem.

— Ale pani redaktor pracuje i nie wolno jej przeszkadzać. Miałem nie mówić, że tu jest.

— Nic pan przecież nie powiedział — pocieszyłem go. I dodałem: — Wytłumaczę pana.

Ruszyliśmy korytarzem. Na końcu były drzwi obite materiałem do wytłumienia hałasów, a nad nimi paliła się czerwona lampka.

— Nie wolno wchodzić. — Wskazał ją mężczyzna.

Otworzyłem drzwi do sąsiedniego pomieszczenia i przez wielką szybę łączącą je ze studiem pomachałem do Doroty. Nawet nie okazała zdziwienia na mój widok. Dała znak, że zaraz wyjdzie. To zaraz trwało co najmniej kilka minut.

— Właśnie skończyłam — powiedziała na przywitanie. — Przygotowałam materiał do jutrzejszego, a właściwie już dzisiejszego programu. A może, jak jesteś w Mieście, też byś w nim wystąpił? Na żywo. Nie zawsze w tej naszej telewizji mają na honoraria, a jak już znajdują się pieniądze, to skromniutkie, ale ogląda nas nawet dwadzieścia procent mieszkańców, licząc razem z niemowlakami. Wyobraź sobie, co piąty mieszkaniec Miasta.

— Kasiu — zacząłem spokojnie — czy ty nie rozumiesz, co się dzieje? Troje ludzi uwięzionych...

— Przecież powiedziałam, że oddam kasety.

Dokonałem spóźnionej prezentacji. Podkomisarz, aspirant, pani redaktor.

Po Kasi nie było widać ani śladu zmęczenia. O trzeciej w nocy wyglądała tak, jakby właśnie wstała, wzięła prysznic

i umalowana w bojowe barwy ruszała na podbój męskiego świata. Jej ulubione dzinsy i kusa bluzeczka odsłaniająca pępek wprost tchnęły świeżością. Pachniała dobrymi perfumami.

Przy niej nawet podkomisarz, dotychczas dla mnie najlepszy przykład człowieka, którego nie ima się zmęczenie, sprawiał wrażenie ciężko spracowanego niewolnika. Teraz wpatrywał się w rudą dziennikarkę z niedowierzaniem, jak w istotę z innego świata.

— W jaki sposób zamierzała pani to zrobić? Czy skontaktowała się już pani z Profesorem? I dlaczego ukryła się pani na tyle godzin? Nawet po odebraniu informacji od pana Konrada nadal się pani ukrywała.

— Nie za dużo pytań, panie komisarzu? — odpowiedziała pytaniem.

— Dziwi mnie pani niefrasobliwość!

A jednak chyba się pomyliłem. Grubasek, jeżeli nawet wstrząsnęła nim uroda Kasi (naprawdę wstrząsająca, zwłaszcza w środku nocy), zachował policyjną pryncypialność. Żadnych przywilejów dla pięknych kobiet. Dla dzielnego szeryfa najważniejsze jest prawo i sprawiedliwość. Zapudłuje każdego, kto nie przestrzega prawa. Nawet Miss Polski.

— Pan robi swoje i ja robię swoje — rzekła spokojnie gwiazda miejscowej żurnalistyki. — Dla mnie te kasety to ważny materiał dziennikarski...

— Pani je ukradła.

— Tak? Czy otrzymał pan zgłoszenie o kradzieży od właściciela?

— Kasiu — wtrąciłem się do rozmowy. — Gdzie masz te nieszczęsne kasety? Oddajmy je Profesorowi jak najszybciej. Czy wyobrażasz sobie, co przeżywa teraz Joasia? A jak czują się jej rodzice?

— Proszę. — Wskazała czarną torbę leżącą pod ścianą. — Są tam wszystkie.

— Pośpieszmy się, Profesor zagroził, że jeśli nie otrzyma ich do rana...

— Nie wierzę, że coś im zrobi. Zbyt dużo osób już wie, że to on porwał państwa Wrońskich. Poza tym to mu nic nie da... Najwyżej skłoni naszą szanowną policję do szybszego działania.

— Mówił pan podobnie — przypomniałem podkomisarzowi.

— O proszę, jednak zdarza się, że mamy wspólne zdanie.  
— Zaśmiała się Kasia.

— Ty masz telefon do Profesora — zwróciłem się do dziewczyny. — Podaj mi, a zaraz do niego zadzwonię.

— Wyjdźmy najpierw z tego budynku. Po co ma wiedzieć, skąd dzwoniemy.

— Zadzwonię z komórki.

— Komórkę też można namierzyć.

— Czy pani sądzi — zapytał grubasek — że on ma takie możliwości?

— Dla niego pracuje wielu ludzi. Również w pańskiej policji.

Zobaczyłem minę podkomisarza, wyjątkowo wyrazistą jak na niego, więc żeby nie dopuścić do jakiejś dzikiej awantury, szybko powiedziałem:

— Chodźmy. Chciałbym to już mieć za sobą.

Po wyjściu z budynku podeszliśmy do automatu na rogu ulicy i zadzwoniłem do Profesora. I on chyba nie spał tej nocy, bo natychmiast odebrał telefon. Powiedziałem, że mam dla niego kasety.

— Spotkajmy się za godzinę w restauracji hotelu „Pod Czarnym Rumakiem” — zaproponował. I dodał: — Dziś wieczór poznał pan to miejsce.

— Ale tam chyba jest już zamknięte.

— Zaraz zadzwonię, żeby dla nas otworzyli.

„A więc jednak sny sprawdzają się - przemknęła mi myśl.  
— On już dowiedział się, że tam byłem. To naprawdę diabeł”.

Podkomisarz zapytał Dorotę czyli Kasię, czy zawiezie mnie do hotelu, bo on musi coś załatwić. Nie czekając na odpowiedź dziennikarki, razem z chudym aspirantem odjechali.

Zostaliśmy we dwoje. Nic nie mówiłem, ale Kasia chyba czuła, że mam do niej pretensję. Najpierw milczała, a potem nagle stwierdziła:

— Nie ufam policji. Nie wierzę im nic a nic.

Taka była cała nasza rozmowa. Pani redaktor nie widziała powodu, żeby się z czegokolwiek tłumaczyć.

Pojechaliśmy do hotelu. Kasia zaparkowała tym razem tuż obok budynku. Weszliśmy do środka. Na nasz widok recepcjonista bez słowa pomaszerował do drzwi restauracji i otworzył je szeroko. Zapalił kilka świateł i zniknął.

— Kasiu — powiedziałem — zostaw te kasety, a sama jedź do domu.

— Nie chcesz wiedzieć, co na nich jest?

— Nie. W tej chwili interesuje mnie tylko los Joasi i jej rodziców. To są uczciwi ludzie. Chcę, żeby żyli. I żeby nikt ich nie skrzywdził, bo naprawdę nie zasłużyli sobie na to, co ich spotkało.

— A jeśli ci powiem, że od tych kaset zależy los wielu innych ludzi?

— Więc co, to ja mam decydować, czyj los ważniejszy...

— Konrad, jesteś tylko dziennikarzem. Masz opisywać, a nie ingerować w rzeczywistość.

— Czy to znaczy, że kiedy na moich oczach kogoś biją albo mordują mam spokojnie to obserwować? I jedynie starać się wszystko dobrze zapamiętać, żeby potem napisać ciekawy tekst?

— Nie ma dobrych odpowiedzi na takie pytania — przyznała Kasia. — Ale gdy wtrącis się do bijatyki, to najwyżej pomożesz jednemu człowiekowi. No dobrze, uda ci się i obrońsz go, nie dostanie po mordzie. A gdy opiszesz taki przypadek, możesz wywołać jakąś społeczną zmianę.

— Trele-morele... Jaką zmianę? Ty w to jeszcze wierzysz?

Kasiu, ja opisałem kilkadziesiąt afer, i to w taki sposób, że policja, prokuratura, sąd i kto tam jeszcze, mieli wszystko prawie na tacy. Myślisz, że skorzystali z tego? Że posadzili kogoś? Że po moich reportażach rozpoczynają natychmiast śledztwo? Że przynajmniej przesłuchują moich „bohaterów”? Gdzie tam. Najczęściej przesłuchują mnie. A skąd pan to wie, redaktorze? A w jaki sposób wszedł pan w posiadanie tych informacji? Ja zaś, jak wiesz, nie mogę przeważnie tego ujawnić.

— Konrad, musisz koniecznie wystąpić w moim programie. O tym właśnie porozmawiamy sobie przed kamerą. Dobrze?

— Wiesz, ja właściwie skończyłem z dziennikarstwem...

— To też możesz powiedzieć.

— Najpierw sprawa kaset, a potem chcę się wyspać.

— OK. Wyśpij się. — I po prostu wstała i wyszła, nie przejmując się, że za chwilę mam się spotkać z człowiekiem, który raz już próbował mnie zamordować.

Spojrzałem na zegarek. Profesor spóźniał się. Postawiłem torbę z kasetami na krześle od strony drzwi, sam usiadłem z drugiej strony stolika. Wyobraziłem sobie, że Profesor wejdzie, ja mu wskażę torbę, on ją chwyci i wyjdzie. I po sprawie.

Gdzieś na górze trzasnęły drzwi albo ktoś coś upuścił. Cały hotel był pogrążony we śnie i tylko dlatego usłyszałem ten słaby hałas. We śnie moje zmysły były wyostrzone, słyszałem i widziałem wszystko, czułem nawet zapach cygara zapalonego kilka kondygnacji wyżej, a na jawie straciłem umiejętności indiańskiego tropiciela. Byłem ponadto senny i zmęczony.

„Gdybym usiadł w kącie i zdrzemnął się, może we śnie odzyskam nadzwyczajne właściwości?” — pomyślałem.

— Siedź i nie ruszaj się! — Usłyszałem głos za plecami.

To nie był głos Profesora. To był głos kogoś, kto wyszedł z mroku, tak jak brzuchaty mężczyzna w moim śnie. Głos, który już chyba słyszałem, ale teraz — przestraszony — nie byłem w stanie przypomnieć sobie, gdzie i kiedy.

— Nie odwracaj się, mam cię na muszce. Jeden ruch, a zginiesz. Spokojnie wstań i weź torbę. Postaw ją na podłodze i pchnij mocno do tyłu.

Zrobiłem, co kazał. Gdy wstałem, zdawało mi się, że widzę odbicie mężczyzny w lustrze na ścianie. Rzeczywiście trzymał w ręku rewolwer.

„To jest przecież”... — zdążyłem pomyśleć i film mi się urwał.

„Ile razy można w tej samej historii obrywać w głowę?” — Taka była moja pierwsza sensowna myśl, gdy już ocucony siedziałem na kanapie pod ścianą restauracji.

„Pan major powiedziałyby, że do trzech razy sztuka” — pisnął mój głos wewnętrzny.

„Ty to naprawdę umiesz pocieszyć człowieka. Czy chcesz przez to powiedzieć, że za trzecim razem uda im się załatwić mnie na dobre?”

Odpowiedzi nie było. Głos profilaktycznie milczał. Dobrze wyczuł, że jestem w grobowym nastroju.

Świtało. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, znanych mi i nieznanym. Nie bardzo mnie to wszystko obchodziło. Wiedziałem już mniej więcej, co się zdarzyło. Podkomisarz poświęcił mi całe piętnaście minut i dokładnie wszystko zrelacjonował. W tej chwili nie miałem ochoty porządkować tej wiedzy i wypełniać nią mej obolałej czaszki. W ogóle nie chciało mi się nawet myśleć. Więc siedziałem i piłem znakomity stary koniak. Hennessy. V.S.O.P, czyli *very superior old pale*, a więc leżakujący pewnie ze dwadzieścia lat. Piłem na koszt firmy. Taką propozycję złożył mi miły pan, kierownik hotelu, czy też knajpy, w której dostałem w mózgownicę, wezwany — zdaje się — w trybie nagłym przez policję. Myślał pewnie biedak, że poproszę o aspirynę i wodę albo soczek. Ale nie żałowałem go nic a nic. W końcu ten hotel należał do Starucha. I pewnie nadal jest własnością gangu. Zapłacą więc



ci, którzy coś mi są winni. Po wypiciu kieliszka poprosiłem o przyniesienie butelki. Sam się obsłużę — powiedziałem. Muszę się przecież pozbierać, odzyskać siły. Przyniesiono butelkę, zaproponowano też kawę. Dlaczego nie, pomyślałem, mogę napić się też kawy.

Gdzieś przez knajpiany horyzont przemknęła Kasia.

— O proszę, już się dowiedziała. Zawsze pierwsza na miejscu zbrodni. Nie wyprzedzi jej żaden kolega żurnalista. Jak ona to robi?

Dziennikarka zaafierowana biegała wokół, rozmawiając a to z krągłolicym podkomisarzem, a to z jakimiś nieznajomymi.

— Jak się czujesz? — zapytała w przelocie, nie czekając chyba specjalnie na odpowiedź.

— Mam twardszą czaszkę, niż sądziłem. Co rusz dostaję w głowę, a wciąż żyję. I za każdym razem, po oprzytomieniu, odkrywam nowe powaby życia.

— Chyba jeszcze trochę bredzisz — oznajmiła Kasia.

I pobiegła dalej, w sobie tylko wiadomym kierunku. Nim to zrobiła, obiecała niedługo wrócić do mnie. Nalałem więc kolejny kieliszek, aby spokojnie poczekać na to wielkie wydarzenie.

Podszedł do mnie aspirant Muszka, przysłany chyba przez podkomisarza.

— Czy może pana redaktora odwieźć do domu? — zapytał.

— Jeszcze trochę muszę posiedzieć — odrzekłem, po zbadaniu wzrokiem zawartości butelki, która stała przede mną. — Ruch nie byłby teraz wskazany.

— A może powinien pan pojechać do lekarza? Mogę pana zawieźć.

— Dziękuję za troskę, ale wolę leczyć się sam. Nie mam zaufania do medycyny tak samo jak do... — Na szczęście ugryzłem się w język, zanim powiedziałem ostatnie słowo. Już się domyślacie? Oczywiście, chodziło mi o policję.

Żeby zatuszować tę prawie gafę, opowiedziałem aspirant-

wi dowcip, który major usłyszał gdzieś w mediach i włączył ostatnio do swego repertuaru. Mnie również — wielkiemu przeciwnikowi lekarzy — bardzo się podobał. Otóż do lekarza przychodzi pacjent. Lekarz gruntownie go bada i oznajmia: „Pańska choroba jest nieuleczalna. Nie da się już nic zrobić. Ma pan najwyżej dwa tygodnie życia”. Pacjent wpada w czarną rozpacz, płaci rachunek i wychodzi. Po dwóch latach spotyka na ulicy lekarza. „Dzień dobry, panie doktorze! Dawał mi pan dwa tygodnie życia, a jak pan widzi, minęły dwa lata i ja wciąż żyję”. Lekarz patrzy na niego ze smutkiem i powiada: „Widzi pan, wobec woli życia to nawet medycyna bywa bezsilna”.

Aspirant wybuchnął radosnym śmiechem, aż z oddali spojrział na niego karcącym wzrokiem grubasek. A potem, jakby ściągnięty tym szczerym entuzjazmem chudzielca, ruszył w naszą stronę.

— Zwijamy się, panie Konradzie. Tu już nic więcej nie mamy do zrobienia — powiedział.

— A może wypije pan kieliszek? Bardzo dobry koniak.

— Nie mogę, sam pan wie.

— Całą noc był pan na nogach. Dobrze panu robi.

— Być może, ale naprawdę nie mogę. Nie interesuje pana, w jakim punkcie jest śledztwo? Mam zgodę, żeby przedstawić panu najnowsze...

— Oczywiście, oczywiście — odrzekłem, chociaż interesowało mnie to wszystko raczej średnio. Odkąd wiedziałem, że Joasia i jej rodzice są wolni, reszta nie miała dla mnie większego znaczenia.

Podkomisarz chyba to wyczuł, bo powiedział:

— Ale pan chyba jeszcze nie w formie, a ja tu pana męczę.

— Rzeczywiście, patrzę na to wszystko z oddali. Jak człowiek, który już prawie był na drugim brzegu.

— On nie zamierzał pana zabić. Tak sądzę. Chciał zapewnić sobie tylko spokojną ucieczkę z kasetami.

— Ja nie strzelam, bo nie mam z czego.  
— No nie, ale mógł pan kogoś wezwać... Nie wiem, naprawdę nie wiem, dlaczego to zrobił.  
— Jeszcze go nie złapaliście? I kasety znów wsiąkły?  
— To tylko kwestia czasu. Już wiemy, kto to.  
— Tak? Więc kto to? — zapytałem bez większego zainteresowania.  
— To jedyna rzecz, której nie mogę jeszcze panu wyjawić.  
Zbliżyła się Dorota, czyli Kasia z komórką przy uchu i zaszczębiotała do grubaska:

— Panie komisarzu, chcemy dla mojej gazety sfotografować samochód Profesora, lecz pańscy ludzie nam nie pozwalają.

„Proszę, jaka potrafi być miła, gdy jej o coś chodzi” — pomyślałem.

— Niestety, to nie w mojej gestii — wykiął się podkomisarz. — Tu rządzi policja z Miasta. To zresztą pani dobrzy znajomi, jak słyszę.

— OK. Zapamiętam odmowę. — Kasia znów była sobą.

— Uprzejmie proszę — powiedział rzeczywiście bardzo uprzejmie policjant.

Pokiwałem głową z zazdrością. Że też ja tak nie potrafię postępować z miłą Kasiunią.

— Kasiu, a może ty strzelisz koniaczek. Dla uczczenia nowego dnia.

Pani redaktor spojrzała na mnie z mieszaniną litości i pogardy.

— Konrad, przede mną pracowity dzień. A ty powinieneś iść do ciotki i przespać się choć kilka godzin. Pamiętaj, że wieczorem występujesz w telewizji?!

Nie chciało mi się dyskutować z Kasią, ale wiedziałem, że to nie jest dobry pomysł. Znów ruda dziennikarka wpuszcza mnie w coś, czego sam z siebie nigdy bym nie zrobił. Może ten pomysł nie grozi śmiercią ani kalectwem jak udawanie

przyrodniego brata Klary czy włamanie do mieszkania Profesora, ale na pewno utratą twarzy. Co prawda to Kasi, znanej tutaj jako Dorota Szopa, zawdzięczam sławę w Mieście, ale czy znaczy to, że ma ona prawo tej sławy mnie pozbawić? Czy raczej zamienić sławę na niesławę? Co ja powiem temu co piątemu mieszkańcowi Miasta, który zasiądzie wieczorem przed telewizorem, żeby oglądać ich miejscową gwiazdę, a przy okazji i mnie? Że mnie się już nie chce? Że nie wierzę w sens mojej dotychczasowej roboty? Że praca asenizatora, zapewne potrzebna z tak zwanych powodów społecznych, zaczęła mi zanadto śmierdzieć?

„Strasznie się roztkliwiasz nad sobą!”

„Proszę, proszę. Któż to się odezwał? Mój słodziutki głosik wewnętrzny”.

„Ty chyba jesteś naprawdę pijany”.

„A ty natychmiast skorzystałeś z okazji. Nie rozumiesz? Twoim paliwem jest przecież alkohol”.

„Chcę tylko ci przypomnieć o twoich powinnościach. Skończyłeś z dziennikarstwem? Proszę bardzo, pańska wola. Nie chcesz naprawiać świata, nie wierzysz w to — OK. Ale masz nowe obowiązki. Ty tu opowiadasz swoją historię. Czytelnicy czekają na dalszy ciąg. Chcą wiedzieć, kto ci dał w głowę”...

„Tego, jak słyszałeś, nie chce ujawnić policja, albo po prostu jeszcze nie wie. Mnie natomiast, jeżeli dobrze człowieka rozpoznałem, zdawało się, że był to facet podszywający się pod komisarza Zbierskiego”.

„Musisz, zamiast robić tu striptiz zbolalej duszy, opowiadać dalej tę historię”.

„Opowiadać dalej?”

„Oczywiście. Opowiadaj. Powiedz, co się zdarzyło w ciągu ostatnich kilku godzin”.

Cóż, jak mus, to mus. Więc podobno było tak. Gdy ja siedziałem w hotelowej knajpie i czekałem na Profesora, dzielna policja postanowiła wreszcie zaatakować. Pamiętacie wąpli-

wości grubaska? Że próba odbicia z rąk porywaczy Joasi i jej rodziców może być zanadto ryzykowna? Że trzeba zgrać dokładnie w czasie dwie akcje: w hotelu i w dawnej willi Starucha? Wymyślono zatem coś jeszcze bardziej skomplikowanego. To coś miało chyba ręce i nogi. Otóż Profesor już od pewnego czasu był bardzo dokładnie inwigilowany. Podśłuchiowano jego rozmowy, obserwowano kontakty, ba, nawet — jak powiedział miły podkomisarz — czarnego chevroleta zaopatrzono w małe nadajniki. Oczywiście bez wiedzy właściciela. To zmyślne urządzenie dawało stały sygnał pozwalający bezustannie śledzić samochód i lokalizować go z wielką dokładnością. Z nasłuchu płynęły ważne informacje. Być może także od informatora, którego Centralne Biuro Śledcze umieściło (albo pozyskało) w gangu, ale na ten temat grubasek nie chciał się wypowiadać. Policja niemal na bieżąco wiedziała, co robi Profesor. Po porwaniu państwa Wrońskich szybko ustalono, gdzie się znajdują a także że gangsterzy obchodzą się z nimi dobrze.

Podkomisarza cały czas nurtowało oczywiście pytanie, co jest na kasetach. To musi być coś naprawdę cennego. A zatem nie tylko amatorskie pornosy. Przecież Profesor, człowiek niegłupi, nie zaczynałby ryzykownej awantury z porwaniami dla zwykłych filmów pornograficznych. Filmy obejrzała Dorota. Podkomisarz jednak dobrze wiedział, że łatwiej rozbić gang niż wyciągnąć cokolwiek od upartej dziennikarki. Wniosek mógł być tylko jeden. Jeżeli te kasety są takie ważne, to trzeba je przejąć, ale oczywiście w taki sposób, żeby nie stało się nic Joasi i jej rodzicom. Podkomisarz na podstawie analizy zdobytych informacji uznał, że gangsterzy bez wyraźnego polecenia Profesora nie zrobią im krzywdy. Wymyślił więc, że należy najpierw ująć szefa gangu i to przez zaskoczenie, żeby nie zdążył się porozumieć ze swoimi podwładnymi, a potem...

„Strasnie to niemrawo opowiadasz. Więcej życia, działania się... Przecież przedstawiasz najbardziej brawurową akcję po-

licji w tej historii, a może w ogóle w III Rzeczypospolitej" — powiedział głos wewnętrzny.

„Robisz się po prostu bezczelny. Jeszcze jedna taka odzywka i cię skasuję. Po prostu znikniesz z tej opowieści. Rozumiesz? Czy myślisz, że jesteś niezbędny? Że bez twoich komentarzy ta historia wiele straci?”

Zamilkł, ale czułem, ba, ja dobrze wiedziałem, że ten zarozumialec jest przekonany, iż na nim wszystko się opiera. Oczywiście na nim, a nie o niego — j a k się mówi obecnie po polsku. Czy raczej po polskiemu. Dobrze więc, chce brawurowych akcji? Będzie je miał. Chce więcej dziania się? Będzie się działo, że hej. Więc tak. Jest późny wieczór. Czarny Chevrolet przemyka ulicami Miasta. Profesor wraz z obstawą jedzie na spotkanie ze mną. Samochód skręca w boczną jednokierunkową ulicę. To najkrótsza droga do hotelu „Pod Czarnym Rumakiem”. Niemal tuż za zakrętem z bramy wyjeżdża czerwone clio. Prosto pod chevroleta. Buch, bach — zderzenie. Sypie się szkło z rozbitego reflektora, odpada kawałek zderzaka. Dwa samochody z zapalonymi światłami stoją na środku wąskiej uliczki. Chevrolet miał oczywiście pierwszeństwo. Profesor wściekły wydostaje się z samochodu, a za nim jego gangsterzy. Ale oto z clio wysiadają dwie spanikowane panienki. Jedna płacze: to ona prowadziła samochód rodziców. Jej koleżanka wygląda również na bliską żez. Panienki są bardzo ładne i wszystko w nich podoba się chłopakom od Starucha: długie nogi, króciutkie spódniczki, wystrzałowe fryzury i pełny makijaż. Chyba są lekko odurzone, alkoholem albo narkotykami. To zapewne klientki gangu, który rozprowadza przeciw narkotyki. Klient, zwłaszcza taki ładny, zasługuje na chwilę czułej uwagi. Sprawa zderzenia schodzi na drugi plan. Chłopaki z obstawy Profesora zapominają na chwilę o bożym świecie („Ale laski”) i zaczynają rozmawiać z dziewczynami, pocieszać je. Wszyscy razem oglądają obydwie samochody. Szkody nie są tak duże, jak się mogło wydawać w pierwszym

momencie. W jednokierunkową ulicę wjeżdża właśnie niewielka ciężarówka i oczywiście zatrzymuje się, bo Chevrolet i clio tarasują przejazd. Kierowca ciężarówki najpierw niecierpliwie trąbi, ale potem wysiada i wraz z kolegą podchodzi, żeby zobaczyć, co się stało. Nagle słyszą okrzyki „Policja, policja”, w rękach nadchodzących mężczyzn i dziewczyn pojawia się broń, również z bramy, z której wyjechało clio wyskakują kilku antyterrorystów w charakterystycznych strojach. Kompletnie zaskoczona obstawa Profesora już leży na ziemi przy samochodzie, a on sam siedzi bez ruchu pod ścianą domu między dwiema panienkami. Ale-laski okazały się znakomitymi agentkami policji. Akcja odbyła się zaś tak szybko, jakby chodziło o to, żeby zadowolić mój głos wewnętrzny.

Czy tak było? Znam tę scenę z relacji grubaska. Jego przy tym nie było. On dopiero teraz, gdy akcja jest w zasadzie zakończona, wysiada z furgonetki zaparkowanej kilkadziesiąt metrów dalej i podchodzi wraz z dwoma innymi policjantami do miejsca akcji. Są już blisko. W tym momencie jedna z policjantek obok Profesora przewraca się z krzykiem, bo dostała łokciem w nos, a Profesor znika w bramie — tej samej, z której wyjechało clio, a potem wypadli antyterrorysty. W zamieszaniu, jakie powstało, tylko jeden człowiek nie traci głowy. To policjant, który siedział wraz z podkomisarzem w furgonce. Z rewolwerem w ręku biegnie do bramy i próbuje dogonić Profesora. Dopiero za nim pędzi grubasek i drugi policjant. W tym czasie zajeżdżają kolejne samochody policyjne i zabierają ludzi z obstawy szefa gangu.

A na podwórku wciąż trwa pościg. Jest ciemno, stąd łatwo przejść na następne podwórko, a potem na sąsiednią ulicę. Podkomisarz wzywa posiłki, żeby obstawić cały teren. Ale zanim posiłki się zjawia słyszą strzały. Po chwili grubasek znajduje obok jakiejś szopy Profesora. Szef gangu nie żyje. Dostał dwie kule, jedną w brzuch, drugą w głowę. Kto strzelał? Policjant, który pobiegł pierwszy za Profesorem? Ale dla-

czego oddał dwa strzały? Profesor nie miał broni, wystarczył jeden strzał w nogi, aby go unieruchomić. Zresztą policjanta nie ma. Zniknął. A więc może to strzelał ktoś inny i policjant nadal go ściga? W każdym razie podkomisarz może wydać już przez telefon rozkaz. Brzmi on krótko: „Teraz!” Na to słowo czekają dwie niezależne grupy. Natychmiast uderzają. Jedna na willę Starucha, druga na apartament w hotelu „Pod Czarnym Rumakiem”.

Nie widziałem również tych akcji, ale mogę je sobie wyobrazić. Kilku ludzi przeskakuje przez parkan otaczający willę. Przykuwają dwóch ochroniarzy do parkanu w ogrodzie. Policjanci oczywiście nie korzystają z dzwonka. Niewielki ładunek wybuchowy rozrywa zamki. Wystarczy mocno pchnąć, żeby znaleźć się w środku. Ci, którzy atakują od tyłu, mają jeszcze łatwiejsze zadanie. Drzwi od strony tarasu wypadają od jednego mocnego kopnięcia.

Znam tę willę od środka. Pamiętam hol i salon na parterze. W czasie akcji snuje się tam szary dym. Właśnie wybuchły ogłuszające granaty. Antyterrorysty wyprowadzają oszołomionych gangsterów. Wszystko trwa sekundy. Joasia jest wolna, choć też lekko zamroczona. Zaraz samochód policyjny odwiezie ją do domu.

Dokładnie w tym samym czasie inna grupa podważa łotmem zamek hotelowego apartamentu. Czekali na rozkaz, na krótkie słówko „teraz”. Ja, siedząc na dole w restauracji, gdzie mam się spotkać ze spóźniającym się Profesorem, słyszę słaby hałas dochodzący z góry. I to wszystko. Akcja jest tak prowadzona, że goście hotelowi mogą spokojnie przespać. Tu także wszystko dzieje się błyskawicznie. Gangsterzy, którzy pilnują rodziców Joasi, nie mają czasu, aby się zorientować w sytuacji. Leżą już na podłodze, a nad nimi stoją policjanci z bronią w rękach. Państwo Wrońscy wychodzą powoli z pokoju. Nie zdążyli nawet się przestraszyć. Czekają też na nich lekarz. Wkrótce pojedą do domu, a tam będzie już ich córka.



Ja, niestety, nie widzę zakończenia akcji w hotelu, bo zamiast Profesora zjawia się człowiek zwany przeze mnie fałszywym Zbierskim, pozbawia mnie przytomności i znika. Oczywiście razem z kasetami. Znajduje mnie podkomisarz, który przyjeżdża chwilę później. Zabójca Profesora zniknął, trwa na niego obława, ale grubasek chce jak najszybciej przejąć kasy. O nie przecież toczy się cała ta wojna. Kaset jednak nie ma. Jest tylko nieprzytomny dziennikarz, czyli ja.

Grubasek jest przekonany, że zabójca Profesora i złodziej kaset to jedna i ta sama osoba. Wykorzystał okazję, żeby zabić właściciela „posagu Klary” (jeśli rzeczywiście są nim kasy) oraz zdobyć ten tajemniczy i pożądany przez tak wielu skarb.

„Co, do licha ciężkiego, jest na tych kasetach?” — zadałem sobie pytanie.

„To wśród żywych wie już tylko jedna osoba — odezwał się wyjątkowo trzeźwo mój głos wewnętrzny — czyli redaktor Dorota Szopa. Wszyscy inni, którzy mogli to wiedzieć, a więc Staruch, bohaterka twoich marzeń, Klara Zameczek i Profesor, nie żyją”.

„No i wie albo za chwilę się dowie, złodziej, który je ukradł. Swoją drogą, czy możesz sobie wyobrazić, jak byłby dumny i szczęśliwy reżyser, za którego filmami zabijaliby się tak, i to dosłownie, widzowie, jak za tymi na poszukiwanych kasetach?”

Gdy tak wyjątkowo inteligentnie i serdecznie — jak na moje stosunki z głosem wewnętrznym — gwarzyliśmy sobie, w drzwiach restauracji pojawił się podkomisarz, który dopiero co oddalił się wraz z całą ekipą policyjną.

„Czyżby jednak namyślił się i postanowił spróbować dobrego koniaku? — pomyślałem, spoglądając z niepokojem na niemal pustą już butelkę. — Chyba nie da się wypić jeszcze jednej na koszt firmy?”

— Panie Konradzie, mamy pana fałszywego Zbierskiego

— oznajmił. — Musi pan nam pomóc i potwierdzić jego tożsamość.

— Ale ja nie znam jego prawdziwej tożsamości...

— Wyraziłem się nieprecyzyjnie. My wiemy, kim on jest. Chodzi o to, żeby powiedział pan, czy to ten sam dżentelmen, którego pan kilkakrotnie spotkał.

— Oczywiście. A gdzie on jest? W areszcie?

— Nie. Leży dwie ulice stąd. Nie żyje.

— Nie żyje?

— Tak. Ktoś go zastrzelił.

— A kasety?

— Kaset nie ma. Znikły.

Obudziła mnie ciocia-babcia. Stała nade mną i mówiła, że pani redaktor kazała mnie budzić... Podobno mam wystąpić w telewizji, za trzy godziny.

„Dziś to kobiety organizują nam świat i życie — pomyślałem. — Budzą nas z przyjemnego snu i każą żyć na jawie. Koszmarne realnej jawie”.

— Ale ty, biedaku, nie masz krawata ani garnituru — zmartwiła się ciocia Adelajda.

— Nie jestem biedakiem, ciociu, bo mam garnitur i nawet ze dwa krawaty. Tyle że w Warszawie. Skoczę i przywiozę. A występ w telewizji odłożymy.

— Widzicie, znalazł sobie wymówkę. Pani Dorota przewidziała, że będziesz się wykręcał. Zaraz do niej zadzwonię i coś zaradzimy.

Ciocia Adelajda odbyła krótką rozmowę telefoniczną i ze słuchawką w ręku zapytała:

— Jaki numer nosisz?

— Ciociu, ja garnitury kupuję raz na kilka lat. Skąd mam pamiętać? Zresztą zawsze to te miłe dziewczyny w sklepach mi je dobierają.

Ciocia na chwilę odłożyła słuchawkę, wyciągnęła krawiecką miarę i obmierzyła mnie dokładnie. Przeprowadziła dodatkowe telefoniczne konsultacje i oznajmiła:

— Przywiożąc ci garnitur, koszulę, buty i krawat. Jest taki

sklep, który ubiera uczestników programu. Ma za to darmową reklamę.

— Jest za gorąco na garnitur, koszulę, buty i krawat — odrzekłem. — W ogóle jest za gorąco.

— Nie wykręcaj się. To zaszczyt wystąpić w telewizji w programie Doroty Szopy.

— Ciociu, dla mnie to będzie nie zaszczyt, ale kompromitacja.

Ciocia mruzczała coś niezadowolona z mej postawy, a ja próbowałem przypomnieć sobie sen, który mi przerwała. Zda się, że otaczały mnie wyłącznie kobiety. Agata, słodka dawna ma kochanka, pustynny miraż, czyli nieosiągalna Joasia, nawet Klara Zameczek, której nigdy nie poznałem. Zaraz, nie było we śnie Kasi. Czyż to możliwe, żeby zabrakło wszędybylskiej rudej piękności? Ale za to pojawiła się Jadzia. O co chodziło tym wszystkim kobietom? O czym był ten sen? Nie mogłem sobie przypomnieć. Pamiętałem tylko, że było mi bardzo przyjemnie. Znacznie przyjemniej niż na tej upalnej jawie, gdzie każą człowiekowi brać udział w telewizyjnym talk show.

Poszedłem wziąć prysznic i nadal próbowałem przypomnieć sobie fabułę snu. Nic z tego. Natomiast przypomniałem sobie zadanie, jakie zleciłem Jadzi. Właściwie nie interesowało mnie już wcale, kto jest właścicielem willi w Magdalence, którą odwiedził Profesor, ale jeżeli Jadzia zadała sobie trud sprawdzenia tego, to trzeba ją docenić i pochwalić. Wyśiętek nie może pozostać bez nagrody.

„Wykazujesz prawdziwie pedagogiczne podejście” — potwierdził głos wewnętrzny.

Zadzwoniłem więc do sympatycznej sąsiadki. Jest późne popołudnie, powinna już być z powrotem w domu. Rzeczywiście, właśnie wróciła. Troszkę ponarzekła, że nie było to takie łatwe, ale na chwilę się wyłączyłem i opis trudności

przeleciał mi mimo uszu. W końcu jednak Jadzia jakoś wydożyła nazwisko właściciela posesji. Powiedziałem, że będą z niej szpiedzy. I że jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, otrzyma kolejne, znacznie bardziej odpowiedzialne zadanie wywiadowcze. Była zadowolona.

Gdy odłożyłem słuchawkę, nagle coś mnie — jak to się mówi — tknęło. Wysłuchałem Jadzi nieuważnie, bo przecież zdobyta przez nią informacja nie była mi potrzebna. Teraz zaczęło mi się zdawać, że kiedyś już słyszałem nazwisko, które wymieniła. Kiedy i w jakich okolicznościach? Od kogo? Czy to może mieć jakieś znaczenie? Czy to teraz ważne, z kim spotykał się Profesor? On przecież nie żyje, a jego gang w dużej części został zapudłowany.

Piłem kawę, jadłem jakieś danko przygotowane przez ciocię-babcinę i rozmyślałem. Przede wszystkim o tym, co mam powiedzieć w tym nieszczęsnym programie telewizyjnym. I, jak to zazwyczaj bywa, nagle sobie przypomniałem.

„O Boże — pomyślałem — to niemożliwe. Może to ktoś inny o takim samym nazwisku? — I zaraz potem: — Dlaczego? W tym kraju rzeczy niemożliwe okazują się możliwe”.

Rzuciłem się do telefonu. Miałem nadzieję, że nie wyszła gdzieś.

— Jadziu — powiedziałem — grozi ci bardzo poważne niebezpieczeństwo. Czy możesz zniknąć na dzień albo dwa? — Chciała coś powiedzieć, ale jej przerwałem. — Nie mów przez telefon, gdzie będziesz... Domyślam się, że jak zawsze masz pilną, terminową robotę, ale tu chodzi o życie. Tak, o twoje życie.

— Czy ty mówisz poważnie? Naprawdę jesteś szpiegiem?

— To ty teraz masz się zachować jak rasowa agentka. Najlepiej gdzieś wyjedź, w jakies zupełnie przypadkowe miejsce. Żadna bliska rodzina. I uważaj, czy cię ktoś nie śledzi.

— Konrad, ale ja nie mam grosza. Właśnie kończę robotę, za którą miałam dostać przyzwoite honorarium.

— Więc idź do mnie. W komodzie, w górnej szufladzie jest trochę gotówki. Weź, ile ci będzie trzeba.

Jadzia od dawna ma komplet kluczy do mojego mieszkania. Kiedyś sporo wyjeżdżałem i miła sąsiadka opiekowała się wtedy moim królestwem. Przede wszystkim regularnie podlewała nieliczne kwiatki.

— I co dalej?

— Przede wszystkim jak najszybciej wyjedź. Gdzieś, gdzie nigdy wcześniej nie byłeś, nikogo nie znasz, żeby w żaden sposób nie można było tego miejsca skojarzyć z tobą.

— Na Karaiby? Nie byłem tam nigdy i nikogo nie znam.

— Na to nie wystarczy ci pieniędzy — powiedziałem serio. — Nie czas na żarty.

Brak mojej zwyczajnej reakcji na dowcip przekonał ją ostatecznie.

— To aż tak poważne? W coś ty mnie wrobił?

— Nie mamy teraz czasu na dłuższą rozmowę. Aha, czy masz jeszcze listę telefonów, którą ci kiedyś dałem?

— Tak...

— Nie mów nic więcej. Zadzwoń jutro na pierwszy telefon z listy o dwunastej. W samo południe. A gdyby z jakiegoś powodu nie wyszło, za godzinę na drugi. I tak aż do skutku.

— To znaczy, że ty jesteś w...

— Nie mów nic. Jeżeli nas podsłuchują, to i tak wiedzą gdzie jestem. A teraz uciekaj. Jak najszybciej. Jesteś mądrą dziewczyną uda ci się. Całuję.

— Co? — Niemal czułem, jak Jadzia się rumieni.

— No, trzymaj się. I czekam jutro o dwunastej na twój telefon.

Byłem cały mokry. Jeżeli coś się stanie Jadzi, nie daruję sobie tego do końca moich dni.

Zadzwoił domofon i ciocia Adelajda pobiegła wpuszczać ekipę z salonu mody. Przyjechała sama właścicielka, korpulentna blondyna mniej więcej w moim wieku — obwie-

szona dźwięczącymi bransoletami i wisiorcami — wraz z młodszą pomocnicą Rozpoczęły od oglądania mnie, jak konia na targu, i głośnego zastanawiania się, w czym będzie mi najlepiej.

„Najlepiej jest mi nago — pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno, nie chcąc wzbudzać popłochu wśród otaczających mnie niewiast. — Zwłaszcza w czasie takich upałów”.

Panie przywozły trzy garnitury i spory wybór pozostałej garderoby. I już chciały rozpocząć przymiarki.

— Przed taką operacją muszę się ochłodzić — stwierdziłem i szybko schowałem się do łazienki.

Zimny tusz dobrze mi zrobił. Gdy wyszedłem, czekało zimne białe wino.

— Polubiłam to bianco — oznajmiła ciocia-babcia — i wykupiłam ostatnie butelki z naszego sklepu.

— Nie martw się, ciociu, dowiozą kolejne. Teraz nadchodzi czas na roczniki z nowego tysiąclecia. I trzeba będzie zacząć robotę od początku, żeby dokładnie posprawdzać, ile są warte.

Panie kończyły pierwszą butelkę i czuło się, że roznosi je entuzjazm. Natychmiast chciały ubrać mnie w jakiś szykowny garnitur. Nie miałem innego wyjścia, jak się poddać. Operacja okazała się łatwa dzięki mej łagodnej naturze. Powiedziałbym „spolegliwej”, ale używano tego określenia (wymyślonego przez profesora Kotarbińskiego) w tak różnych znaczeniach, że już sam nie wiem, jaki jest jego prawdziwy sens. Włożyłem pierwszy garnitur i oświadczyłem, że czuję się w nim wyśmienicie. Odpadła więc konieczność przymierzania następnych. To samo powtórzyło się przy następnych elementach mojego telewizyjnego kostiumu. Byłem ubrany po kilkunastu minutach. Jednak miłe panie, z ciocią-babcią na czele, zamiast się cieszyć, że tak wszystko dobrze (i szybko) udało się załatwić, miały raczej zawiedzione miny.

— A więc wiemy już, w czym wystąpię — powiedziałem

— a teraz muszę się zastanowić z czym. Przepraszam, ale chciałbym trochę pomyśleć.

Po czym zrzuciłem z siebie elegancki strój i ze szklanką wina oddaliłem się na tak zwaną stronę, czyli do drugiego pokoju. Mojemu odejściu towarzyszyła pełna głębokiego szacunku cisza. Cóż, w końcu nie każdy występuje w telewizji i to w programie redaktor Doroty Szopy.

Dorota czyli Kasia przyjechała po mnie godzinę przed rozpoczęciem programu. Wraz z ciocią Adelajdą przypilnowała, żebym włożył garnitur, koszulę, zawiązał krawat. Miałem dość całej imprezy, zanim wyszliśmy z domu, a ciocia-babcia już włączyła miejscowy kanał telewizyjny, żeby, broń Boże, nie przegapić mojego występu.

Zdarzało mi się wcześniej pokazywać w telewizji. Najczęściej pytano mnie o krótki komentarz do aktualnych wydarzeń, a ze dwa razy zaproszono do dużej dyskusji z udziałem wielu osób. Zawsze więc mój występ ograniczał się do powiedzenia kilku, najwyżej kilkunastu zdań. I na tyle właśnie mnie stać. A tu miałem siedzieć z Dorotą ponad godzinę w studio. Jej program składał się z kilku części. Najpierw krótka rozmowa na żywo z zaproszonym gościem, czyli tym razem ze mną, potem kilkuczęściowy materiał filmowy, wcześniej przygotowany (to nad nim Kasia pracowała w nocy), przerywany na gorąco naszymi komentarzami, a wreszcie odpowiedzi na pytania widzów, którzy mogli zadzwonić do studia. Jeżeli telefonów było dużo, to program nieraz przedłużano. W lokalnej telewizji można sobie na to pozwolić.

Kamery były dwie. Reflektorów o wiele więcej. Posadzono mnie w ich gorącym świetle, przypudrowano twarz, przypięto mikrofon.

— Coś do picia? — zapytało delikatne blade dziewczę, które samodzielnie wykonywało te wszystkie trudne czynności.

— Białe wytrawne wino — odpowiedziałem.

Kasia spojrzała na mnie wzrokiem bazyliuszka, to znaczy



niosącym groźbę śmierci. Nie rozumiałem dlaczego. Piłem wcześniej białe wino, więc tylko chciałem kontynuować. Przecież niewskazane jest mieszać alkohole.

— Nie mamy — powiedziało dziewczę. — Może być sok z czarnej porzeczki, woda mineralna albo kawa.

— To proszę szklanę wody.

I zaraz wszystko się zaczęło. Kasia mnie przedstawiła, podkreślając, że wywodzę się z Miasta. Powiedziała mi kilka komplementów, aż cały zarumieniony musiałem jej przerwać. Tyle wstępu. Potem rozmawialiśmy o korupcji. Kasia proponowała ten temat, a ja się zgodziłem. Ustaliliśmy, że mówimy sobie na ty, choć często w telewizji ludzie, którzy znają się jak łyse konie, używają oficjalnego „pan, pani”, oraz że Kasia jest Dorotą, bo pod takim imieniem znają ją widzowie.

Szło nam nad wyraz dobrze. Niczego więcej nie uzgadnialiśmy, a tu wychodziło. Pytanie-odpowiedź, pytanie-odpowiedź, pytanie-odpowiedź. I to dobre pytanie, i — nie chwając się — dobra odpowiedź.

Mówiliśmy, że korupcja to nie tylko łapówka dla policjanta z drogówki, który nas zatrzymuje za przekroczenie prędkości, czy dla ordynatora w szpitalu za przyspieszenie terminu operacji. To również zatrudnienie na dobrze płatnym stanowisku partyjnego kolegi. Zapłacimy za to my, zwykli podatnicy, gdy ten kolega zmarnuje pieniądze z budżetu. Mówiliśmy, że z korupcją trudno walczyć, bo nawet jeżeli prawie wszyscy wiedzą że ktoś bierze, to i tak nie można mu tego udowodnić.

W ogóle z korupcją jest tak, że czujemy wyraźnie jej obecność, ale bardzo trudno ją zbadać, ocenić jej wielkość, a więc także zlikwidować. I tu opowiedziałem anegdotę, którą gdzieś słyszałem albo czytałem.

Oto przyjechała do Warszawy jakaś zachodnia dziennikarka. Już drugiego dnia mówi do kogoś: „Ależ wy tu macie ogromną korupcję!” „Co pani może o tym wiedzieć po jed-

nym dniu pobytu?" — dziwi się jej rozmówca. „Wie pan, jeżeli widzę tyle wspaniałych nowych budynków w centrum, na obrzeżach miasta mnóstwo luksusowych willi, a równocześnie chodzę po dziurawych chodnikach, jeżdżę brudnymi autobusami i nawet w nocy nie widziałam policjanta, to co sobie mogę pomyśleć?"

Kasia zaczęła mówić o Mieście, że powszechnie uważa się je za bardzo skorumpowane. Szybko przeszła do ostatnich wydarzeń. Przestaje istnieć największy gang. Zabicie Zenona P., zwanego Profesorem, którego uważano za ostatniego szefa gangu, to już chyba koniec tej grupy przestępczej. Czy jednak na pewno? Profesor zginął, ale równocześnie znikły materiały, o które walczyli w ostatnich dniach gangsterzy.

— Nasza telewizja zdobyła kopie tych materiałów — oświadczyła Dorota czyli Kasia — i zaraz niektóre z nich państwu pokażemy. Uprzedzam, że często są drastyczne...

— Dorota — powiedziałem — nie rób tego.

Powiedziałem to na żywo, na wizji. Niemal czułem, jak cały zespół zamarł: kamerzysta samodzielnie obsługujący dwie kamery, realizator programu i kto tam jeszcze obserwował nas zza wielkiej szyby. Takie rzeczy nie zdarzają się w telewizji: spór o kształt programu na oczach widzów. Tylko pani redaktor była spokojna.

— Nie widziałeś tych filmów. Mają różny charakter. Kilkanaście z nich to materiały nagrane w dwóch agencjach towarzyskich. Oczywiście sądzę, że z ukrycia. Ich bohaterami są znani w Mieście ludzie: politycy, nawet jeden z naszych posłów do sejmu i biznesmeni. Znalazł się tu też prokurator, dwóch oficerów policji, lekarz psychiatra. I to jest przeważnie obrzydliwa pornografia.

— Oddaj je policji. To chyba wystarczy, żeby zapobiec ich wykorzystaniu dla szantażu.

— Nie zamierzam pokazywać tych obrzydliwości. Zresztą

nie wolno nam tego zrobić w oglądanej publicznie telewizji. Ja tylko chcę pokazać bohaterów filmów: krótkie ujęcia, twarze. Czy nie rozumiesz?

— Rozumiem twój sposób myślenia. Wiadomo, że ktoś zabrał te filmy, prawdopodobnie jakiś niedobitek z gangu Starucha, ale nie będzie ich mógł wykorzystać przeciw tym ludziom, których pokażesz, bo każdy będzie im patrzył uważnie na ręce.

— Ja działałam w imieniu społeczeństwa...

— Ludzie, których chcesz tu zniszczyć, też są członkami tego społeczeństwa. Jeśli ich pokażesz, to ich zabijesz. Może nie dosłownie, choć kto wie? W dawnych czasach byłby to wystarczający powód dla wielu do odebrania sobie życia.

— W naszych raczej nie. Często piszemy o przekrętach, kumoterstwie czy głupocie ludzi na świeczniku, piszemy wiele razy, a oni nic sobie z tego nie robią.

— To prawda. Jednak ludzie, których chcesz tu pokazać jako gości agencji towarzyskiej, mają żony, dzieci, sąsiadów. Pokażesz tylko twarze, ale widzowie będą sobie wyobrażać resztę. Może nawet często w gorszej postaci niż ta prawdziwa. Zadasz im śmierć cywilną.

— Oni przecież poszli do tej agencji towarzyskiej, nikt ich na siłę tam nie ciągnął.

— Tak. Czy jednak za chwilę słabości mają zapłacić całym życiem? Przecież to, co chcesz zrobić, jest niemal tak samo złe jak to, co zamierzał Profesor. Nie wolno wykorzystywać tych materiałów. Trzeba zniszczyć kopie i zniszczyć oryginały, które ma gang.

— Ale ty je im oddałeś.

— Oddałem, żeby ocalić życie ludzi, których porwali. Nie podejmuję się rozstrzygnąć, jak należy postępować z terrorystami, którzy porwają ludzi. Czy wolno nam ryzykować życie porwanych w imię zasady, że z terrorystami nigdy nie negocjujemy?

— Mam jeszcze inne filmy — powiedziała Kasia.

„Czyżby zrezygnowała z pokazania bohaterów pornosów? — pomyślałem. — To do niej niepodobne. A więc na pewno coś knuje”...

— Też nagrane z ukrycia, w luksusowym apartamencie hotelu „Pod Czarnym Rumakiem” — kontynuowała dziennikarka — dokumentują sceny przekazania łapówek. I tu występują znane postaci, promineneci z naszego miasta. Nie wszystkich znam. Może państwo, nasi widzowie, pomogą nam ustalić bohaterów tych...

Kasia nie zdążyła skończyć zdania, gdy w studio zgąsły reflektory.

— Mamy przecież awaryjne zasilanie! Włączcie je natychmiast! — ktoś krzyczał.

— To się włącza automatycznie, a więc chyba też nie działa.

Usłyszałem sygnał mojej komórki. Przed wejściem do studia zostawiłem ją profilaktycznie po drugiej stronie, u realizatora programu. To nie jest przyjemna sytuacja, gdy komórka dzwoni, kiedy jesteś na wizji. Jednak teraz, gdy program został przerwany, drzwi były pootwierane, dźwięk telefonu wyraźnie zabrzmiał w naszym pomieszczeniu. Ktoś zapalniczką oświetlił mi drogę i pobiegłem w stronę telefonu.

— Konrad — powiedział dobrze znany mi głos. — Zabierz tę dziennikarkę i natychmiast uciekajcie. Jesteście w wielkim niebezpieczeństwie.

Zamarłem. Nie wierzyłem własnym uszom. To był głos z zaświatów. Brzmiał słabo, lecz przecież dochodził z daleka. W ogóle to zadziwiające, że jest tam zasięg sieci komórkowych.

Poczułem zapach dymu, a potem zobaczyłem odbłask ognia na szybie. Budynek telewizji palił się. Nie potrafiłbym określić, skąd nadciągał ogień, ale byłem przekonany, że szybko przesuwa się w naszą stronę. Czy to znów przebłysk mojej genialnej intuicji?

Włożyłem telefon komórkowy do kieszeni spodni, rozwiązałem krawat i rzuciłem go w kąt, a potem ściągnąłem również marynarkę i powiesiłem na oparciu fotela. W garniturze czułem się sztucznie i właściwie bałem się każdego gwałtowniejszego ruchu, a sytuacja wymagała ruchów bardzo energicznych i być może gwałtownych.

— Zawiadomcie straż pożarną! Budynek się pali! — krzyknąłem do ludzi, którzy znajdowali się gdzieś obok.

Wróciłem do studia. Tu wciąż było ciemno, więc trochę po omacku złapałem Kasię za rękę.

— Chodź — powiedziałem krótko.

Kasia chwyciła torebkę i coś jeszcze, co leżało przed nią na stoliku.

— Czy jest tu tylne wyjście? — zapytałem.

— Jest, ale zazwyczaj zamknięte.

— Sprawdźmy.

Wybiegliśmy na korytarz. Mój wzrok przyzwyczał się już do ciemności, a tu było prawie jasno. Przez szerokie okna wpadało światło ulicznych lamp. Ciągnąłem Kasię, która lekko się opierała, nie rozumiejąc mojego zachowania. Ale ja

usłyszałem głos człowieka, któremu ufałem. Nieważne, skąd był ten głos — z nieba czy z piekła. Jeżeli ten człowiek mówi mi „zrób coś”, to ja to robię. Jeżeli mówi „zrób to natychmiast”, to ja robię to od razu, a dopiero potem zaczynam się zastanawiać, po co i dlaczego.

Dobiegliśmy do drzwi. Niestety, były zamknięte.

„Ale to przecież parter — pomyślałem. — Możemy wyskoczyć przez okno”.

Tuż obok drzwi było szerokie okno. Rodzaj witryny. Niestety, zamknięte na stałe. Wziąłem ciężkie metalowe krzesło stojące w korytarzu i z całej siły uderzyłem w szybę. Rozbiła się z hukiem.

— Uważaj na szkło! — Wskazałem Kasi resztki szyby tkwiące w obramowaniu. Podałem jej rękę i pociągnąłem za sobą. Zeskoczyliśmy na trawnik.

— Gdzie jest twój samochód?

Teraz to Kasia pociągnęła mnie za sobą. Przekonała ją chyba determinacja, z jaką wyprowadziłem ją z budynku telewizji.

Obejrzałem się za siebie. Z rozbitego okna zaczął powoli wydobywać się dym. Pożar rozszerzał się. Ale teraz już nas nie dogoni.

Wsiadliśmy do corsy dziennikarki, która stała dwie ulice dalej. W momencie, gdy Kasia uruchomiła silnik, zza zakrętu wyłonił się powoli stary mercedes. Ciemny, bez świateł, wyglądał jak widmo. Usłyszałem strzał i tylna szyba naszego samochodu rozleciała się na kawałki.

— Gazu! — krzyknąłem.

Niepotrzebnie wrzeszczałem, bo Kasia nacisnęła pedał gazu równocześnie z moim okrzykiem. Jej opel prawie skoczył do przodu. Za chwilę skręciła, a potem z piskiem opon drugi raz. Znaleźliśmy się na jakiejś pustej drodze wiodącej wzdłuż ciemnego parku. Zdawało mi się, że udało nam się zgubić pościg. Jednak w bocznym lusterku zobaczyłem światła mercedesa. Włączył już reflektory i chyba się do nas zbliżał.

„Nie uciekniemy im” — pomyślałem.

Kasia wykonała kolejny nagły skręt i wjechała do parku. Mknęła po wąskich, krętych alejkach jak po szerokiej i równej autostradzie. Zapaliła długie światła, które wydobywały z mroku gałęzie drzew nad alejkami. Niektóre — wydawało się — próbowały nas zatrzymać. Ocierały się o dach i szyby samochodu. Często miałem wrażenie, że drzewa i krzaki pędzą nam naprzeciw i odsuwają się z drogi, gdy jesteśmy już tuż-tuż.

Znów rozległ się strzał.

Jechaliśmy drogą wzdłuż płynącego dołem potoku. Przypomniałem sobie ten park. Gdy miałem kilkanaście lat, przychodziłem tu często z kolegami. Teraz drzewa były oczywiście większe, a drogi i dróżki chyba węższe. Bardziej zarośnięte.

Kasia po raz kolejny szarpnęła kierownicą i z całym rozpędem wjechała na mostek nad potokiem. Samochód uderzył o drewnianą poręcz, a mostek wyraźnie zachwiał się pod nami. Jednak przemknęliśmy na drugą stronę. Za nami wjechał na mostek szerszy i większy mercedes. Spojrzałem w boczne lusterko i zobaczyłem, niby na filmie w zwolnionym tempie, jak do potoku spada drewniana poręcz, a z nią zsuwa się z mostku goniący nas samochód. Ostatni obrazek, jaki zarejestrowałem, to przechylony mercedes, którego prawe koła wiszą nad wodą i chyba nadal się kręca, choć nie dałbym głowy. Wyjechaliśmy z parku na szeroką aleję, a potem skręciliśmy w ulicę. Nikt nas już chyba nie gonił.

— I co teraz? — spytała Dorota.

— Nie mam pojęcia.

— Kto to był? Kto do nas strzelał i kto nas gonił?

— Nie mam pojęcia.

— Więc dlaczego uciekaliśmy?

— Bo ktoś nas gonił i ktoś do nas strzelał — odpowiedziałem.

Kasia zatrzymała samochód i wyłączyła silnik. Wtedy usły-

szałem głos syreny. To po drugiej stronie parku jechały wozy straży pożarnej.

„Dopiero teraz?” — pomyślałem. Uświadomiłem sobie, że od chwili naszej ucieczki z budynku telewizji minęło tylko kilka minut.

— Co robimy? — zapytała ruda dziennikarka.

Takiego pytania w ustach Kasi się nie spodziewałem. Zawsze doskonale wiedziała, co należy zrobić. Umiała narzucić innym — a przynajmniej mnie — swoje pomysły. Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem. Pod numer, z którego nadeszło ostatnie ostrzeżenie. Do nieba albo do piekła. Tam, skąd dzwonił Jacek.

— Jesteście cali? — zapytał. — Tak, a więc udało się wam.

— A gdzie ty jesteś? W niebie?

Prawie się roześmiał.

— Tam już byłem. Teraz wracam na ziemię. A tu wszystko wygląda raczej na piekło.

— Co mamy teraz robić?

— Skontaktuj się z podkomisarzem. Powiedz mu, gdzie jesteście, niech was zabierze w jakieś bezpieczne miejsce.

— A ty gdzie jesteś? — powtórzyłem pytanie.

— Może w niebie? — Znów zaśmiał się cicho. — A może w piekle? Wiesz przecież, że nie powiem ci tego przez telefon. Komórkę można namierzyć, podsłuchać.

— Nawet w niebie albo w piekle?

— Chyba wszędzie — powiedział bardzo poważnie. — Spotkamy się w najbliższych dniach, to ci może coś opowiem. Oczywiście nieoficjalnie.

Tym razem ja się zaśmiałem. Cały Jacek.

— Strasznie się cieszę, Jacku, że cię słyszę. Nie wyobrażasz sobie, jak strasznie.

— No, a teraz ukryjcie się. Podkomisarz wam pomoże. Do zobaczenia.

Zadzwoniłem do grubaska. Nadal był w Mieście. Powie-



działem mu w dwóch zdaniach o tym, co się stało. I o rozmowie z Jackiem.

— Ukrywaliśmy, że Jacek przeżył — przyznał. — On dopiero od kilku dni jest przytomny, ale bardzo szybko odzyskuje siły.

Umówiliśmy się niedaleko. Podjechaliśmy tam z zachowaniem pełnej ostrożności. Policja już na nas czekała. Aspirant Muszka stał przy passacie i palił papierosa, a w środku siedział spokojnie rumianolicy podkomisarz. Bardzo się ucieszyłem na jego widok.

— Do trzech razy sztuka — powiedział grubasek i zdziwił się, gdy się roześmiałem.

Oczywiście trzeba było mojej głębokiej znajomości jego mimiki, żeby rozpoznać to zdziwienie.

— Mam na myśli to, że po raz trzeci udało się panu ocalić życie... — Biedakowi wydało się, że go nie zrozumiałem.

— Śmieję się, bo przypomniał mi się pewien dowcip.

Podkomisarz zdziwił się ponownie. Miał pełne prawo do zdziwienia się, bo czyż zachowywałem się, jak przystało na człowieka, który przed chwilą ledwo uniknął śmierci? Choć właściwie nie wiem, jak powinien się zachowywać taki człowiek. Czy podaje to jakiś podręcznik savoir-vivre'u?

Zostawiliśmy mocno pokierszowany samochód Kasi i przesiedliśmy się do passata.

— Zawiozę was do siebie — powiedział grubasek. — Do stałem tu, w Mieście, zakamuflowane policyjne mieszkanie. Jest ciasne, ale sądzę, że nie będziecie w nim długo. Wiemy już wszystko.

— Więc niech pan powie, panie Tomku, kto nas ścigał? Profesor nie żyje, fałszywy Zbierski też nie, więc kto?

— Proszę jeszcze, o kilka godzin cierpliwości.

Mieszkanie było ciasne, ale bardzo wygodne. Stare, trochę zużyte fotele wokół niskiego stolika, kanapa, w drugim zaś pokoju nowoczesne łóżko zupełnie nie pasujące do pozosta-

łych mebli. Był duży kolorowy telewizor, magnetowid i telefon z faksem.

— Czego się państwo napijecie? — Podkomisarz z powodzeniem grał rolę gościnnego gospodarza. — Mam nawet alkohol.

Wyciągnął butelkę pocziwego Jasia Wędrowniczka.

— Dziękujemy, nie — odpowiedziała za nas oboje Kasia.  
— Ja napiłabym się kawy.

— A ja dziękuję, tak — rzekłem. — Szklaneczka whisky dobrze mi zrobi.

Podkomisarz pośpieszył do kuchni, żeby zrobić kawę i przynieść dla mnie lód.

Wyciągnąłem się w wygodnym fotelu i piłem trunka.

„Bez lodu też jest całkiem dobry, ale skoro gospodarz tak się stara, to, żeby nie robić mu przykrości, wrzucę kostkę do drugiej porcji” — pomyślałem leniwie.

— Czy magnetowid działa? — zapytała Kasia podkomisarza, który wrócił z kawą i lodem.

— Oczywiście.

— To niech pan go włączy. Rozpoznałam prawie wszystkich ludzi na filmach zabranych Profesorowi, ale jednego nie znam. Może któryś z panów go widział...

Podawała grubaskowi kasetę. A więc gdy uciekaliśmy ze studia, pamiętała, żeby ją zabrać. Podkomisarz bez słowa wziął kasetę z rąk Kasi, włożył ją do aparatu i nacisnął guzik. Na ekranie telewizora pojawiło się eleganckie wnętrze hotelowe.

— To ulubiony apartament Starucha w hotelu „Pod Czarnym Rumakiem” — poinformowała Kasia.

Weszło dwóch mężczyzn. Usiedli w głębokich skórzanych fotelach. Czuli się swobodnie. Chyba nie wiedzieli, że są filmowani. Niespodzianka, jesteś w ukrytej kamerze. Dobry dowcip, co?

— To Profesor, a ten drugi to kto? — spytała Kasia.

— Nie widziałem go nigdy w życiu — odrzekłem.

Był to mocno łysejący pięćdziesięciolatek. Miał worki pod oczami i zmęczone spojrzenie. Wyglądał tak samo dobrze na inżyniera jak na wyższego urzędnika państwowego.

Podkomisarz milczał.

— A pan? Czy pan go kiedyś widział? — nieustępliwa Kasia zwróciła się do podkomisarza.

— Wiem, kto to jest — odpowiedział po dłuższej chwili.  
— Dowiedzie się państwo wkrótce.

Na filmie rozmówca Profesora uprzedzał go właśnie o planowanej akcji policji. Wyliczał miejsca, w których zjawią się agenci Centralnego Biura Śledczego. „W dwóch albo trzech miejscach zostawcie trochę towaru. Musimy mieć jakieś sukcesy — powiedział z uśmiechem. — I jeszcze jedno — dodał. — Zrób to tak, żeby twoi ludzie nie zorientowali się, że wiesz. Masz dwa dni, więc możesz wszystko przeprowadzić spokojnie”.

— To ktoś z policji? — spytałem. I dodałem: — Chyba już wiem.

Grubasek popatrzył na mnie z wyraźnym smutkiem. Tym razem nie udało mu się tego ukryć.

Zadzwonił telefon. Podkomisarz chwilę słuchał, a potem odłożył słuchawkę i powiedział:

— Już państwu nic nie grozi.

— Aresztowaliście go?

— Nie zdążyliśmy. Łysy sam się zastrzelił. Wiedział już, że wszystko się wydało i że nie ma szans. On w więzieniu by zginął.

— Łysy? Oczywiście. Tak go przecież nazywaliście!

Dlatego nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska, bo Jacek mówił o nim zawsze Łysy.

— Może wyjaśnicie mi, panowie, o kim rozmawiacie — zażądała Dorota.

— Muszę zabrać tę kasetę — rzekł w odpowiedzi podko-

misarz i wyjął ją z magnetowidu. — To ważny materiał w śledztwie, które trzeba będzie wreszcie skończyć.

Ja milczałem. Choć mogłem błysnąć raz przed Kasią wiedzą, której ona nie posiadała, wcale nie miałem na to ochoty. Nie czułem w sobie dosyć energii, żeby spierać się z bezkompromisową dziennikarką. Byłem zaś pewien, że po śmierci Łysego sprawie zostanie ukrecony łeb. I nigdy nie uda się Dorocie — czy nam razem — opublikować prawdy.

W niedzielę rano po nocnym deszczu zrobiło się trochę chłodniej. Na niebie pojawiły się dawno nie widziane chmury. Zapowiadano wreszcie koniec upałów.

Dla mnie był to dzień ważnych spotkań. Najpierw z Jackiem. Lekarze zgadzali się na odwiedzinę, ale niezbyt długie. Ciekawe, co by powiedzieli na wiadomość, że ich pacjent od tygodnia aktywnie pracuje. I to jedynie za pomocą telefonu komórkowego. Tak, tak. Jacek, który nigdy nie miał (i nadal podobno nie ma) zaufania do komórek, kierował śledztwem przez telefon leżący na stoliku przy łóżku w jego szpitalnej separacie. Telefonicznie przekonał komendanta głównego policji, że sprawa jest naprawdę ważna i nietypowa. Powołano więc kilkuosobową tajną grupę, która miała rozpracować gang w Mieście i odkryć tajemnicę posagu Klary. Skąd to wiem? Od podkomisarza, a właściwie już prawie komisarza (wiadomość o awansie nieoficjalna) o rumianych policzkach i oszczędnej, tajemniczej mimice. Odwiedził mnie wczoraj późnym popołudniem w domu. Przyjechała też Kasia, i przy flaszcze (a właściwie trzech) znakomitego włoskiego chardonnay z rejonu Veneto odpowiedział na wiele naszych pytań.

Piliśmy wszyscy, bo komisarz był już po służbie, a Kasię namówiłem na podróż do Warszawy pociągiem. Przyszło mi to łatwo, bo corsa dziennikarki po naszej nocnej ucieczce przez park nie wyglądała - mówiąc łagodnie - najlepiej. A kobieta pragnie, żeby nie tylko suknia na niej, ale również

samochód prezentował się dobrze. Coś źle powiedziałem, mój głosie wewnętrzny? Oczywiście samochód nie na niej. Powiedzmy — wokół niej. Też niedobrze? Ale wiesz, o co chodzi, a to najważniejsze.

Dorota czyli Kasia odjechała dopiero dziś rano, po nocy spędzonej obok mnie. To znaczy, dokładniej, za ścianą, w sąsiednim mieszkaniu.

Na Kasię spadło wczoraj w południe zadanie odebrania w Mieście telefonu od Jadzi. Przy okazji poprosiła ją przewidująco o możliwość noclegu. A Jadzia jeszcze wcześniej przewidziała najwyraźniej tę prośbę, bo biorąc ode mnie z mieszkania gotówkę, zostawiła w komodzie klucze od swego mieszkania. Oto prawdziwa kobieca intuicja.

Jadzi nie groziło już niebezpieczeństwo i mogłaby wrócić z miejscowości, której nazwy nie chciała ujawnić w rozmowie z dziennikarką. Widać tak dobrze wczuła się w rolę tajnej agentki. Postanowiła jeszcze trochę zostać na wywczasach i przepuścić resztę moich, a właściwie Pawłowych pieniędzy. Kasia podejrzewa, że moja sympatyczna sąsiadka kogoś tam poznała i ten ktoś to jest właściwy powód przedłużenia pobytu. A może nie podejrzewa, tylko wie? To byłby z kolei przykład na kobiecą solidarność.

Grubasek spacerował już pod kliniką, gdy zjawiłem się z grubym tomem Pynchona pod pachą. Kupiłem tę dziwną książkę, zatytułowaną *Tęcza grawitacji*, bo Jacek — j a k o j e d y n y chyba wśród znanych mi ludzi — uwielbia czytać amerykańskich postmodernistów. Może przedzieranie się przez zawikłaną intrygę i poszukiwanie aluzji do wybitnych dzieł literackich przypomina mu pracę oficera w Centralnym Biurze Śledczym? Nie wiem, Pynchona nie czytałem i do lektury zmuszać się nie zamierzam.

Wręczyłem przyjacielowi książkę i złożyłem stosowne gratulacje. Albowiem Jacek również otrzymał awans i to od razu na inspektora. Jak twierdził rumianolicy (już prawie) komi-

sarz, awans na podinspektora dla Jacka został zatwierdzony jeszcze przed zamachem na niego. Teraz więc tylko wykreślono przedimek „pod” i nawet nie trzeba było zmieniać dokumentów. Świeżo upieczony inspektor nie przypominał tryskającego energią gliny, którego znałem. A przecież w każdej terapii od najlepszych medykamentów ważniejsza jest postawa pacjenta. Nie mówię nawet o prawdziwej radości życia, którą nie każdy posiada. Ja odziedziczyłem swoją po moich przodkach tak samo jak zdrową wątrobę i niezłe nerki. Mówię o prostej woli życia, wobec której nawet medycyna jest bezsilna, jak w cytowanym już dowcipie.

Gdy więc zobaczyłem Jacka leżącego w łóżku, zrobiłem moją słynną minę zadowolonego doga. Co wam będę mówić: szeroko otwarte usta, wiszący jęzor, uniesiony w górę ogon... pardon, ogona wciąż (albo raczej już — bo jednak człowiek wyrósł z tej małpy, którą wybornie udawał ponoć jeszcze mój dziadek) nie mam. Mój przyjaciel odpowiedział równie słynną miną smutnego kotka.

„Naprawdę marny mamy humor” — pomyślałem i zrobiłem minę lwa-zwycięzcy.

Król zwierząt patrzy z góry, zadowolony, ale i czujny, czekając na choćby ślad sprzeciwu ze strony pokonanego wroga. Groźnie wyciągnięta łapa (może nią przyłożyć, jak się komu coś nie spodoba), marsowa mina, wytrzeszcz oczu właściwy dla władców. Myślałem, że zarazę przyjaciela entuzjazmem i odpowie mi choćby miną najedzonego tygrysa. Ale Jacek próbował zrobić minę zmęczonego suma, który chce złapać trochę powietrza...

Gdy jednak zobaczył reakcję grubaska, nie wytrzymał i rozeźmiał się. Ja również przyłączyłem się do ogólnej radości.

Koncert min albo — jak chcą niektórzy — pojedynek na miny to nasz — Jacka i mój — popisowy numer towarzyski. Zdarzało się nam uprawiać tę grę również tylko dla siebie, we dwóch. Świetnie rozładowuje napięcie i pomaga w trudnych

chwilach. Od kogo ją ściągnęliśmy — to pytanie dla wytrawnych znawców literatury narodowej.

Mistrz pół- i ćwierćmin, czyli mój ulubiony od niedawna policjant, dziś już komisarz, został naszym koncertem wprost porażony. Okazał to nie ćwierć- ani pół-, ale całą miną, która ogarnęła jego śliczną okrągłą buzię, zdobyła rumiane policzki, nawet wpełzła na gładkie czoło. Cała mina nigdy chyba wcześniej w okresie naszej znajomości mu się nie zdarzyła. Jakże było się nie zaśmiać? Po tej miłej uwerturze trzeba było, niestety, przejść do rzeczy. Lekarze dali nam pół godziny, no najwyżej trzy kwadranse, a ja chciałem Jacka zapytać o tyle spraw.

Wiedziałem już od grubaska, że Jacek cudem uszedł śmierci. Stracił bardzo dużo krwi, ale żadna z dwóch kul nie uszkodziła ważnych organów. Chirurg wyciął mu co prawda jakiś fragment jelita, ale żartował, że to nawet dobrze, bo człowiek ma za dużo tych rozmaitych kiszek. Trudno tego wszystkiego używać, a co dopiero się nauczyć. Gdyby było tego trochę mniej, można by choć trochę skrócić okropnie długie studia na medycynie — powiedział.

O strzelaniu do Jacka rozmawiać nam zakazano. Ale przecież musiałem się trochę pokręcić wokół zamachu na niego. Nasuwało mi się mnóstwo pytań.

Pierwsze, dlaczego w ogóle? Dlaczego w ogóle strzelano do niego? Co takiego zrobił, komu nadepnął na odcisk po telefonie ode mnie, że od razu postanowili go usunąć na dobre?

— Dlaczego chcieli mnie zabić? — Jacek poruszył temat uznany przez lekarzy za niebezpieczny.

Uczynił to z prawdziwym spokojem. W końcu to nie rozmowa o strzelaniu jest niebezpieczna, ale raczej strzelanie do żywego celu. I on — j a k o wytrawny glina — dobrze to wiedział. Ja zaś czekałem na odpowiedź z prawdziwym zainteresowaniem.

— Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem. Gdy zadzwono-



niłeś do mnie, przypomniałem sobie, że Łysy, mój przełożony i w ogóle zastępca szefa w Biurze, sporo zajmował się gangiem w Mieście. Mówiło się, że on ma tam w środku swojego człowieka. Informatora. I gdy o tym myślałem, zupełnie przypadkowo natknąłem się na Łysego. Więc z głupia frant zapytałem go o to. Powiedziałem, że ktoś spotkał Klarę Zameczek w Warszawie.

— I co?

— Widzisz, ja tej rozmowy dobrze nie pamiętam. Naprawdę. Cały ten feralny piątek zatarł mi się mocno w pamięci. To było w przelocie, na korytarzu. Kilka, może kilkanaście zdań. Zastanawiałem się już wiele razy, co ja takiego powiedziałem? Łysy był chyba wtedy mocno spanikowany. Staruch zginął, a Profesor prowadził własną grę. Może uznał, że wpadłem na trop jego powiązań z gangiem? I że go straszę? Albo zamierzam go szantażować? Bo chyba nie sądził, że chcę też wejść do interesu? Choć kto go tam wie? — Jacek na chwilę zamilkł. — Gdy wróciłem do pokoju, pomyślałem, że to była dziwna rozmowa. Czegoś nie rozumiałem. Nie podejrzewałem, broń Boże, Łysego. Nie. Myślałem raczej, że może prowadzi on w Mieście jakąś supertajną akcję... i że wystraszył się, bo uznał, że informacje o niej zaczynają wyciekać.

Zadałem kolejne pytanie. Dlaczego policja odegrała ten cały teatr z jego śmiercią? Pogrzebu co prawda nie urządono, najpierw wciąż go odkładano rzekomo ze względu na potrzeby śledztwa, a potem sprawę wyciszono. A rodzina? Czy też myślała, że Jacek zginął?

Chyba nie. Grubasek wiedział niemal od początku, że Jacek żyje, ale on był łącznikiem między tajną grupą powołaną przez komendanta policji a resztą — tylko trochę bardziej jawną — Centralnego Biura Śledczego. On też — jedyny — został dopuszczony do Jacka, a potem utrzymywał z nim stały kontakt telefoniczny.

— Dlaczego mnie uśmiercono, choć na złość niektórym

przeżyłem? Nie wiem — powiedział Jacek. — Nikt mnie o zdanie nie pytał. Po odzyskaniu przytomności już byłem w tym dziwnym stanie, śmierci za życia. I nawet gdybym miał siłę na protesty, było za późno. Miałem inne nazwisko w dokumentach szpitalnych, a na korytarzu siedziało stale dwóch policjantów w białych fartuchach. Oczywiście nie wiedzieli, kogo pilnują, tylko tyle, że mają to robić dobrze.

— Chodziło przede wszystkim o bezpieczeństwo pana inspektora — oświadczył grubasek. — Przecież nie wiedzieliśmy, kto i dlaczego do niego strzelał. I czy próba zamachu się nie powtórzy. Zresztą pomysł podrzuciły nam media — tu zrobił lekki ukłon w moją stronę — gdy ogłosiły kilka godzin po zamachu, że zginął policjant. My tylko nie sprostowaliśmy tej informacji. I postaraliśmy się ograniczyć liczbę osób, które znały prawdę. Ukryliśmy też rodzinę pana inspektora.

— Wiesz, długo nikt nie łączył zamachu na mnie ze sprawą Klary Zameczek — dodał Jacek. — Ja zresztą, w pierwszych dniach po odzyskaniu przytomności, też nie.

— Grupa powołana do wyjaśnienia tego nieudanego na szczęście zabójstwa analizowała kilkadziesiąt dochodzeń, które pan inspektor aktualnie prowadził i z którymi miał do czynienia w ostatnich latach. Według przyjętych założeń chodziło zapewne o przerwanie jakiegoś śledztwa. Ale mogła też być to zemsta jakiegoś przestępcy. Sporządzono więc obszerną listę wypuszczonych z więzienia w ostatnim okresie bandytów, do których osądzenia przyczynił się inspektor. Ba, nawet zrobiono listę tych, którzy nadal siedzą. Badano ich kontakty i powiązania, bo przecież któryś z nich mógł zlecić morderstwo z więzienia.

— To wielka robota — zauważyłem.

— Ogromna. Zajmująca czas od rana do późnej nocy kilkunastu osobom. W ogóle początkowo nie brano pod uwagę sprawy Klary Zameczek i gangu Starucha... Inspektor nigdy się tą sprawą nie zajmował i trudno go było z nią powiązać.

Dopiero potem, gdy odtworzono ostatnie zajęcia pana inspektora przed zamachem, zauważono jego dziwne zainteresowanie Klarą w feralnym dniu... A potem był trup komisarza Zbierskiego u pana Konrada w mieszkaniu...

— Przecież podobno wspomniałeś w ten piątek Zbierskiemu coś o sprawie Klary, a więc on wiedział od początku o twoim zainteresowaniu szefową gangu z Miasta — zwróciłem się do Jacka, przerywając grubaskowi.

— Zdaje się, że on też najpierw nie przywiązywał do tego większej wagi. Zresztą wszyscy szukali zabójcy na zewnątrz...

Na czole komisarza pojawiła się maleńka zmarszczka, a potem — chyba się nie przesłyszałem — grubasek cichutko psyknął. Jacek usłyszał.

— Konrad i tak przecież wie niemal wszystko — powiedział. — I zgodnie z umową — zwrócił się do mnie — piśać o tym na razie nie możesz.

— Nie podpisywałem żadnej umowy.

— Przecież to był warunek naszej rozmowy — oświadczył świeżo upieczony inspektor. — Ale jeśli nie to nie. Ja muszę już odpocząć, wiesz, że lekarze zabraniają mi zbyt długich konferencji.

Czyli przyjaźń przyjaźnią ale tajemnice policji tajemnicami.

— No dobrze — ustąpiłem — ale może kiedyś w przyszłości, na przykład w książce, będę mógł coś o tym napisać?

— No może, w przyszłości i w książce, najlepiej w powieści, żeby nikt nie pomyślał, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Na to się możemy zgodzić, prawda? — Jacek zwrócił się do komisarza.

— Jeżeli tak pan uważa.

— Więc co było dalej, panowie? — zapytałem.

— Sądzę, że to Bartek jednak pierwszy wpadł na myśl, że zamach na mnie wiąże się z moimi poszukiwaniami informacji o Klarze Zameczek. Zaczął gruntownie analizować mój ostatni dzień. I zdaje się, zanim zginął, wymusił przeniesienie

mnie w nowe miejsce, o którym wiedziały tylko dwie osoby: on i Tomasz. Chyba w ten sposób uratował mi życie. Bo przecież Łysy nie mógł dopuścić, żebym po odzyskaniu przytomności opisał mordercę.

— Łysy oczywiście wiedział o mistyfikacji z twoją śmiercią?

— Oczywiście. On nadzorował śledztwo.

— Panie Tomku — zwróciłem się do świeżego (jak rumiana rzodkiewka na targu) komisarza — czy pan widział program w telewizji po zamachu na inspektora?

— Tak.

— Czy to nie Łysy mówił w imieniu policji, że zabójstwo policjanta musi zostać wykryte? Że to sprawa honoru policji?

Grubasek milczał. Tylko zmarszczka na czole pokazywała, jak bardzo mu głupio. Chociaż właściwie dlaczego? Czy czuł się odpowiedzialny za całą polską policję?

— To dobre — zaśmiał się Jacek. — Ale to bardzo możliwe. On bardzo lubił występować w mediach, choć ostatnio pokazywał tylko tylną stronę swojej łysej czaszki, żeby zrobić wrażenie, oczywiście w Centralnym Biurze Śledczym, że jest tak niezwykle utajniony.

— Komisarz Zbierski, gdy wymógł przeniesienie prawie jeszcze nieprzytomnego inspektora w nowe, tajne miejsce, ujawnił się w ten sposób ze swoimi podejrzeniami — wrócił do głównego wątku komisarz.

— Że domyśla się, że za zamachem na Jacka stoi ktoś z policji... — dopowiedziałem.

— No może raczej, że bierze taką możliwość pod uwagę. Powiedział mi wtedy, że powinniśmy bacznie obserwować, kto będzie próbował zdobyć nowy „adres” pana inspektora.

— Nie pomyślał jednak — wtrącił Jacek — że wydał w ten sposób wyrok na siebie. Łysy coraz bardziej panikował. Kazał strzelać do mnie, gdy tylko zainteresowałem się gangiem Sta-

rucha i Klarą Zameczek. Teraz z kolei uznał, że Bartek coś wie.

— Ale dlaczego zastrzelono go u mnie w mieszkaniu? I jak on tam wszedł?

— Nie wiemy. Gdy zrozumiał, że sprawa Klary Zameczek może tu być kluczem, chciał się na pewno z tobą skontaktować, bo przecież wszystko zaczęło się od twojego telefonu do mnie. Niestety, poszedł do ciebie z tym swoim duplikatem, jak nazywa go Tomek. A przecież nie mogłeś zobaczyć ich razem.

— No tak — przyznałem — to by było niezłe: „Jestem Zbierski, poznaliśmy się wczoraj”, mówi jeden, potem zaś drugi: „My się nie znamy, ale ja też jestem Zbierski”.

Policjanci milczeli.

— Ale jak ten prawdziwy Zbierski zgodził się na wejście do mnie pod moją nieobecność? Policja, oczywiście ta prawdziwa, tak chyba nie robi?

— Nie wiemy — powtórzył Jacek. — Może ten fałszywy powiedział Bartkowi, że u ciebie w mieszkaniu dzieje się coś złego i powinni to sprawdzić? Nie dowiemy się tego nigdy. Obydwaj nie żyją.

— Ale dlaczego fałszywy zastrzelił prawdziwego u mnie?

— Może chodziło też o to, żeby podejrzenie rzucić na ciebie? Bo wiedzieli, że ty też coś wiesz. Gdyby ciebie aresztowano, do przesłuchań mógłby się włączyć Łysy. Znow pyta nie bez odpowiedzi.

— Pan Tomek jakoś mnie nie aresztował — powiedziałem — choć zdaje się, że miał sporą ochotę.

— Wyperswadowałem mu to — stwierdził Jacek. — Ja się znam na ludziach. Wiem, że Konrad może zrobić różne głupstwa, zwłaszcza pod wpływem pięknych kobiet...

— Co on ci naopowiadał? — spytałem Jacka i spojrzałem groźnym wzrokiem na rumianolicego komisarza.

Grubaskowi nawet nie drgnęła powieka. Wcale się mnie nie bał.

— Czyli prawdziwego Zbierskiego zabił fałszywy Zbierski? To pewne? — zapytałem.

— Bez żadnych wątpliwości tak. On też strzelał do mnie i zastrzelił Profesora.

— Teraz rozumiem, dlaczego zwiewaliśmy w czwórkę przed tym niepozornym facetem. Czuliśmy, że to morderca.

— To był najważniejszy człowiek Łysego. W CBS funkcjonował mit, że Łysy ma agenta w gangu Starucha, a to był raczej jego łącznik.

— Ale on pracował oficjalnie w policji? Ten fałszywy Zbierski...

— Tak. I to mu ułatwiało życie.

— A Łysy?

— Łysy pracował jeszcze w milicji. Wtedy prowadził Starucha, gdy ten był cinkciarzem i nadawał na swoich kolegów. To była wieloletnia znajomość. Łysy potem został zweryfikowany, został w policji, wiele razy awansował. A Staruch budował swoją podziemną potęgę.

— Przyjaźń gangstera i policjanta to znany filmowy temat — powiedziałem.

— O przyjaźni chyba mówić nie można. Oni tylko współpracowali. Dla wzajemnych korzyści. Staruch wystawiał Łysemu swoich przeciwników, więc ten miał spore sukcesy zawodowe. Wciąż awansował. A za informacje, które przekazywał gangowi, dostawał niezłą dołą.

— Stąd willa w Magdalence...

— Między innymi. — Jacek chwilę milczał. Był już zmęczony, ale gdy dałem do zrozumienia, że już pójdziemy, oświadczył: — Skończmy to. Wydaje nam się, podkreślam, tylko nam się wydaje, bo wiedzieć na pewno nigdy nie będziemy, że ta współpraca zaczęła się psuć, gdy na człowieka numer dwa w gangu wyrósł Profesor. Wtedy narodził się pomysł szantażowania polityków i biznesmenów. Najpierw zainstalowano ukryte kamery w dwóch agencjach towarzyskich. Potem

w hotelu, który budował Staruch, od razu tak zaprojektowano apartament, żeby można było podglądać okiem kamery wszystko, co się dzieje w środku. A tam najczęściej zawierano wielkie nielegalne transakcje. Profesorowi marzyła się prawdziwa władza: chciał mieć w ręku polityków, ale też sędziów i prokuratorów.

— Co na to Łysy?

— Łysemu to wszystko zaczęło wymykać się z rąk. Profesor był trudnym przeciwnikiem.

— A kto nagrał rozmowę Łysego z Profesorem?

— Chyba Staruch. On się pewnie bał obojdwóch, a może przeczuwał, że jego dni są policzone? Więc zbierał materiały na kogo się dało. Chciał je zostawić Klarze. To miało zapewnić jej bezpieczeństwo.

— Posag Klary! — wypowiedziałem magiczne słowa.

Pomilczeliśmy z szacunkiem chwilę. To przecież wokół tego posagu kręciła się cała historia. Pornosy i zarazem materiały służące do szantażu. Więc rację mieli ci, którzy uważali, że to filmy pornograficzne, ale i ci, którzy wietrzyli w tym posagu coś więcej. Jak w opowieści o rabbim.

— Więc kto zabił Starucha i Klarę? — zapytałem.

— Wyrok wydał Profesor. Może dowiedział się, że Staruch ma na niego materiały i pomyślał, że chce się go pozbyć? Ale Klara Zameczek zginęła chyba przypadkowo.

Znów chwila odpoczynku. Jacka chciał zastąpić grubasek, jednak świeży inspektor nie pozwolił odebrać sobie głosu. Musiał sam opowiedzieć historię do końca.

— W trudnej sytuacji znalazł się Łysy. Profesor się stawił, chciał rządzić samodzielnie. Chętnie co prawda korzystał z pomocy i dobrze płacił za policyjne przysługi. Takie jak podsłuch u twojej przyjaciółki dziennikarki albo szybkie namierzenie fałszywej Klary, gdy uciekła do Warszawy.

— ... — to ja milczę, bo nie wiem, co powiedzieć.

— Sprawy zaczęły przyśpieszać od czasu pojawienia się

tej twojej fałszywej Klary w Warszawie. Ty zwracasz się do mnie, ja zaczynam węszyć...

— Ach, pies, policyjny pies... — przypomniałem ulubiony zwrot Jacka.

— Strzelają do mnie, ciebie zaczynają obserwować... Równocześnie idzie gra o to, kto pierwszy dopadnie posag. Profesor czy Łysy?

— Myślisz, że Łysy wiedział, iż Profesor nie ma posagu? I że nie wie, gdzie jest ukryty?

— Nie wiem. Może fałszywa Klara była wymyślona przez Profesora właśnie dla Łysego? Ale gdy mu uciekła do Warszawy, już nie mógł dłużej prowadzić tej gry.

— Czyli gdyby nie moje spotkanie w piwnym ogródku z piękną blondynką...

— To rozbilibyśmy gang może później...

„Albo wcale — pomyślałem. — Profesor znalazłby w końcu posag i zaczął rządzić w Mieście. Miałby w ręku polityków, biznesmenów i sędziów. A także zastępcę szefa Centralnego Biura Śledczego do pomocy... Ładna wizja, co?”

Jacek był naprawdę zmęczony. Leżał z wypiekami na twarzy, spocony, sponiewierany przez medycynę. Może i on wyobraził sobie to samo co ja? Jeżeli tak, to trudno się dziwić, że nie reaguje na najbardziej uciężne miny. Wizja Miasta rządzonego przez Profesora, diabła w złotych okularach, może nawet zdrowemu człowiekowi popsuć humor. I nie poprawi go najlepiej wykonana mina królika w pokrzywach.

\* \* \*

Na drugie ważne spotkanie przyjechałem taksówką. Musiałem, bo rozmowa z Jackiem przedłużyła się — i to mimo lekarza zagląającego do separatki kilka razy, z coraz większą pretensją.

Wysiadłem na Nowym Świecie i ruszyłem szybkim kro-



kiem. Słońce właśnie schowało się za ciemną chmurą i było nie tylko gorąco, ale i duszno. Zbliżałem się do ogródka piwnego, w którym zaczęła się ta historia. Z przeciwnej strony nadchodziła blondynka. Najpiękniejsza blondynka, jaką kiedykolwiek poznałem. Była dziś bez słomkowego kapelusza, w długiej cienkiej sukience w drobniutkie kwiatki.

— Cześć — powiedziała pierwsza.

— Cześć — odpowiedziałem. — A gdzie Michał?

— Michał pojechał jeszcze coś zobaczyć. Przyjdzie za kilka minut.

— A więc mamy je tylko dla siebie.

Nic nie powiedziała. Usiedliśmy przy tym samym stoliku co kilkanaście dni temu. I zamówiliśmy piwo. Ja duże, a Klara, tfu, Joasia małe.

— Dziś ja stawiam — zaproponowała.

— Dobrze.

„A nawet bardzo dobrze — szepnął mi głos wewnętrzny. — Przecież nie mamy już pieniędzy”.

„Na piwo wystarczyłoby”.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie.

— Wiem, co zrobięś dla mnie.

— Nic nie mów.

— A wiesz, ja czytałam *Dziady* — powiedziała. — Ja wtedy tylko starałam się dobrze *zagrać* Klarę.

— Wiedziałem o tym.

— Tak? A skąd?

— Ja czuję takie rzeczy. Rozumiesz, męska intuicja. Od razu wiedziałem, że jesteś dziewczyną, która czytała *Dziady*.

— Konrad, naprawdę...

— Najlepiej nic nie mów — poprosiłem raz jeszcze.

Patrzyła na mnie jak na średniowiecznego rycerza, który właśnie wyciągnął swą damę w niezłym stanie z paszczy smoka. A ja jestem człowiekiem końca dwudziestego, a może nawet początku dwudziestego pierwszego wieku, czyli osobni-

kiem jak najbardziej współczesnym. Więc przyszła pora, żeby — w imię prawdy tej opowieści — wygłosić mój programowy monolog.

— Widzisz, muszę się przyznać — zacząłem. — Ja nie jestem bohaterem romantycznym, żadnym Mickiewiczowskim Konradem, choć takie imię mi nadano na chrzcie. Nie jestem nawet bohaterem Konwickiego, który miał jakieś traumatyczne przeżycia w czasie wojny, w partyzantce i to się za nim wciąż wlecze z powieści na powieść.

Chciała coś powiedzieć, ale nie pozwoliłem sobie przerwać.

— Jestem też kombatantem, to prawda, bo w stanie wojennym kolportowałem bibułę i wydawało mi się, że biorę udział w czymś ważnym. Wtedy miałem kilkanaście lat, więc można mi chyba wybaczyć. — Teraz ja przerwałem, ale ona milczała. Więc mówiłem dalej: — Dziś o nic mi już nie chodzi. Chcę zarobić na kieliszek czerwonego wina do obiadu i szklanek piwa do kolacji. I raz w roku chcę pojechać na jakąś ciepłą wyspę, bo, jak wiesz, uwielbiam grecką sałatkę, a ona nigdzie tak nie smakuje jak w tawernie nad brzegiem Morza Śródziemnego.

Nie wiem, czy Joasia mi uwierzyła. W ogóle nie wiem, czy słuchała mego wyznania. Zamyśliła i jakby oddaliła. Tak jak tylko ona to potrafi. I wtedy zjawił się dragal z bujnym wąsem. Przywitaliśmy się serdecznie. Rozmowa zrobiła się od razu mniej poważna, padały żarciki, wspominaliśmy nasze przygody.

— Co teraz będziesz robił? — zapytała w pewnym momencie Joasia.

— Może pojedę do Australii — odpowiedziałem bez namysłu.

Roześmieli się oboje.

„Ma rację ciocia-babcia Adelajda — pomyślałem — oni naprawdę do siebie pasują”.

„Tak, to piękna para” — dodał nie pytany o zdanie mój głos wewnętrzny.

Siedzieliśmy, rozmawialiśmy, znów żartowaliśmy. Przyjemne niedzielne popołudnie. Anioł z biustem niósł kolejne zamówione piwo. Wtedy poczułem pierwszą kroplę deszczu, a za chwilę zaczęło lać. To był gwałtowny i bardzo ulewny deszcz. Takie deszcze w czerwcu w dawnych czasach były rzeczą normalną ale nie dziś, gdy Polska przesunęła się w kierunku równika.

„Skończyły się pieniądze, więc zaczęło padać” — pomyślałem cokolwiek absurdalnie.

„A piwo mieszało się z deszczem” — uzupełnił w podobnym stylu mój sympatyczny głosik.

Popatrzyłem na najpiękniejszą znaną mi blondynkę i na najwyższego znanego mi mężczyznę. Obydwoje byli do cna przemoczeni. Jemu woda ściekała z obwisłych wąsów, a ona wyglądała przeuroczo w sukience, która oblepiła jej zgrabne ciało. Wyraźnie rysowały się piersi, nie za duże, nie za małe, takie w sam raz.

„Wiesz co — powiedział mi głos wewnętrzny — a może byś już skończył tę historię?”

„To dobry pomysł” — odrzekłem również cały przemoczony.

Więc end. Czy happy? Chyba jednak tak. A więc happy end. Tak jak się wyśniło Klarze czyli Joasi. I jak tu nie wierzyć w sny?